TERESA GRABARSKA

POWRÓT

SAGA
EGMONT

TERESA GRABARSKA

POWRÓT

SAGA
EGMONT

Teresa Grabarska

Powrót

Saga

Powrót

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright ©2003, 2023 Teresa Grabarska i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728522035

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1.

Łukasz mieszkał w centrum miasta. Nie było to ani żadne miasto, ani tym bardziej żadne centrum. Ot, parę uliczek, jakieś budynki. Ponieważ wszyscy mieszkańcy z uporem nazywali to siedlisko Miastem, i to w dodatku Nowym, więc niech i tak będzie.

Był tu od niedawna. Przed dwoma laty dostał pracę. Jak zwykle zapowiadało się świetnie. Miał być rozwój, kontakty, kontrakty. Skończyło się plajtą. Kilkaset ludzi na bruk.

Przywykł do tego. Przeprowadzki, oprócz programowania, stały się jego specjalnością. Nie sprawiały mu większego kłopotu. Nigdy nie zagracał sobie życia niepotrzebnymi sprzętami. Czy martwił go brak zatrudnienia? Ależ nie. Pracował codziennie. Tyle że teraz nie otrzymywał za to pieniędzy. To również nie było dla niego problemem. Przez wiele lat na jego koncie uzbierała się spora suma. Nawet dokładnie nie wiedział, ile tego jest. Na tak zwane codzienne potrzeby wydawał niewiele. Prawie wszystkie zarobione pieniądze odkładał.

Dni zazwyczaj spędzał w domu. Wychodził dopiero po zmroku.

Zegar wybił dwudziestą. Czas na spacer.

Wyłączył komputer. Przetarł zmęczone oczy. Wstał z fotela i powolnym krokiem, przeciągając się, przeszedł do przedpokoju.

Na wieszaku wisiała tylko jedna kurtka. Nie miał więc problemu z wyborem garderoby. Do kieszeni włożył niewielką metalową pałkę. Tak na wszelki wypadek.

Mimowolnie spojrzał na lustro.

Włosy błyszczące, ale na pewno zbyt długie, no i zbyt czarne. Powinny być już siwe, a nie są. Tylko broda nieco przyprószona srebrnymi kosmykami. Gęstość swetra miejscami nie jest zadowalająca. Przy kurtce brakuje chyba dwóch guzików. Zapodziały się gdzieś jeszcze w latach

osiemdziesiątych. Kieszenie w spodniach mogą nie przetrwać następnego prania. Buty. No nie. Buty są w porządku. Bardzo wygodne.

Wszystkie te uwagi wydały mu się słuszne. Zadowolony z tak krytycznego postrzegania własnego wizerunku wyszedł z domu.

Miasto o tej porze było prawie puste. Szedł główną ulicą. Jego wzrok mimowolnie zatrzymywał się na blado oświetlonych wystawach. Sklep przy sklepie. Ciasne okienka zagracone przeróżnymi materiałami ułożonymi w sposób tyleż bezsensowny, co nieciekawy.

Odzież sportowa sąsiadowała z rybami, kosmetyki z karmą dla zwierząt, jarzyny ze sprzętem elektronicznym. Zrobiło mu się niedobrze. Przeszedł na drugą stronę. Tu nie było wcale lepiej. Zastanawiał się, jakim cudem tak wielka liczba sklepikarzy potrafi się utrzymać, i to całkiem nieźle, w tak niewielkim mieście. Cieszył się, że nie słyszą jego myśli. Zapewne większość z nich poczułaby się obrażona. Nazywał ich sklepikarzami, a to przecież biznesmeni.

Drażnił go brak właściwych określeń. Drażniło go zresztą wiele innych rzeczy. Bezsensowna zabudowa, brud, dziurawa jezdnia, obskurne kamieniczki, przepełnione kosze na śmieci.

Następna ulica była całkiem odmienna. Tutaj panoszyły się wille tych, którzy „robią w biznesie". Zaprojektowane przez jakiegoś dostatecznego architekta, ozdobione z odpustowym przepychem. Pośród nich królowała posesja Pana Ryszarda. Łukasz zawsze zatrzymywał się przed nią i przyglądał z rozbawieniem. Zastanawiał się, czy bardziej przypomina mu cyrk, czy może wesołe miasteczko. Zamieszkiwały ją żona Pana Ryszarda i córka Pana Ryszarda. Sam Pan Ryszard, jako że był zapracowanym „człowiekiem biznesu", z rzadka tu bywał.

Pan Ryszard. Po prostu Rysiek, Rychu. Tak nazywali go na studiach. Gdyby nie fakt, że nie jadł, nikt chyba by go nie zauważył. Rychu nie jadł. On po prostu żarł. Wrzucał w siebie ogromne ilości zarówno w stanie stałym, jak i ciekłym. Nigdy nie miał dosyć. Nie był wybredny. W równym stopniu zadowalał się wykwintnym obiadem, jak i nadgryzioną kanapką.

Na wykładach pojawiał się tylko wówczas, kiedy akurat nie jadł. Zdarzało się to więc bardzo rzadko. Nigdy natomiast nie opuścił żadnej imprezy, na której spodziewał się zaspokoić swoją główną potrzebę. Był

nawet do pewnego stopnia pożyteczny. Problem odpadków przestawał istnieć.

Plątał się na uczelni chyba ze trzy lata. Potem gdzieś zniknął.

Przed dwoma laty Łukasz po raz kolejny przekonał się, że świat w gruncie rzeczy jest niewielki. Spotkał Ryśka w Nowym Mieście. Szybko przekonał się, że jest on tutaj bardzo ważną personą.

Zaczął go „odwiedzać". Najczęściej w nocy i pod nieobecność gospodarza. Nie, oczywiście, że nie w tej cukierkowej willi. Pan Ryszard miał jeszcze jeden dom. Sprytnie ukryty. „Odpoczywał" w nim po ciężkiej pracy w towarzystwie dziewcząt, które za odpowiednio gruby plik szeleszczących papierków były gotowe na wszystko.

Łukasz, zajęty myślami, nawet nie zorientował się, że dotarł do tej bardziej interesującej części miasta. Nikt tak zwany normalny nie przychodził tutaj o tej porze bez wyraźnej potrzeby.

Przechodził pomiędzy stojącymi bez ładu blokami. Ogólna szarość, rozświetlana bladawym, błękitnawym światłem, sączącym się z każdego niemal okna. Tu bezgranicznie królowała telewizja. Ludzie połykali wieczorną dawkę iluzji. Pozbawieni pracy, środków do życia, nadziei, przyszłości. „Na dnie piekieł ludzie gotują, kiszą kapustę, płodzą dzieci"... Słowa poety wydały mu się bardzo aktualne. Po co tu przychodził? Czemu katował się obrazem bezsensu, biedy? Może traktował to jako karę, którą sam sobie zadał. Przecież nie tak miało być. Coś po drodze popsuło się. Coś zostało przeoczone, zaniedbane. I była w tym część jego winy.

Pomiędzy blokami standard. Trzepak, śmietnik, ławki, czasem piaskownica. (Ta ostatnia bardzo pożyteczna. Jest gdzie oddać mocz). Tutaj, w pobliskim parku, w obskurnym barze toczy się nocne życie w nowomiejskim wydaniu. Skręty, browar, od czasu do czasu jakaś bójka, innym razem seks. Wszystko byle jak, byle zaliczyć następny dzień.

Przypomniał sobie swoje pierwsze wizyty w tych okolicach. Dla małolatów był frajerem. Nie dziwiły go więc zaczepki, dowcipy, wulgarne uwagi wygłaszane pod jego adresem. Nie reagował. Najwidoczniej owa obojętność nie spodobała się młodym. Któregoś wieczoru sprowadzili Cyborga. To był „ktoś". Cyborg miał już dziewiętnaście lat, kasę, chodził na siłownię, a co najważniejsze, jeździł własną bryką i robił „interesy"

z Panem Ryszardem. Wszyscy przed nim pękali. Spodziewali się więc niezłego widowiska. I było. Tyle że role nieco się odwróciły. Łukasz zazwyczaj starał się zachowywać spokój. Bywały jednak sytuacje, kiedy należało sięgnąć po ostateczne argumenty. Tamtego wieczoru wszystko rozegrało się w błyskawicznym tempie. Cyborg leżał otoczony grupą całkiem zdezorientowanych małolatów. Chyba bardziej niż mięśnie bolało go to, że dzieciaki były świadkami jego porażki. Długo potem nie pokazywał się na osiedlu. Za to Łukasz od tego czasu stał się nietykalny.

Doszedł do końca drogi, jaką zwykle chodził. Zamierzał więc wracać do domu. Nagle zatrzymał się.

Obrazek, jaki zobaczył, o tej porze i w tym miejscu był mocno zaskakujący. Po chodniku chodził nerwowo w tę i z powrotem młody ksiądz. Rozglądał się we wszystkie strony, jakby czegoś szukał. Machinalnie potrząsał kluczykami do samochodu. Łukasz zrozumiał. Podszedł bliżej.

– Zgubił ksiądz coś? – zapytał.

– A pan może znalazł? – dosyć niegrzecznym tonem odezwał się ksiądz.

– Nie. Ale mogę poszukać.

Ledwo wypowiedział te słowa, zaczął żałować, że w ogóle się odzywał. Czuł, że znowu pakuje się w coś, czego mógłby uniknąć. Tak naprawdę nic go nie obchodził ani ten facet, ani jego problem. Skoro jednak zaczął, nie zamierzał się wycofywać.

– Przepraszam – odezwał się ksiądz. – Nie chciałem być niegrzeczny. Jestem wściekły. Miał przecież zabezpieczenie.

– Nie ma zabezpieczeń – odparł Łukasz. – Co to było?

– Białe Clio. Pięcioletnie.

– Jeszcze młode.

– Owszem – zdawkowo odpowiedział ksiądz. – Znajdę tu gdzieś jakiś telefon?

– Na tamtej ulicy – wskazał ręką Łukasz.

– Dziękuję. Pan wybaczy. Dobranoc.

– Życzę powodzenia.

Łukasz stał jeszcze chwilę i patrzył za odchodzącym pospiesznie księdzem. Potem zdecydowanym ruchem odwrócił się i skierował w stronę „kryjówki" Pana Ryszarda. Wiedział, że jeżeli samochód skradli miejscowi, tylko tam należy go szukać. Nie był z siebie zadowolony. Zdawał sobie sprawę, że ksiądz nie potraktował poważnie jego obietnicy. Nie musiał jej spełniać. Mógł zresztą w czasie rozmowy powiedzieć, że zażartował. Dlaczego tego nie zrobił? Dlaczego od tylu już lat, jeżeli dał słowo, nawet przypadkiem, starał się go dotrzymać, bez względu na cenę, jaką musiał zapłacić? To był pewien rodzaj choroby. Skutek wyrzutów sumienia. „Ślubuję ci miłość, wierność oraz że cię nie opuszczę... oraz że cię nie opuszczę...". Słowa te dźwięczały w jego głowie, wracały jak bumerang, nie pozwalały na spokojny sen, bolały.

2.

W niewielkim mieszkaniu księdza Marka było głośno i tłoczno. Młodzież przygotowywała się do zbliżającej się uroczystości. Dziewczęta wycinały i kleiły elementy dekoracji. Chłopcy powtarzali teksty pieśni, wprowadzali konieczne poprawki muzyczne i oczywiście na wszelkie sposoby droczyli się z dziewczętami. Zwłaszcza z dwoma, które w tym gronie wyróżniały się w pewien sposób.

Najczęściej z Gosią. Ta z pozoru delikatna, niemal krucha istotka miała w sobie sporo energii i poczucia humoru. Zawsze pełna optymizmu umiała wiele spraw obrócić w żart. Obdarzona sporą błyskotliwością umysłu, zazwyczaj nie pozostawała chłopcom dłużna. Tym chętniej więc przekomarzali się z nią. Najbliżej związana była z Olą.

Do Oli odnosili się w nieco inny sposób. Była dziewczyną piękną, pełną delikatnego, kobiecego wdzięku, a przy tym mądrą, dobrą i skromną. Być może tyle zalet u jednej kobiety zdarza się równie rzadko, jak czterolistna koniczyna, ale w przypadku Oli właśnie tak było.

Do niedawna jej życie toczyło się w miarę normalnie. Studiowała. Do Nowego Miasta przyjeżdżała prawie na każdy weekend. Tutaj miała matkę, ciotkę i grono przyjaciół. Wychowywała się bez ojca. Znała go jedynie z fotografii. Nie wiedziała o nim wiele. Mama wiecznie zapracowana, zagoniona unikała rozmowy na ten temat. „Odszedł” – mówiła. „Musiał” – dodawała, jak gdyby go chciała usprawiedliwić. Ciotka milczała jak grób. Nie można z niej było wydobyć ani słowa. Do pewnego czasu Oli wystarczały te zdawkowe wyjaśnienia. Otoczona opieką i troską tylko czasami odczuwała brak ojca.

Przed dwoma laty zmarła mama. Nagły, niespodziewany, tragiczny dar losu. Bardzo trudno było go przyjąć. Przekonała się wówczas, jak wiele znaczy przyjaźń. Zrozumienie i współczucie okazane przez bliskie osoby w znacznym stopniu złagodziły ból, poczucie samotności, tęsknotę.

Od tamtego czasu coraz częściej myślała o ojcu. Zastanawiała się, czy żyje, kim jest, co robi. Były momenty, w których pragnęła go spotkać. Rzucić mu prosto w twarz wszystkie żale. Wygarnąć bez ogródek, jak mocno ją skrzywdził. Czyniła go odpowiedzialnym za samotność mamy, za jej pracę ponad siły, nawet za przedwczesną śmierć. Przychodziły jednak i takie chwile, kiedy z tęsknotą myślała o tym, jak dobrze byłoby oprzeć głowę na jego ramieniu. Poczuć, że jest ktoś, kto pomoże, obroni.

W jakiś czas po śmierci matki postanowiła sprzedać mieszkanie w Nowym Mieście i przenieść się gdzie indziej. Poczyniła już pewne kroki w tym kierunku. Udało się jej namówić ciotkę. Przekonała ją, że tak będzie lepiej. W dużym mieście miała, po skończeniu studiów, większe szanse na otrzymanie pracy.

Później wszystko się skomplikowało.

Pojawił się on. Ten, na którego widok serce mocniej bije, a oczy zachodzą mgłą.

W zasadzie nie pojawił się, ale nagle stał się dla niej kimś zupełnie innym. Znali się od dawna. Razem śpiewali w kościele, wspólnie uczestniczyli w spotkaniach, wyjazdach, wycieczkach.

Doskonale pamięta tamten wieczór. Ksiądz Marek zorganizował spotkanie przy ognisku. Zebrała się cała grupa. Były piosenki, żarty, tańce. Siedziała obok Michała. Piotrek, jego młodszy brat, będący zwykle duszą towarzystwa, dawał właśnie dowody swego komediowego talentu. Wszyscy co chwilę wybuchali gromkim śmiechem. Ola przetarła mokre od radości oczy i spojrzała na Michała. On również na nią popatrzył. W tej jednej chwili świat przestał istnieć. Rzeczywistość odpłynęła gdzieś daleko. Śmiała się jeszcze, a oczy stawały się coraz bardziej poważne i coraz bardziej zadziwione. Że do tej pory nic, a teraz tak wiele. Że zwyczajność niezwyczajna. Że niepokój. Że bicie serca. Że radosne onieśmielenie.

Obudzona przez kogoś z tego zapatrzenia, speszona, starała się wrócić do zabawy, ale nie udawało się to najlepiej.

Odkrywała go na nowo. Jego postać nabierała wyjątkowego znaczenia. Słowa, gesty miały teraz inny wymiar. Zapadały głęboko w serce, same się zapamiętywały.

Od tamtej pory budziła się i zasypiała z myślą o nim. Wykorzystywała każdą nadarzającą się okazję, aby go spotkać. Kochana Gosia, jedyna powiernica, pomagała. Od niej Ola dowiadywała się, kiedy Michał bywa w Nowym Mieście. Rzucała wówczas wszystko w kąt i przyjeżdżała do domu. Byleby być blisko. Od niej również dowiedziała się, że Michał dostał pracę w miejscowym liceum. Natychmiast zmieniła plany dotyczące przeprowadzki. Ciocia nie rozumiała tak nagłej zmiany decyzji.

Przez długi czas Oli zdawało się, że nie jest mu obojętna. Spojrzenia rzucane ukradkiem, słowa, gesty mogły świadczyć o tym, że on też...

Później przyszło to najgorsze. Zobaczyła go z dziewczyną. Szli, trzymając się za ręce. Zadowoleni, uśmiechnięci. Starała się zbagatelizować to wydarzenie. Tłumaczyła sobie, że to po prostu koleżanka, że to nikt ważny dla niego, a ona wszystko wyolbrzymia. Ale zdarzyło się to następny i następny raz...

Zaczęło boleć. Próbowała zapomnieć. Bywało, że nie przyjeżdżała na weekend do domu, ale wówczas było jeszcze gorzej. Tęskniła, płakała i złościła się na siebie samą. Myślała, że gdyby pojechała, byłoby lepiej. Potem dowiadywała się od Gosi, że on był, ale nie pytał o nią. Popadała w przygnębienie, była bliska rozpaczy. Mimo to gdzieś na dnie tliła się iskierka nadziei. Przypominała sobie spotkania, rozmowy i zdawało się jej, że nie jest mu obojętna. Ta niepewność stawała się nie do zniesienia. Wszystko pozostawało w sferze domysłów. Czasami pragnęła poznać do końca całą, nawet najgorszą dla niej, prawdę. Po prostu podejść i otwarcie zapytać: „Czy to jest twoja dziewczyna?”. Jednocześnie rodził się lęk, czy takim pytaniem nie zdradzi swojej tajemnicy? A jeżeli usłyszy: „Tak, to moja dziewczyna”. Nie wiedziała już, co lepsze. Czy żywić nadal złudne nadzieje, czy zmierzyć swoje siły z twardą rzeczywistością?

W tym czasie, wracając do domu, spotkała w pociągu mamę swojej koleżanki z liceum. Nie widziały się prawie trzy lata. Mimo to rozmowa potoczyła się nadspodziewanie gładko. Trochę wspominały, trochę pytały o wspólnych znajomych. Ola oczywiście najbardziej interesowała się tym, co teraz porabia Jola. Jak się jej wiedzie? W liceum były dobrymi koleżankami. Po maturze rodzina Joli wyprowadziła się z Nowego Miasta i dziewczyny straciły ze sobą kontakt. Okazało się, że Jolka jest od trzech

lat za granicą. Jej mama z zadowoleniem i nieukrywaną dumą opowiadała, jak dużo córka zarabia, jakie paczki przysyła, jak się jej dobrze wiedzie. Radziła Oli, żeby zrobiła tak samo. Twierdziła, że dla młodego człowieka to jedyna szansa, żeby do czegoś dojść, bo tutaj nikogo nic dobrego nie czeka. Tylko bieda i brak perspektyw.

Wymieniły adresy i telefony. Obiecywały odnowić znajomość. Jeszcze przy wysiadaniu z pociągu przekazywały wzajemne pozdrowienia. Ola pomachała ręką na pożegnanie, odwróciła się i... Na sąsiednim peronie stał Michał. Obok niego dziewczyna. Ta sama. Głowę oparła na jego ramieniu i z filuternym uśmiechem coś do niego mówiła. On patrzył na nią tak, jak patrzy się na kogoś bliskiego. „Całkiem sympatyczna" – pomyślała ze smutkiem Ola. Dźwignęła plecak, który w tym momencie wydał się jej niesamowicie ciężki, i ze spuszczoną głową powlokła się do domu.

Jeszcze tego samego wieczoru wróciła do akademika.

Postanowiła. Mama Jolki ma rację. Wyjedzie. Zapomni. Nowy świat, nowa praca, nowi ludzie. Przy okazji zarobi trochę prawdziwych pieniędzy. Na pewno będzie łatwiej. Tutaj nic dobrego jej nie czeka.

Ciocia nie chciała się z tym pogodzić, ale zabronić nie mogła. Gosia stała się nieco bardziej milcząca niż zwykle i trochę mniej optymistyczna. Zdania innych przyjaciół były jak zwykle podzielone. Jedni kibicowali jej, drudzy odradzali.

Dzisiaj przyjechała do Nowego Miasta, żeby pobyć z przyjaciółmi. Pożegnać się z nimi. Chciała też pomodlić się przed drogą w swoim kościele. Zawsze miała wrażenie, że tutaj Pan Bóg lepiej słyszy jej prośby. Może liczyła też, że jeszcze raz zobaczy Michała. Może spodziewała się, że nastąpi to, co niespodziewane. Może marzyła, że usłyszy: „Zostań". Może...

Popatrzyła ukradkiem w jego stronę. Siedział w kącie. Zamyślony. Nieobecny. Brzdąkał na gitarze. Odwzajemnił spojrzenie. Natychmiast uciekła ze wzrokiem i nazbyt energicznie zaczęła sklejać gotowy już element dekoracji. Na szczęście chyba nikt oprócz Gosi tego nie zauważył. Tak się jej przynajmniej wydawało. Nie zwróciła uwagi na Piotrka, który bacznie obserwował zarówno ją, jak i swojego starszego brata.

Piotrek od dawna domyślał się, że Michał darzy Olę czymś znacznie więcej niż tylko sympatią. Niejeden raz widywał go zamyślonego, rozmarzonego, wpatrzonego w jej zdjęcie. Starał się w takich chwilach udawać, że tego nie dostrzega. Nie chciał krępować brata. Tym bardziej, że Michał czuł się wówczas bardzo speszony. Za wszelką cenę starał się ukryć swoje zmieszanie. A, że starał się aż nadto przesadnie, efekty były tym gorsze. Obydwaj wówczas próbowali znaleźć jakiś obojętny temat rozmowy.

Byli nie tylko braćmi, ale i przyjaciółmi. Nie mieli w zasadzie przed sobą tajemnic. Potrafili szczerze i otwarcie rozmawiać o wielu problemach. Jedynie w sprawie Oli obydwaj zachowywali daleko posuniętą powściągliwość.

Dopóki ona studiowała i bywała często w Nowym Mieście, Piotrek, chociaż zniecierpliwiony niezaradnością brata, traktował całą tę sytuację ze sporym spokojem. Często nawet z rozbawieniem. Śmieszyło go, kiedy Michał poważnym tonem wygłaszał przeróżne argumenty mające go przekonać, że właśnie w tym dniu i o tej porze powinni pójść do księdza Marka albo do Gosi, albo też w inne miejsce. Doskonale wiedział, że jedynym powodem, dla którego Michał odkłada na bok wszystkie inne zajęcia i z taką ochotą wychodzi, jest to, że właśnie tam może spotkać Olę. Udawał, że nabiera się na te niewinne sztuczki.

Sytuacja uległa diametralnej zmianie, kiedy dowiedzieli się, że Ola postanowiła wyjechać za granicę. Nikt tak do końca nie rozumiał jej nagłej w gruncie rzeczy decyzji. Ona sama niewiele mówiła. Piotrka opanował jakiś dziwny rodzaj lęku. Przekonanie, że dzieje się coś złego. Bał się zwłaszcza o brata. Michał, zwykle powściągliwy i małomówny, teraz zamilkł na dobre. W towarzystwie innych osób jeszcze jakoś się trzymał. Nawet rozmawiał, chociaż widać było, że czyni to jedynie z grzeczności, a nie z prawdziwej potrzeby dialogu. Kiedy zostawali sami, nie starał się już nawet udawać. Czasami Piotrek był na niego wściekły. Łajał go w myślach. Nazywał babą, ciemięgą, ciapą i wieloma innymi epitetami. To znów patrzył na jego ściągnięte usta, podkrążone, smutne oczy i wówczas jego samego ogarniał smutek.

Dzisiaj nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chodził z kąta w kąt. Czasami tylko włączał się do rozmowy. Nawet zdarzyło mu się parę razy zażartować, ale myśli miał ciągle zajęte tym samym. Opanowało go niczym niewytłumaczone przekonanie, że jeżeli dzisiaj Michał się nie zdecyduje, to wszystko będzie stracone. Chciałby pomóc, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Spoglądał ukradkiem na brata i prawie czuł jego cierpienie. Kochał go i podziwiał, ale był jednocześnie na niego wściekły za niezdecydowanie. „Jaki to sens męczyć się tak nawzajem" – myślał. „Nie prościej powiedzieć? Będzie z tym czekał do emerytury?".

– Dzisiaj już chyba nic z tego nie będzie – z rezygnacją w głosie powiedziała Gosia.

– Z czego? – zapytał z przestrachem Piotrek, sądząc, że Gosia jakimś nadludzkim sposobem odgadła jego myśli.

– Mieliśmy pojechać do pani Łucji, ale jest już po dziewiątej, a księdza jeszcze nie ma – niepokoiła się.

– Może dziadek miał dużo grzechów – odetchnął Piotrek.

– Dokończycie resztę, dobrze? – powiedziała Ola, spoglądając na zegarek. – Późno już, a ja mam jeszcze sporo do pakowania. – Jeszcze raz ukradkiem spojrzała na Michała. – Muszę już iść.

– Przyjdziesz jutro? – spytała Gosia.

– Chyba tak. Z rana będę miała trochę czasu. To pa.

– Paaa – odpowiedzieli chórem.

Piotrek natychmiast wykorzystał sytuację.

– My też musimy iść. Obiecaliśmy mamie, że wrócimy wcześniej – łgał jak z nut. – Michał, zbieraj się – zwrócił się w stronę brata i nie zważając na jego zdziwienie, dodał: – No szybciej. Ola, poczekaj! – krzyknął w stronę przedpokoju. – Pójdziemy razem.

W trójkę wyszli na ulicę. Rozmowa nie kleiła się.

– Fajna pogoda – powiedział Michał.

– Tak, przyjemnie – potwierdziła Ola.

Znów zapadła cisza.

„Zaraz powiem coś głupiego" – myślał Piotrek. „Trzeba się zmyć".

– O, kurcze! – zawołał głośno. – Zostawiłem scyzoryk. Muszę wrócić.

– Zabierzesz go jutro – spokojnie powiedział Michał.

Piotrek kipiał ze złości.

– Nie. Muszę go zabrać dzisiaj – mówił stanowczo. – Nie mogę bez niego żyć. „Ty ciemniaku” – łajał w myśli brata. „Nie kapujesz, że chcę was zostawić samych?!”.

– Poczekamy na ciebie – powiedział Michał.

– Nie! – prawie wrzasnął Piotrek. – Idźcie, dogonię was.

Zostali sami. Szli w milczeniu. Chcieliby powiedzieć tak wiele, ale ogarnięci niepewnością nie znajdowali najprostszych słów. Nie wiedzieli, o czym mówić. Wsłuchiwali się w odgłos własnych kroków i bicie serca.

Zatrzymali się przed blokiem, w którym mieszkała Ola.

Stali blisko, zwróceni twarzami do siebie. Podał jej siatkę. Ich dłonie zetknęły się. Spojrzeli na siebie i natychmiast, prawie jednocześnie, uciekli ze wzrokiem. Ola spuściła głowę. Kątem oka dostrzegła, że Michał otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Pełna niepokoju i nadziei czekała. On podniósł oczy w niebo, jak gdyby stamtąd spodziewał się pomocy. Ale westchnął tylko i zacisnął usta w dziwnym grymasie, podobnym do uśmiechu. Ktoś wychodzący zbyt energicznie otworzył drzwi i popchnął nimi Olę wprost na Michała. Objął ją odruchowo. Zadrżała. Trwali tak przez chwilę. Potem speszeni i zawstydzeni niezgrabnie odsunęli się od siebie. Ola, nie podnosząc oczu, cichutko powiedziała:

– Do jutra.

Ruszyła w stronę drzwi. Nacisnęła klamkę.

– Olu – usłyszała za plecami. Odwróciła się szybko.

– Tak? – zapytała z niepokojem i nadzieją.

Milczał chwilę, po czym nabrał oddechu, jak przed dłuższą wypowiedzią.

– Dobranoc – wykrztusił.

– Dobranoc – odpowiedziała.

Trzask zamykających się drzwi zdawał się być głośniejszy niż zwykle.

3.

Przez całą drogę Łukasz kłócił się sam ze sobą. Nie rozumiał swojego zachowania. Powinien był wrócić do domu. Było mu całkowicie obojętne, czy ksiądz odnajdzie samochód. Nie miał też zamiaru przed nikim się popisywać czy zgrywać bohatera. Nie wiedział, czy kradzież była sprawką miejscowych wielbicieli motoryzacji, ani tego, czy dzisiaj zastanie Ryśka. Jego działanie było więc pozbawione jakiejkolwiek logiki. Mimo to szedł nadal w stronę „kryjówki". Jakaś niewidzialna siła nie pozwalała mu zawrócić.

Minął park i zbliżał się do dworca kolejowego. Szedł wąską alejką, obsadzoną jakimiś mizernymi drzewkami. Tu i ówdzie stały ławki, których koloru daremnie by szukać w palecie barw. Były one jedynym lokum tych, co wypadli poza nawias. Nie mieli nic oprócz życia, które uparcie nie chciało się skończyć. „Przerażające odpadki cywilizacji" – myślał Łukasz. „Osiągnięcie dumnej ludzkości, zdobywającej kosmos, wyrzuty społecznego sumienia. Z jednej strony są niepożądanym elementem środowiska. W znacznym stopniu psują jego estetyczną w zamiarze formę. Z drugiej zaś – nieodzowni, wręcz konieczni. Swoją marną egzystencją zapewniają dobre samopoczucie tym, którzy są jeszcze pożyteczni. Być może jedynie z tego powodu jeszcze ich się nie zwalcza. Nie jest chyba problemem dla współczesnej nauki, dla nowoczesnej technologii opracowanie preparatu, który nazywałby się „środek bezdomnobójczy". Bo przecież dla tej ogromnej machiny produkcyjnej, jaką stał się świat, pozornie mającej na celu uszczęśliwianie człowieka, a faktycznie nastawionej jedynie na zysk, stali się bezużyteczni. Racjonalnie rzecz ujmując, zepsutą część należy wyrzucić i zastąpić ją nową. Nie ma w takim rozumowaniu nic nielogicznego. Skąd więc miałby się brać szacunek dla człowieka jako takiego, dla jego życia?". Popatrzył w niebo. Wydało mu się nieskończenie piękne, nieskończenie tajemnicze i nieskończenie obojętne.

Westchnął, kopnął leżący na alejce kamyczek i szedł dalej.

W sąsiedztwie dworca, przy niewielkim skwerze, stało kilka starych kamieniczek z czerwonej cegły. Żadna nie wyróżniała się niczym szczególnym. W jednej z nich znajdowała się „kryjówka" Pana Ryszarda. Nikomu, poza „niektórymi ludźmi interesu", nie przyszłoby do głowy szukać go tutaj, zwłaszcza zazdrosnej żonie.

Łukasz, sobie tylko znanym sposobem, otworzył drzwi i wszedł do środka. Bywał tutaj czasami. Traktował to jako rodzaj zabawy, przekomarzania się z Rychem. Czasami częstował się jakimś drobnym przysmakiem z ogromnych zapasów znajdujących się w kuchni. Ilość zgromadzonej żywności była wystarczająca na otwarcie niewielkiego sklepu. Tym razem nie miał ochoty na jedzenie.

Drzwi salonu były otwarte. Na przedpokój lała się struga światła. „Czyżby gospodarz był obecny?" – pomyślał Łukasz. „Za dużo przypadków jak na jeden wieczór". Stąpał ostrożnie. Ciągle miał nadzieję, że kiedyś uda mu się zaskoczyć Ryśka, wywołać jakąś gwałtowniejszą reakcję. Prawie bezszelestnie wsunął się do salonu.

Jedna z dziewcząt, spostrzegłszy go, zaczęła przeraźliwie piszczeć. Siedzący w fotelu Rychu powoli odwrócił głowę, nie przerywając jedzenia. Obojętnie popatrzył na Łukasza.

– Zamknij się – uciszył dziewczynę. – Wczesna pora na wizytę – zwrócił się do Łukasza.

– Kiedy gość miły, pora nie ma znaczenia – odparł Łukasz.

Rysiek nic nie odpowiedział. Wytarł tłuste palce w szlafrok i głośnym beknięciem oznajmił czasowe zawieszenie czynności jedzenia.

– No, na co czekają? – zwrócił się do dziewczyn, które, chyba trochę zaskoczone sytuacją, nie ruszały się z miejsc i z ciekawością przyglądały się Łukaszowi. – Nie widzą, że gość przyszedł? Na górę, już.

Wstały natychmiast. Szepcząc coś i chichocząc, wyszły z salonu.

– Siadaj – powiedział Rysiek. – Częstuj się.

– Dzięki. Nie mam ochoty.

– Nie to nie. Chcesz coś ode mnie?

– Na osiedlu skradziono dziś wieczorem samochód.

– Taaak? Co ty powiesz? A to ci wydarzenie – zaśmiał się Rysiek. – Mam z tym coś wspólnego?

– Znasz różnych ludzi. Może coś wiedzą.

– Ty. Przecież ty nie masz samochodu, to co cię to obchodzi?

– Zależy mi.

– Chłopie, jest noc.

– Prosił nie będę – powiedział Łukasz. Wstał z zamiarem odejścia.

– Czekajże – zatrzymał go Rysiek. Obydwaj wiedzieli, że jeżeli samochodu nie znajdzie się w ciągu kilku godzin, później nie będzie sensu go szukać.

Rysiek odczuwał w stosunku do Łukasza pewien rodzaj słabości. Uważał go co prawda za dziwaka, nie rozumiał, jak facet z takim mózgiem żyje tak, jak żyje, dlaczego nie robi kariery, ale lubił go na swój sposób. Był mu też do pewnego stopnia wdzięczny za to, że umiał trzymać język za zębami. Inny na pewno już dawno wszystko wypaplałby jego żonie. Nie to, żeby Ryśkowi na niej zależało. Kobita jak kobita. Nie ta, to inna. Po to są. Tyle, że byłby to niepotrzebny kłopot. Teraz, jak się zdarzy impreza, Pan Ryszard z regularną małżonką, pod rączkę. I wszystko gra. Szacunek. A jakże. Poważanie. I o to chodzi.

Było coś jeszcze. Sprawa z dawnych czasów. Śmierdząca. Szwindel, o którym lepiej, żeby nikt nie wiedział. Póki co Łukasz milczał. Mimo to Rysiek wolał być dla niego miły.

– Siadaj. Podzwonimy. Czego szukamy?

– Pięcioletnie, białe Renault.

Rysiek uśmiechnął się i ze zdziwieniem podniósł brwi go góry, ale nie powiedział nic. Sięgnął po telefon.

– Daj mi Fajȩ... Faja?... Znajdź mi białą renówkę, pięciolatkę... Nie, nie chcę jeździć takim gównem. Ktoś ją zwinął z osiedla.... No... Czekam... No jasne, że na teraz.

Odłożył słuchawkę. Przeciągnął się i zatarł ręce.

– Idziesz? – wskazał głową na schody prowadzące na piętro. – One dwie i my dwóch, będzie ruch – zaśmiał się.

– Dzięki. Nie – odpowiedział Łukasz.

Rychu wzruszył ramionami, poprawił szlafrok i pogwizdując, poszedł na piętro.

4.

Świtało, kiedy rozległ się dzwonek. Łukasz otworzył jedno oko i chwilę nadsłuchiwał. Nie spodziewał się nikogo. Dzwonek rozległ się powtórnie. A więc to nie sen. Wstał, ziewnął szeroko, aż się cały wstrząsnął, i poszedł otworzyć. W drzwiach stała jedna z dziewcząt, które widział wczoraj u Ryśka.

– Przyprowadziliśmy ten wózek, nie – powiedziała i wskazała na biały samochód. – Pan Ryszard kazał, że jakby pan chciał jechać, to Faja go panu zapali. Ma zapalić?

– Nie trzeba.

– Ale nie ma kluczyków – tłumaczyła dziewczyna.

– Spodziewam się – powiedział Łukasz. – Dam sobie radę.

– Jak pan chce.

Dziewczyna uznała rozmowę za zakończoną. Kołysząc biodrami, odeszła w stronę zaparkowanego nieopodal samochodu. Po chwili dał się słyszeć ryk silnika i pisk opon. „Pozytywne – pomyślał Łukasz – można się obejść bez budzika".

Wrócił do środka. Włączył ekspres. Starał się zebrać myśli. Ilość przypadków wydała mu się nieprawdopodobna. Zdarzenia następowały tak, jak gdyby je ktoś reżyserował. Wiedział, że rozegra ten epizod do końca. Mógł przecież zostawić samochód tam, gdzie stał w tej chwili. Na pewno kradzież została zgłoszona i prędzej, czy później (to drugie określenie wydało mu się bardziej adekwatne) jakiś stróż prawa natknie się na zgubę. Chociażby niechcący. Dlaczego więc postanowił się ubrać i odprowadzić auto na miejsce?

No właśnie. O tym nie pomyślał. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie może mieszkać ksiądz.

Z takimi myślami wyszedł przed dom. Podszedł do samochodu i otworzył drzwi.

– Przepraszam – usłyszał za plecami kobiecy głos. Odwrócił głowę.

– Przepraszam – powtórzyła, uśmiechając się miło, starsza pani. – Jedzie pan może do kościoła?

– Tak – skłamał, zaskoczony jej pytaniem.

– Bo wie pan, zobaczyłam samochód księdza i tak sobie pomyślałam, że pan mógłby podrzucić do kościoła feretrony. Ksiądz Marek miał po nie przyjechać wczoraj wieczorem. Och, on ma tyle zajęć. Na pewno coś mu wypadło. A widzi pan, przez całe miasto, na piechotę, to trochę niewygodnie. A mąż znowu narzeka na nogi. Musiałabym sama...

– Oczywiście – zgodził się szybko Łukasz, byleby przerwać nieznajomej.

– Naprawdę? Bardzo się cieszę. To ja za chwileczkę...

Nie dokończyła. Odwróciła się i z pośpiechem podreptała w stronę pobliskiej bramy. Po chwili ukazała się znowu w towarzystwie starszego jegomościa. Oboje nieśli haftowane tkaniny zawieszone na niezbyt długich drzewcach. Podeszli do samochodu, otworzyli drzwi i rozpoczęli nierówną walkę z prawami fizyki. Prowadzili przy tym ożywioną rozmowę. Ale wygłaszane przez nich życzenia nie wpłynęły na zmianę sytuacji. Samochód nie chciał się wydłużyć, drzewce zaś nie rezygnowały ze swej sztywności. Łukasz ze spokojem przyglądał się tym wszystkim zabiegom. Wreszcie zrobili to, od czego powinni byli zacząć. Uchylili bagażnik. Zabezpieczyli wszystko w możliwie najlepszy sposób. Zadowoleni z dokonanego dzieła stanęli obok siebie i uśmiechali się z ukontentowaniem. Łukasz też stał i uśmiechał się. Chciał uniknąć majstrowania przy przewodach w ich obecności. Nie było jednak nadziei na to, że sobie pójdą. Bardzo chcieli zobaczyć, jak odjeżdża. „Może nie zauważą” – pomyślał. „To bogobojni ludzie. Nie będą podejrzewać”. Uśmiechnął się raz jeszcze. Starsza pani odwzajemniła uśmiech. W jej oczach dostrzegł ogniki dziwnej radości.

– A ja myślałam, że pan jest bezbożnikiem – powiedziała ciepło i przepraszająco.

Skinął tylko głową i szybko wsiadł do samochodu. Uruchomił go błyskawicznie, niemal odruchowo. Zabolała go jej uwaga. Prawda, że nie obnosił się ze swoją wiarą. Niewiele miał wspólnego z Kościołem.

Drażniła go zewnętrzność, religijny entuzjazm, liturgiczność. Zastanawiał się, ile w tym złudzenia poprawności, formalizmu, estetyki i iluzji, a ile autentyczności. Nabożeństwa, procesje, pielgrzymki i wszelkie inne tego typu obrzędy odbierał jako „uprawianie katolicyzmu". Widział w nich niemal surrealistyczną magię zaklęć i pobożnych życzeń, które mają niewiele wspólnego z chęcią poszukiwania prawdy, dobra, nadziei.

Jak na ironię w tej chwili on sam mógł być postrzegany przez innych jako entuzjasta zewnętrznych form wiary. „W biały dzień – mówił sam do siebie – jadę przez główne ulice miasteczka, w którym wszyscy wszystkich znają. Jadę samochodem skradzionym poprzedniej nocy. Samochodem będącym własnością księdza. Z bagażnika wystają jakieś kościelne chorągwie, kolorowe wstążki powiewają na wietrze. Znakomity kamuflaż. Na pewno nikt nie zwróci na mnie uwagi. Powinienem doskonale wiedzieć, gdzie jest kościół. Szkoda, że nie jest to stara, zabytkowa miejscowość. Byłby w centrum. Jakoś go przecież znajdę. Odstawię to nieszczęsne auto. Nikogo nie będę informował. Z nikim nie będę rozmawiał. Zostawię i odejdę. Wrócę do domu i położę się spać".

Znalezienie kościoła istotnie nie było trudne. Złoty krzyż, połyskujący w porannym słońcu, górował nad budynkami. Łukasz skręcił w wąską uliczkę. Odszukał bramę i wjechał na przykościelny plac. O tej porze dnia spodziewał się tutaj ciszy i spokoju. Tymczasem, ku ogromnemu zdziwieniu, zobaczył grupę młodych ludzi. Jedni ustawiali jakieś rusztowania, inni sprzątali. Ledwo dostrzegli samochód, zbiegli się wszyscy, wzajemnie się przekrzykując. O zachowaniu anonimowości nie mogło być mowy. Mimo to Łukasz postanowił dotrzymać danego sobie słowa, wysiąść i odejść. Właśnie zamierzał to uczynić. Obojętnie popatrzył po zaciekawionych i rozbawionych twarzach dziewcząt i chłopców.

Kątem oka zauważył postać księdza, który pospiesznym krokiem zbliżał się w tę stronę. Towarzyszyła mu smukła szatynka. W jej ruchach, gestach było coś znajomego. Przyjrzał się dokładniej. Zastygł bez ruchu. Zdziwienie, żal, nadzieja, radość, tęsknota i Bóg wie, co jeszcze owładnęły jego umysłem. Dotykał niemal wzrokiem każdego szczegółu jej wyjątkowej twarzy. Włosy, czoło, usta były te same, takie same. Tak pięknie umiała się śmiać oczami tylko jedna kobieta. Tylko ona. Świat nagle wydał mu się

nierealny. Miał wrażenie, że śni. Nie wierzył i zarazem chciał wierzyć. Nie miał pewności, a serce mówiło, że tak.

Dziewczyna, speszona i zdziwiona, nie umiała ukryć skrępowania. Spuściła oczy.

Nagle drzwi samochodu zamknęły się z trzaskiem. Łukasz drgnął. Młodzi ludzie w milczeniu przyglądali mu się z uwagą. Nie chciał ich wzroku. Nie chciał niczyjej obecności. Odwrócił się gwałtownie i pospiesznie ruszył przed siebie.

Chciał jak najszybciej znaleźć się sam. W głowie miał zamęt. Myśli, obrazy, słowa przesuwały się niczym w kalejdoskopie. Wspomnienia, które od tylu lat starał się stłamsić, zepchnąć na samo dno pamięci, wróciły teraz ze zwielokrotnioną siłą.

Niewielki pokoik, koledzy, czekanie na cud, wiara w niemożliwe. Gorące dyskusje do świtu. Wizje szczęśliwej przyszłości. Odwaga. Duma, że coś wyjątkowego, niecodziennego. „Żeby Polska była Polską". Braterstwo, zaufanie, pomoc. Czasem śmiech, żarty z byle czego, żeby było łatwiej. Czasem strach, czasem łzy, bo kogoś znów zabrakło.

W domu ona, ta jedyna, kochana, najdroższa, pochylona nad łóżeczkiem. Ze swoimi matczynymi problemami. Szczęśliwa i niepewna. Radosna i zatroskana. Bo pierwsze słowo, bo już chodzi. Bo znów gorączka, choroba.

Plac wypełniony do ostatniego miejsca. Ramię przy ramieniu. Tysiące oczu wpatrzonych z nadzieją w postać w bieli. Tysiące serc mocno bijących. Czekających na pociechę, na wsparcie. Napięcie sięga zenitu. Czy powie, co powie, jak powie? Wielotysięczną ciszę przerywa spokojny, dobry, ale stanowczy i pewny głos. „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi". Owacje. Wzajemne uśmiechy. Uścisk dłoni. Wiara, że możliwe. Że się uda.

Ona niepewna. Ciągle pytająca. Dlaczego ty? Dlaczego nie inni? Jak będzie? Czy na pewno wrócisz? Pozostawiona bez odpowiedzi. Bo niemożliwa. Zmuszona do wybierania. Zbyt młoda, by zrezygnować.

Uparci, zdeterminowani, gotowi na wszystko. Spracowani, zmęczeni, ale wytrwali. Im więcej przeszkód, tym upór większy. Im dłuższa niepewność, tym więcej nadziei. Im więcej bólu, tym więcej godności.

I przeświadczenie, że nie na darmo. „Pracujmy nad pracą, aby praca znów stała się płaszczyzną zgody, porozumienia i pokoju”.

Ona wpatrzona w zaróżowioną od snu buzię małej. Milcząca. Już nie pyta. Zalękniona. Zwyczajnie, po ludzku, po kobiecemu. O niego, a to znaczy i o siebie samą, o dom, o małą. „Nie mam teraz czasu dla ciebie, nie widziała cię długo matka. Jeszcze trochę poczekaj, dorośnij, opowiemy ci o tych wypadkach. O tych dniach pełnych nadziei”...

Przysiadł na jakiejś ławce. Ukrył głowę w dłoniach. Ciałem wstrząsały dreszcze. Serce napełniła gorycz.

Powiedziała, że wyjechały. Na stałe. Nie szukał więc. Dlaczego tak łatwo uwierzył? Czemu zrezygnował?

A może to nieprawda? Może to wcale nie ona? Skąd więc to przeczucie, że tak? Skąd kołatanie serca?

Boże, dlaczego kazałeś mi kochać?! Jestem cząstką fizycznego wszechświata. Materialnego, matematycznego, logicznego i zimnego. Doskonale obojętnego. Czemu mnie, człowieka, obdarzyłeś wątpliwą godnością odczuwania? Czemu sprawiasz, że to tak boli?

Skazałeś mnie na samotność. Nie żądałem zbyt wiele. Jednego serca, które biłoby tak jak moje. Kawałka ziemi, na którym czułbym się bezpiecznie. Gdzie Twoje nieskończone miłosierdzie? Gdzie Twoja nieskończona sprawiedliwość? Kradną, zabijają, oszukują, wykorzystują. Patrzysz na to obojętnie. Co Cię to może obchodzić? Co Cię obchodzę ja?

Zawiniłem, to prawda. Ale ukarałeś mnie zbyt surowo.

Czy Ty mnie w ogóle słuchasz? Czy Ty w ogóle jesteś?

Pewnie jesteś, skoro mam do Ciebie pretensje.

Jeśli mnie słyszysz, pomóż mi.

5.

Pani Maria i Magda właśnie kończyły nakrywać do stołu, kiedy do domu wszedł Michał.

– O, już jesteś? – zdziwił się, widząc kuzynkę.

– Przyjechałam tylko na chwilę – mówiła Magda. – Dzisiaj z nauki nici. Muszę zaraz wracać.

– Mogłaś zadzwonić.

– Nie cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytała z udawanym wyrzutem.

– Ależ cieszę się, cieszę – zapewnił i głośno ucałował ją w czoło.

– A gdzie Piotr? – spytała pani Maria.

– Tutaj – odpowiedział Piotrek, wchodząc. – Wiesz mamo, ale czad! – mówił, witając się z Magdą.

– Wczoraj wieczorem ksiądz Marek pojechał do jakiegoś umrzyka. Zostawił wózek pod blokiem i ktoś mu go zakosił.

– Piotrek, mów po polsku – zwróciła mu uwagę matka.

– No przecież mówię. Słuchaj dalej. No więc ksiądz stoi chwilę i nie wie, co robić, a tu pojawia się jakiś facio i ściemnia, że on mu wózek... to znaczy samochód odnajdzie. Ksiądz myślał, że gościo ma nie po kolei pod czaszką. A tu dzisiaj, patrzymy. Nie uwierzysz. Na plac zajeżdża białe Renault. Od razu zajarzyliśmy, że to księdza. Bagażnik niedomknięty, wystają końcówki kościelnych chorągwi...

– Pani Łucja zabrała, żeby odczyścić – z ogromnym zdziwieniem powiedziała pani Maria.

– No mówię ci, jak w filmie – kontynuował Piotrek. – Chłopaki gazu po księdza. Nie chciał wierzyć. A gościo, spoko. Zaparkował. My nic. Stoimy. Czekamy na rozwój akcji. Wysiada. Włosy do ramion, broda. Starszawy, ale przypakowany jak Rambo. Ogólnie w porządku.

– To ten dziwak, o którym opowiadała pani Łucja – wyjaśnił matce Michał.

– Ja go nigdy nie widziałem – mówił dalej Piotrek. – To dlatego, że mi każesz wcześnie wracać do domu.

Pani Maria uśmiechnęła się tylko. Z miłością przygarnęła obydwu swoich synów.

– Jedzmy – powiedziała – bo wystygnie.

Usiedli do stołu. Piotrek popatrzył na talerz, na matkę i z nadzieją spytał:

– Ale w niedzielę będzie mięso?

Wszyscy spojrzeli po sobie i roześmiali się serdecznie.

– Teraz najważniejsze – ciągnął swą opowieść Piotrek. – Co to ja mówiłem? A, już wiem. No więc ten gostek wysiada. Czekamy, że zacznie wstawiać jakąś nawijkę. On nic. Odwraca się i normalnie chce sobie pójść. Wtedy przyszedł ksiądz z Olą. I on ją zobaczył. Znaczy ten facet. Mówię ci, gościa zamurowało. Beton. Totalny beton. Stoi i gapi się. Rusza tylko ustami jak babcia Kazia, ale nic nie mówi. A blady! Żywego gościa takiego bladego to ja jeszcze nie widziałem.

Na znak swojego ogromnego zdziwienia Piotrek pokręcił głową.

– I co dalej? – zapytała Magda.

– Co dalej. Jakub – wy go nie znacie – jak to Jakub. On jest techniczny. Tylko samochody, motocykle i te rzeczy. Reszta go nie wzrusza. Cały czas przyglądał się, czy złodzieje czegoś nie uszkodzili. Chciał sprawdzić, czy drzwi się dobrze zamykają... Trzasnął nimi trochę za mocno. Wtedy ten facet zatrząsł się, jakby go kto do prądu podłączył. Zrobił duże oczy, a potem zwyczajnie poszedł.

– A ta dziewczyna? – zainteresowała się Magda. – Co ona na to?

Piotrek zerknął spod oka na brata.

– To może ja pozmywam – zaproponował.

– Niech ciocia siedzi – zwróciła się Magda do pani Marii. – Ja mu pomogę.

Zebrali ze stołu naczynia i wyszli do kuchni.

Michał na wspomnienie Oli wyraźnie posmutniał. Pani Maria popatrzyła na niego troskliwie.

– Wyjechała – raczej stwierdziła, niż zapytała. Pokiwał głową.

– Boli?

Znów przytaknął.

– Taki rodzaj cierpienia dodaje życiu uroku.

– Mamo. Ona nie wie, że ja... Ależ ze mnie idiota! – wybuchnął nagle. – Zabrakło mi odwagi. Jeszcze na dodatek ten dziwny człowiek i jego zachowanie. Boję się. Nie wiem, co o tym myśleć.

Pani Maria położyła dłoń na ramieniu syna.

– Michałku. Znasz to porównanie. Z miłością i rozłąką jest jak z ogniem i wiatrem. Wiatr gasi malutki płomyczek zapałki, ale rozpala ognisko. Prawdziwa miłość nie boi się ani czasu, ani odległości, ani innych ludzi. Jeżeli to, co was łączy, ma wartość, nikt i nic nie będzie w stanie tego zniszczyć.

Wierzył matce. Wiedział, że ma rację. Ale to w niewielkim stopniu łagodziło niepewność i tęsknotę.

Z zamyślenia wyrwał go głos brata.

– Idziesz? – zapytał Piotrek. Popatrzył nieprzytomnie.

– Odprowadzimy Magdę.

– Aaa... Jasne.

Pani Maria, żegnając się z siostrzenicą, przekazywała pozdrowienia. Zapraszała ponownie.

Pakowała zioła dla babci. Po raz kolejny wyjaśniała, jak je przygotować. Było trochę zamieszania. Jak to przy wychodzeniu.

Po drodze rozmawiali głównie o nauce. Magda pytała, co jeszcze musi przeczytać. Bardzo starannie przygotowywała się do czekających ją egzaminów. Cieszyła się, że Michał tak wiele jej pomaga. Jak zwykle trzymała go za rękę. Lubiła obydwu swoich ciotecznych braci. Przepadała za towarzystwem Piotrka. Była jego rówieśnicą. Rozumieli się. Michała darzyła szczególną sympatią. Z całej rodziny on był jej ulubieńcem.

Weszli na peron. Właśnie odjeżdżał pociąg do Warszawy.

– Zaraz będzie mój – powiedziała Magda i przytuliła głowę do ramienia Michała.

– Wyglądacie jak para – zażartował Piotrek.

Michał uśmiechnął się smutno. Patrzył bezwiednie w okna odjeżdżającego pociągu. Nagle drgnął. W jednym z nich zobaczył Olę. Ona też go dostrzegła. Przykleiła twarz do szyby. Przez ułamek sekundy jej oczy

zabłysnęły radością. Ale natychmiast zgasły. Obok Michała stała, przytulona do jego ramienia, dziewczyna. To była ta sama dziewczyna, z którą widziała go już wiele razy.

Ola odwróciła szybko głowę. „Nic tu po mnie” – pomyślała. Jeszcze wczoraj wahała się. Długo w nocy rozmyślała nad słusznością swojej decyzji. Nawet dziś, nawet wsiadając do pociągu, czekała, że może zdarzy się coś, co ją zatrzyma.

Teraz była pewna.

6.

Za bramką celników znajdował się korytarz. Tuż za zakrętem były szerokie, przeszklone drzwi. Ola przeszła przez nie i znalazła się w ogromnym hallu. Umówiły się telefonicznie, że tutaj będzie na nią czekać Jolka. Widok, jaki zobaczyła, przeszedł jej najśmielsze oczekiwania.

W hallu kłębił się tłum ludzi. Jedna wielka, kolorowa masa. Rozkołysane ręce, kwiaty, okrzyki. „Nieziemski bałagan" – pomyślała. „Jak ja ją odszukam?". Wspinała się na palce, wpatrywała, ale nie mogła dostrzec znajomej twarzy. Widziały się ostatni raz przed trzema laty. Nie sądziła, aby zmieniły się na tyle, by się nie poznać.

Nie było łatwo. Ktoś ją ciągle popychał, szturchał. Nikt nie zwracał uwagi na grzeczność. Nikt też nie słuchał, kiedy starała się powiedzieć „przepraszam" i wedrzeć głębiej w to rozkrzyczane zbiorowisko. Miała nadzieję, że Jolka też jej wypatruje i w końcu do siebie dotrą. Jeszcze raz dokładnie, po kolei przyglądała się twarzom i tabliczkom z wypisanymi nazwiskami. Na jednej z nich dostrzegła swoje. Zaczęła, tak jak inni, podskakiwać, machać rękami i krzyczeć „tutaj". Bez rezultatu. „Ależ jestem gapa" – pomyślała. Sięgnęła do bagaży. Gorączkowo szukała jakiegoś papieru i czegoś do pisania. W końcu wyjęła bawełnianą koszulkę i na niej nagryzmoliła swoje imię i nazwisko. Podniosła ją wysoko. Tym razem było lepiej. Wysoka brunetka o sympatycznej twarzy pomachała w jej kierunku. Uzyskały kontakt wzrokowy i po kilku minutach mogły już sobie podać dłonie.

– Jestem Ulka – bez zbędnych wstępów powiedziała brunetka. – Ty jesteś Ola z Nowego Miasta.

Ola była zaskoczona i oszołomiona całą sytuacją. Bez słowa pozwoliła się zaprowadzić najpierw do windy, a potem na ogromny parking. Po drodze Ulka mówiła:

– Jolka prosiła, żebym cię odebrała z lotniska. Robię to dla niej, bo mi kiedyś pomogła. Ona wyjechała.

– Jak to wyjechała? – zdziwiła się Ola.

– Normalnie. Wsiadła do samochodu i wyjechała.

– Kiedy wróci? – dopytywała się.

– Nie wygląda na to, żeby miała wrócić.

– Jak to nie wygląda?!

– Zabrała wszystkie rzeczy.

– Ale gdzie ona pojechała? Co się stało? – przestraszyła się Ola. Jeszcze kilka dni temu rozmawiała telefonicznie z Jolą. Nic nie wskazywało na to, aby planowała jakąkolwiek podróż.

– Nie wiem – obojętnie odpowiedziała Ulka.

– Nie zapytałaś?

– Ona nie mówiła, ja nie pytałam. Nie moja sprawa.

– Nie kazała mi czegoś powtórzyć? – dopytywała się Ola w nadziei, że dowie się czegoś więcej.

– Gdyby kazała, to bym ci powtórzyła – zniecierpliwionym tonem powiedziała Ulka, otwierając bagażnik. Włożyły walizki i wsiadły do samochodu.

Ola zamilkła. Patrzyła na szeroką ulicę, na wysokie, przeszklone domy i ogarniał ją coraz większy niepokój. Ogromne przestrzenie, mrowie samochodów, tysiące obcych, obojętnych ludzi – wszystko to napawało ją lękiem.

Z nadziejami wyruszała w tę podróż. Wiele sobie obiecywała. Snuła plany. Miało się jej podobać. Tymczasem była całkiem zagubiona. Czuła się obco, samotnie i bezradnie. Najchętniej wróciłaby z powrotem do domu. Tylko za co? Jolka obiecywała wszystko załatwić. Pracę, mieszkanie. „Przyjedziesz na gotowe” – zapewniała. „Będzie OK”. Niepokój był tym większy, że nie miała pojęcia, co było przyczyną tak nagłego wyjazdu Joli. Dlaczego nie zawiadomiła? Przecież wówczas Ola wcale by się tutaj nie wybierała. „Co ja zrobię?” – powtarzała w kółko. „Co ja teraz zrobię?”.

Ulka od dłuższego czasu obserwowała Olę. Nietrudno było zauważyć, że dziewczyna jest bliska płaczu.

– Nie martw się – powiedziała pocieszająco. – Dasz sobie radę. – Poklepała ją po ramieniu i znów położyła rękę na kierownicy. – Wszystkie sobie dajemy – dodała z westchnieniem. – Lepiej lub gorzej, ale jakoś jest.

– Miała mi pomóc, pozałatwiać... – prawie ze łzami w oczach skarżyła się Ola.

– Nie panikuj – Ulka była wyraźnie zdegustowana jej mazgajeniem się. – Nie startujesz od zera. Masz dach nad głową, a to najważniejsze.

Ola spojrzała pytająco.

– Będziesz mieszkać w pokoju Jolki – wyjaśniała. – Rent masz opłacony do końca miesiąca. Dziewczyno! – Na sekundę oderwała ręce od kierownicy, jakby się chciała złapać za głowę. – Niejeden, co tu przyjeżdża, skakałby z radości.

– A praca?

– Roboty jest dużo. Znajdziesz.

– Jak?

– Tak jak wszędzie. Przez agencję albo z ogłoszenia. Tylko nie daj się nabrać na byle co. Musisz być czujna. Rozumiesz. Aaa... Jedna zasada. Jak cię będą pytać – wszystko umiesz. Gotować, sprzątać i tak dalej.

– Nie bardzo umiem gotować – szczerze wyznała Ola.

– No to co? – Ulka wzruszyła ramionami.

– To będzie kłamstwo. Potem i tak się wyda.

– Najwyżej cię wywalą.

– Stracę pracę.

– To znajdziesz inną – powiedziała Ulka takim tonem, jakby mówiła o czymś zupełnie nieistotnym, i skręciła w boczną uliczkę.

Nawierzchnia była tragiczna. Samochód co i raz podskakiwał na wybojach. Tutaj nie było już wspaniałych, przeszklonych domów i pięknych parków. Widok raczej nie napawał optymizmem.

Zaśmiecone chodniki, pomazane parkany, tu i ówdzie przewrócone kosze na śmieci. Niektóre domy pomalowane na mdławe kolory, z innych całymi płatami odpadał tynk. Skrawki starych gazet podrywane podmuchami wiatru ślizgały się po szarych płytach. Puste puszki po napojach z brzękiem przetaczały się z miejsca na miejsce.

Ruch na ulicy był niewielki. Od czasu do czasu mijał ich jakiś samochód. Wielkość prawie każdego z nich była odwrotnie proporcjonalna do wyglądu. Odrapany lakier, urwane lusterko, wgięta blacha czy inne tego rodzaju mankamenty zdawały się być normalnością.

Ola przyglądała się temu wszystkiemu z niemałym zdziwieniem. Wzrosło ono bardziej, kiedy Ulka zatrzymała się przed jedną z owych niewielkich, mdławych kamieniczek.

– No, jesteśmy – odetchnęła. – Wysiadka.

– Tutaj? – Ola szeroko otworzyła oczy.

– Coś nie tak? – spytała bez większego zainteresowania i nie czekając na odpowiedź, wysiadła z samochodu. Otworzyła bagażnik i zaczęła wyciągać walizki. Ola, chcąc nie chcąc, poszła w jej ślady.

Na tyłach kamienicy znajdowały się schody prowadzące w dół. Zeszły nimi. Ulka otworzyła drzwi.

– Pójdę przodem – powiedziała.

Weszły do niewielkiego przedpokoju. Ulka niedbale rzuciła torebkę i kluczyki na stojącą pod wieszakiem szafkę. Postawiła walizkę na podłodze.

– To twoja sypialnia – objaśniała, wskazując ręką. – My zajmujemy tamten pokój. Kuchnia i łazienka wspólne.

– Wspólne?! – zdziwiła się Ola.

– Coś ci nie pasuje? – z kpiącym uśmiechem spytała Ulka.

Ola nic nie odpowiedziała. Powoli otworzyła drzwi sypialni.

Pokoik był niewielki. Małe okno zasnute czymś w rodzaju firanki nie przepuszczało zbyt wiele światła. Pod jedną ścianą stał stolik i dwa foteliki. Pod drugą tapczan. Obok szafka. Na niej lampka nocna i telefon. W kącie telewizor. Na podłodze leżało coś, co przypominało dywan. Wszystko spowite szarością i nijakością.

– Nie wiedziałam, że Jolka w takich warunkach... – z niedowierzaniem zaczęła Ola.

– A ty się czego spodziewałaś?

– Myślałam...

– Przyjechałaś tu na wczasy, czy jak?! – Ulka powoli traciła cierpliwość. – To bejzament, nie apartament. Przynajmniej masz własny kąt. Nikt

ci nie jazgocze nad głową.

– Jej mama mówiła, że tak dobrze się Joli powodzi, że takie paczki przysyła. Spodziewałam się czegoś lepszego.

Ulka siadła na tapczanie. Westchnęła ciężko i z ironią zapytała:

– W ogóle to ty wiedziałaś, gdzie i po co jedziesz?

– Tak – odparła z przekonaniem Ola.

– Nie wydaje mi się. To, co powiem, zapamiętaj jak pacierz – mówiła powoli i dobitnie, akcentując każde niemal słowo. – Nikt tu na ciebie z utęsknieniem nie czeka. Nikogo nie obchodzisz. Nikt ci nie pomoże. Nikt nie ma na to ani czasu, ani ochoty, ani pieniędzy. Tutaj liczy się każda minuta i każdy dolar.

Ola słuchała z nieukrywanym lękiem.

– Bywa – ciągnęła dalej Ulka – że miła rodzina, ułożone dzieciaki, własny pokoik z łazienką. Czasem zaproszą na obiad, nawet zabiorą na wakacje. Marzenie. Częściej rozhisteryzowana starucha, rozwydrzone bachory, moczący się dziadek i inne takie atrakcje. Zależy jak trafisz.

Milczały chwilę, każda zajęta własnymi myślami.

Wreszcie Ola z ciężkim westchnieniem i jednocześnie nadzieją zapytała:

– Pomożesz mi?

– Mogę popytać tu i tam. Na razie znajdź cokolwiek.

– Gdzie najlepiej?

– Na domkach. Chociaż. Mhh, to zależy – zastanawiała się. – Możesz się nie załapać.

– Czemu?

Ulka zmierzyła ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Za ładna jesteś – powiedziała z przekonaniem.

– A co to ma do rzeczy? – nie rozumiała Ola.

– Ochrona chłopa. Kapujesz? – wyjaśniła krótko, a widząc zdziwienie Oli, dodała:

– Gdzieś ty się taka uchowała? Gazet nie czytasz? – I kręcąc z niedowierzaniem głową, ruszyła w stronę drzwi. – Czas na mnie – rzuciła od progu.

Ola została sama. W pełnym, dosłownym i przerażającym tego słowa znaczeniu.

Siedziała bez ruchu. Opuściły ją wszystkie siły. Ogrom wydarzeń ostatniego czasu w znacznym stopniu przerósł jej wytrzymałość. W głowie kłębiło się wiele pytań. Na żadne nie znajdowała odpowiedzi. Świadomość, że zdana jest w tym obcym świecie jedynie na siebie, przytłaczała ją. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał następny dzień. Obojętnym wzrokiem omiatała otaczające ją sprzęty. Były obce, nieprzyjazne, brzydkie.

Mimo gorąca poczuła dreszcze. Wsunęła się w głąb fotela, podkuliła nogi. Oparła głowę na kolanach. Starała się uporządkować myśli, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy. Ileż dałaby za to, żeby znów znaleźć się we własnym domu, w swoim pokoju, pośród znajomych sprzętów. Nie było to póki co możliwe. Musiałby się zdarzyć cud. Zamknęła oczy. Zmęczenie dało znać o sobie. Zasnęła.

Śnili się jej rodzice. Ola płakała. Biegła w stronę mamy. Pragnęła się do niej przytulić. Mama wyciągała ręce w jej kierunku. Uśmiechała się. Ucałowała ją i objęła. Potem delikatnie odwróciła Olę i lekko popchnęła. Wtedy zobaczyła ojca. Jego niewyraźna sylwetka była zasnuta mgłą. Nie mogła dostrzec twarzy. Ale wiedziała, że to on. Niepewnie zaczęła iść w jego stronę. Zatrzymała się. Odwróciła. Popatrzyła na mamę. Ona nadal uśmiechała się i potakująco kiwała głową. Ola z trudem, krok po kroku szła w stronę taty.

Obudziło ją stuknięcie własnych stóp o podłogę. Chwilę jeszcze trwała w nastroju ze snu.

Potem rozprostowała zdrętwiałe mięśnie i na dobre wróciła do rzeczywistości. „Cóż – pomyślała – nie zawsze jest świętego Mikołaja. Muszę sobie dać radę. Nie mam innego wyjścia”.

Z tą myślą zabrała się do rozpakowania bagaży. Przypadkiem popatrzyła na szafkę. Leżała tam złożona kartka zaadresowana do niej. Rozłożyła ją i przeczytała. „Życie mi się skomplikowało. Wybacz. Powodzenia. Jolka”. „Tylko tyle” – pomyślała i odłożyła kartkę z powrotem. Wzrok jej zatrzymał się na telefonie. „Boże! Ciocia! Pewnie się zamartwia”. Drżącymi palcami wystukiwała kolejne cyfry. Gorączkowo myślała, co powiedzieć. Przecież nie prawdę.

– Ciocia?... Tak. Jestem na miejscu... W porządku... Na razie niewiele. Muszę się zorientować, rozejrzeć... Jeszcze nie... W swoim pokoju... Tak... Nie ma jej w tej chwili... Dobrze, przekażę... Tak, obiecuję, zadzwonię... Ja też tęsknię... Na razie.

Wypowiadając ostatnie słowa, z trudem powstrzymywała się od łez. Na dźwięk znajomego głosu całkiem się rozkleiła. Myśli powędrowały daleko. Do znajomych twarzy i miejsc.

Rzuciła się na tapczan, schowała głowę w poduszkę i zaniosła się płaczem.

7.

Kiedy pierwszy szok minął (nie pamiętał, jak długo to trwało), Łukasz postanowił wziąć się do działania. Na razie nie myślał, czy uda mu się je odzyskać. Na razie chciał mieć pewność, że dziewczyna, którą zobaczył tamtego ranka, to Oleńka. Podobieństwo wskazywało, że tak, ale przecież mogła to być jedynie projekcja jego pragnień.

Mógł uczynić rzecz najprostszą. Zapytać któregoś z tych młodych ludzi, ale nie zapamiętał żadnej twarzy. Pozostawał ksiądz. To jednak wiązałoby się z koniecznością wyjaśniania, tłumaczenia. Tego nie chciał.

Mógł też starać się uzyskać informacje w miejscowych urzędach lub chociażby przejrzeć książkę telefoniczną. Szybko jednak zarzucił ten pomysł. Nie było pewne, czy w ogóle mieszkają w Nowym Mieście. To mogła być tylko wizyta. Wydawało się nieprawdopodobnym, że przez dwa lata nigdy nie zdarzyło mu się ani jednej, ani drugiej spotkać. Z drugiej strony bywał na mieście tylko nocami.

Postanowił pojechać do Elżbiety. Nie widział jej od dwóch, a może trzech lat. Dawniej spotykali się częściej.

Popatrzył na zegarek i wyjrzał przez okno. Pociąg wjeżdżał na przedmieścia ukochanego miasta.

Po kilku minutach szedł już wąskimi uliczkami. Wszystko tutaj było znajome i bliskie. Oddychał historią i karmił się wspomnieniami.

Zatrzymał się przed Bramą. Na murze, tak samo jak przed laty, pozawieszane obrazy. Brodaty malarz siedzi na stołku. Głowę oparł o mur. Nasunął kapelusz na oczy. Drzemie albo czeka na Muzę. Łukasz mimowolnie uśmiechnął się.

Z zamyślenia wyrwały go podniecone głosy chłopców i dziewcząt. To młodzi wycieczkowicze, zostawiając historię i sztukę na boku, śpiesznie kierowali się w stronę kamienicy „ozdobionej” wielką, żółtą literą „M”. „Byleby jak najprędzej do paśnika. Buła z nieokreśloną ciapają i wątpliwej

świeżości kurzy zadek – oto przedmioty pożądania” – pomyślał Łukasz i ruszył przed siebie.

Dotarł do kamienicy, w której mieszkała Elżbieta. Nacisnął przycisk domofonu. Cisza. Odczekał chwilę i spróbował jeszcze raz. Rezultat był taki sam. Postanowił czekać. Położył na schodku gazetę i usiadł na niej.

Po jakimś czasie do drzwi podeszła starsza pani. Mamrocząc coś po nosem i wyciągając z torebki klucze, badawczym spojrzeniem obrzuciła Łukasza.

– Pani Elżunia już tutaj nie mieszka – powiedziała i zabrała się do otwierania.

Łukasz podniósł się i przyjrzał jej dokładnie. Dopiero po chwili poznał w niej sąsiadkę Elżbiety.

– Pamięta mnie pani? – zapytał ze zdziwieniem.

Staruszka uśmiechnęła się.

– Teraz młodzi ludzie strzygą włosy tak jak trawniki. Pana z tą bujną czupryną nietrudno zapamiętać.

– Czy pani zna jej nowy adres?

– Adresu nie znam. Wiem, że kupiła dom gdzieś za miastem. Ooo, jej się teraz bardzo dobrze powodzi. Bardzo.

– Nie wie pani, jak mógłbym się z nią skontaktować? Zależy mi.

– Ona pracuje w markiecie. Najlepiej niech pan tam pojedzie. Panią Elżunię wszyscy znają, to panu powiedzą.

– Gdzie to jest?

– Wie pan, gdzie jest szpital dla dzieci?

– Wiem.

– No to tam blisko. Na pewno pan trafi. Widać z daleka.

Łukasz podziękował, pożegnał się i ruszył w stronę przystanku tramwajowego.

Market istotnie znalazł bez trudu. Bez trudu również dopytał się o Elżbietę. Okazało się, że jest na jakimś ważnym spotkaniu i trzeba będzie chwilę poczekać. Miła panienka zapraszała do środka, ale odmówił.

Przechadzał się bez celu pomiędzy stoiskami. Patrzył na ogrom przeróżnych towarów. Dziwił się, że ludzie potrafili wyprodukować

aż tak wiele pięknych, kolorowych, cieszących oko rzeczy. Jednocześnie cieszył się, że jemu prawie żadna z nich nie jest do niczego potrzebna.

Nagle przyszło mu na myśl, że znajduje się w ogromnym lesie.

Oto zwierzyna wyrusza na łów. Pozbawiona pazurów i kłów. Bowiem zew krwi został zastąpiony żądzą posiadania. Niektóre osobniki są bezimienne, niczyje. Tych jest mało. Są poza tym najczęściej już stare i niechętne do zbyt długich polowań. Nie warto o nie zabiegać. Większość młodszych i prawie wszystkie małe są łatwe do zidentyfikowania. Noszą na sobie znaki informujące o przynależności do określonego stada. Przebiegli kowboje nie zapominają o metkowaniu swoich sztuk. Tyle że kiedyś bydło buntowało się, czyniło wiele hałasu. Zakłócało to dobre samopoczucie. Teraz znakowanie nie boli. (Kawał rozpalonego żelaza przypalającego skórę zastąpiono kawałkiem delikatnej tkaniny). Toteż stało się nie tylko przyjemnością, ale i przedmiotem dumy.

A oto kolejni poszukiwacze zdobyczy. Dumny Lew, puszysta Lwica i dwa małe Lwiątka. Stąpają pewnie, zaznaczając w ten sposób swoje ogromne możliwości. Nie zadowolą się byle czym.

Lew kieruje się w te rejony, gdzie spodziewa się łupów podnoszących jego prestiż. Wypina pierś do przodu. Jest oznakowany. Puszy się. Z wyższością spogląda na osobniki posiadające znaki gorszej jakości.

Lwica z małymi zapuszcza się tam, gdzie znajdują się bardziej praktyczne obiekty. Jej sposób patrzenia i wykonywane gesty zdradzają spryt i doświadczenie. Lwiątka z uwagą śledzą każdy jej ruch. Starannie przeczesują wszystkie miejsca. Oczy pałają żądzą posiadania. Lwica pomrukuje z zadowolenia. Sprytne maluchy. Szybko się uczą.

Zwinnymi łapkami chwytają zdobycz za zdobyczą i skrzętnie chowają do pojemnika, aż wypełnią go po brzegi.

Na dziś polowanie zakończone. Lwica z małymi, ciągnąc niesamowicie ogromną ilość zapasów, kieruje się do wyjścia.

Właściciele lasu zacierają ręce.

Pogląd, że ssak nie może zjeść więcej pokarmu niż sam waży, wydaje się być niesłuszny.

– Kopę lat! Witaj – radośnie zabrzmiał znajomy głos.

Łukasz ocknął się. Przez moment miał wrażenie, że znalazł się w wytwórni perfum. Przed nim stała Elżbieta. Niesamowicie odmieniona. Postać jak z okładki kolorowego czasopisma. Gdyby nie głos, mógłby jej nie poznać. Uwagę przyciągała zwłaszcza jej twarz. Nie wiedzieć czemu przypominała mu pudełko z akwarelami.

Elżbieta obrzuciła go taksującym spojrzeniem i powiedziała:

– Jak ty wyglądasz? Nikt się teraz tak nie ubiera.

– Ja się tak ubieram.

Udała, że nie dostrzegła jego kpiącego uśmiechu.

– Nie traćmy czasu – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Chodź.

Zaprowadziła go do swojego biura. Urządzone było z przepychem.

Zatrzymała się przy jednym z foteli. Bielutką dłonią delikatnie głaskała miękki materiał. Z zadowoleniem potoczyła wzrokiem po wszystkich sprzętach. Spojrzała zalotnie na Łukasza i spytała:

– I jak?

– Tobie się podoba? – spytał obojętnie.

– O! Ja jestem zachwycona.

– No więc? – wzruszył ramionami.

– Usiądź – poprosiła. Sama siadła na jednym z foteli, z gracją prezentując całkiem zgrabne nogi.

– Nie chciałbym pobrudzić – powiedział drwiąco.

Przełknęła tę złośliwość jak gorzką pigułkę. Obojętność Łukasza drażniła ją. Poświęciła wiele energii, czasu i przede wszystkim pieniędzy, żeby każdy detal dopracować. Spodziewała się innej reakcji. Nieco chłodniejszym tonem spytała:

– Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Przyjrzał się jej, otaczającym sprzętom i z gorzkim uśmiechem powiedział:

– Zmieniłaś się.

– Przyjechałeś, żeby mi to powiedzieć? – zaśmiała się niepewnie.

– Nie, nie po to przyjechałem, ale zmieniłaś się.

Jeszcze raz popatrzył na nią, na kosztowne meble.

– Nie o to walczyliśmy – westchnął.

– Czyżby? Przecież wszyscy chcieliśmy, żeby było inaczej.

– Wszyscy – powtórzył za nią jak echo. – Ale inaczej mają tylko niektórzy.

– Widzisz w tym coś złego, że chcę żyć lepiej?

– Tak rozumiesz sens słowa l e p i e j? Wciskać ludziom kit i robić pieniądze?

– Czepiasz się.

– „Pracujmy nad pracą, aby praca znów stała się płaszczyzną zgody...". Pamiętasz? Szybko zapomniałaś.

– Posłuchaj. Mam czterdzieści sześć lat. Starzeję się. Chcę pożyć. Jasne? Nie będę tego robić ja, zrobią inni, więc dlaczego nie skorzystać?

Łukasz przemilczał jej pytanie. W głowie miał pewną listę ludzi, którzy byli mu kiedyś bardzo bliscy. Niegdyś bardzo długą. Z bólem i przykrością skreślił z niej następne nazwisko.

– Zostawmy ten temat – powiedział pojednawczo. – Nie o tym chciałem z tobą rozmawiać. Pamiętasz, powiedziałaś mi, że Anna wyjechała za granicę. Na stałe. Nie pytałem wówczas o szczegóły. Skąd o tym wiedziałaś? Kto ci powiedział? Dokąd ona pojechała?

Grad pytań spadł na nią nagle, jak piorun z jasnego nieba. Nie potrafiła ukryć zmieszania. Przez tyle lat Łukasz ani słowem nie wspomniał o swojej żonie. Zaskoczona, nieprzygotowana nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– To było tak dawno – zaczęła niepewnie. – Czemu do tego wracasz?

– Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć – powiedział z naciskiem.

– Wiesz, ja... – starała się naprędce wymyślić jakieś kłamstwo. – To było... Zaraz... – zaśmiała się nerwowo.

Jej niepewność i zdenerwowanie były zbyt wyraźne, aby ich nie zauważyć. Zaczął nabierać podejrzeń. Pochylił się w jej kierunku. Utkwił w niej wzrok. Mówił cicho i powoli, oddzielając każde słowo:

– Co ty przede mną ukrywasz?

Odwróciła głowę. Ściągnęła usta. Oddychała szybko.

– Musisz zrozumieć... To nie było dla mnie łatwe...

– Mów jaśniej.

– Ja... Wtedy... – jąkała się.

Podszedł do niej blisko. Lewą dłoń zacisnął na jej twarzy.

– Mów! – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Spuściła oczy.

– Patrz na mnie! – wycedził przez zęby i mocniej zacisnął rękę.

Przeraziła się jego wzroku.

– Tak było najlepiej – powiedziała zdławionym głosem. – Musiałam... Ona nie zasługiwała na ciebie. Odrzuciła cię. Zatrzasnęła ci drzwi przed nosem! Zostawiła cię. A ty... Sam wiesz, jak było. Ciągle mówiłeś o niej i o małej. Zadręczałeś się. Nie mogłam na to patrzeć... Z dnia na dzień było z tobą coraz gorzej. Pomyślałam, że tak będzie dobrze. Że łatwiej ci będzie przywyknąć. Zapomnieć. Przecież i tak nie wróciłbyś do niej. Nie rozumiała cię.

– O czym ty mówisz?

Jego dłoń coraz mocniej zaciskała się na jej twarzy.

– Wymyśliłam! Skłamałam! Zrobiłam to dla ciebie! – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Słuchał jej słów i nie mógł uwierzyć. Dyszał ciężko. Ciałem wstrząsały nerwowe drgawki. Szarpnął jej ciałem. Wyrwał ją niemal z fotela. Prawa dłoń sama zacisnęła się w pięść. Przez chwilę miał ochotę zgnieść jej śliczną buzię i rozmazać po ścianie. Resztkami świadomości powstrzymywał się, aby tego nie zrobić.

Potem powoli zsunął dłoń z jej twarzy. Opuścił ręce. Stał zgarbiony. Przygnieciony ciężarem słów, które przed chwilą usłyszał.

– Ufałem ci – powiedział półgłosem. – Wierzyłem.

Na moment zastygł w bezruchu.

Elżbieta stała sztywno. Milczała.

Nagle schwycił ją mocno za ramiona... Szarpał jej ciałem i krzyczał rozpaczliwie:

– Kto ci dał prawo?! Kto ci dał do tego prawo?! Ty...

– Ja cię kochałam!

Powoli rozluźnił uścisk. Odsunął od niej ręce. Jego twarz wykrzywił bolesny grymas. Krok po kroku cofał się w stronę wyjścia. W drzwiach raptownie odwrócił się i ruszył przed siebie niczym huragan. Ogarnęła go wściekłość. Nienawidził Elżbiety, nienawidził siebie, nienawidził ludzi.

8.

W sypialniach Ola zastała bałagan nie do opisania. Porozrzucane ubrania, wylany na narzutę lakier do paznokci, zapaćkane fluidem lustra, wysypany puder to tylko niektóre „niespodzianki”. W kuchni i łazience było jeszcze gorzej. „Starają się, żeby mi się nie nudziło” – pomyślała i jak co rano zabrała się do zbierania, składania, mycia, szorowania, czyszczenia, odplamiania...

Nie do końca posłuchała rad Ulki. Szukała takiego miejsca, gdzie nie wymagaliby umiejętności gotowania. Początkowo wydawało się jej, że znalazła.

Pani Pynsky przez cały czas rozmowy uśmiechała się. Sprawiała wrażenie miłej kobiety. Omówiły warunki i następnego dnia Ola rozpoczęła pracę.

Zatrudniono ją, żeby sprzątała. Spodziewała się więc, że będzie brudno, ale nie sądziła, że aż tak... Początkowo wpadła w panikę. Nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Później jednak spokojnie zaplanowała, co i kiedy zrobi. „Jakieś dwa tygodnie harówki – myślała – a potem będę sprzątać na bieżąco”. Rozejrzała się za jakimiś środkami czystości. Tego, co znalazła, było jak kot napłakał. Po rozmowie z pracodawczynią (prawdę powiedziawszy, był to raczej monolog wygłoszony tonem tyleż niegrzecznym, co i niedopuszczającym sprzeciwu) okazało się, że więcej nie będzie.

„Polak potrafi” – dodawała sobie otuchy. Zakasywała rękawy, żegnała się i zabierała do roboty. Okazywało się, że takie proste rzeczy, jak żyletka, płyn do naczyń czy proszek do prania mogą zdziałać cuda, jeżeli tylko użyje się ich w odpowiedni sposób.

Kiedy kończyła sprzątanie jakiegoś fragmentu mieszkania, stawała w pewnej odległości. Przyglądała się i uśmiechała.

W takich momentach chwilowego wytchnienia powracała myśl o Michale. Pragnęła, żeby był tutaj. Żeby mógł zobaczyć, jaka jest zaradna, jak się stara. Chciała się przed nim zwyczajnie popisać.

Zdarzało się, że oparta o ścianę stała zadumana.

Bywało, że gnana tęsknotą zbiegała do przedpokoju. Sięgała do torebki. Wyciągała zdjęcia, które zawsze miała ze sobą. Przeglądała je i wspominała chwile, kiedy mogła cieszyć się jego obecnością. Łapała się na tym, że całkiem zapominała o rzeczywistości. Obudzona nagle z marzeń, najczęściej jakimś dźwiękiem dochodzącym z ulicy, z niechęcią patrzyła na to, co ją otaczało. Miała wówczas ochotę trzasnąć drzwiami, wyjść i nigdy więcej nie wracać, ale prawie równocześnie wracała myśl o twardych realiach.

Wracała też inna myśl. Oczyma wyobraźni widziała twarz, szczęśliwą twarz tamtej dziewczyny, przytuloną do ramienia Michała.

Odkładała zdjęcia na miejsce. Z jeszcze większym zapałem zabierała się do następnej czynności. Wmawiała sobie, że to w tej chwili jest najważniejsze. Jak najlepiej wykonać pracę. Zrobić coś pożytecznego, co przyniesie konkretne efekty. I znów mogła być z siebie zadowolona.

Radość ta jednak trwała najczęściej bardzo krótko. Tak było i tym razem.

Blisko dwa dni straciła na to, aby odczyścić kanapę stojącą w salonie. Przechodziła samą siebie w pomysłach, jakich środków użyć, aby przywrócić jej dawny wygląd. Udało się. Była dumna. Kremowe obicie wyglądało prawie jak nowe. Przez krótką chwilę.

Właśnie do domu wrócił Bob, piętnastoletni syn pani Pynsky. (Oczywiście, że potraktował Olę, jakby była powietrzem). Rozwalił się jak długi na kanapie. (Oczywiście, że nie ściągnął butów). Włączył telewizor, otworzył karton z jedzeniem i zaczął się opychać. Najwidoczniej jednak potrawa nie spasowała jego gustom, bo niedbale odrzucił pojemnik na kanapę. Sos, kawałki jarzyn i inne składniki rozlały się szeroką plamą.

„Głupi gówniarz” – pomyślała i z rezygnacją zabrała się do wycierania.

Przed wyjściem, z zaciśniętymi ustami (żeby broń Boże nie powiedzieć tego, co myśli) wysłuchała cierpkich uwag pani Pynsky. Między innymi o tę plamę na kanapie.

Jak co wieczór była bardzo zmęczona. „Jeżeli oni będą mi na bieżąco zapewniać tyle pracy, to ja nigdy nie wyjdę na prostą. Nie uda mi się doprowadzić do porządku tego chlewu” – myślała rozgoryczona.

Wsiadła do samochodu. Machinalnie przekręciła kluczyk. Szarpnęła kierownicą i ruszyła. Raptem usłyszała pisk hamulców i zgrzyt gniecionej blachy. Samochód zakołysał się. Na chwilę straciła nad nim panowanie. Jakoś udało się go zatrzymać. Spanikowana wyskoczyła na chodnik. „Moja wina – myślała gorączkowo – nie zauważyłam, że nadjeżdża”.

– Jezu, co ja narobiłam? – powiedziała po polsku. Była tak mocno zdenerwowana, że zapomniała najprostszych słów.

Właściciel poszkodowanego auta, przystojny mężczyzna koło trzydziestki, powolnym krokiem zbliżał się do niej.

– Przepraszam... I'm sorry... – jąkała się.

Mężczyzna, okiem znawcy kobiecej urody, przyglądał się jej twarzy i sylwetce.

Był pod wrażeniem. Pod ogromnym wrażeniem. Nie zauważył ani śladu makijażu. „A cóż to za zjawisko?” – pomyślał. „Nie ważne jak się dzień zaczyna, ważne jak się kończy”.

Wyciągnął rękę i przedstawił się:

– Jestem Tony. Jakoś to załatwimy – wskazał na przyklejone do siebie samochody.

– Polak – odetchnęła z ulgą. – Ja za wszystko zapłacę...

Nie słuchał, co mówi. Bawiło go jej zdenerwowanie. „Nowicjuszka” – myślał. „Oczywiście, że zapłacisz”.

– Chyba nie będziemy stać na ulicy – przerwał jej. Starał się być czarujący. – Chodźmy się czegoś napić. Przy okazji omówimy szczegóły.

– Późno. Czy ja wiem... – wahała się.

– Na godzinkę – prosił.

Zgodziła się. W końcu to ona zawiniła. Spodziewała się awantury i kłopotów, a tymczasem Tony zachowywał się tak kulturalnie. Przez cały wieczór był miły. Wprost czarujący. Otwierał przed nią drzwi, podsuwał krzesło, spełniał każde życzenie. Godzina, na jaką się umówili, przedłużyła się do trzech.

W lokalu znało Tony'ego wiele osób. Poprosiła, aby usiedli na zewnątrz. Po całym dniu spędzonym w zamkniętym pomieszczeniu miała ochotę pobyć na świeżym powietrzu.

– Masz wielu znajomych. Od dawna tutaj mieszkasz? – spytała.

– Prawie osiem lat.

– Czym się zajmujesz?

– W tej chwili podziwianiem urody pięknej dziewczyny, która siedzi naprzeciwko.

– Daj spokój – zrumieniła się. – Pytam poważnie.

– A ja odpowiadam poważnie – powiedział z ujmującym uśmiechem.

Poczuła się skrępowana.

– Jeżeli chodzi o tę stłuczkę – zmieniła temat – to postaram się...

– Nie ma o czym mówić. Tak się składa, że jestem właścicielem paru warsztatów. Wyklepanie błotnika to nie jest dla mnie żaden problem. Zostawmy to – mówił niby od niechcenia, ale zależało mu, żeby zrobić na niej wrażenie. Chyba się udało. – To nie jest interesujący temat. Pomówmy o tobie.

Ola nie wiedziała, od czego zacząć. Mówić chciała. Od dawna nie miała okazji serdecznie z kimś porozmawiać. A Tony był wdzięcznym słuchaczem. Wykazywał zainteresowanie, potakiwał, wzdychał, zaprzeczał, uspokajał.

Ten stary lis szybko zorientował się, z kim ma do czynienia. Sprytnie zadawanymi pytaniami uzyskiwał potrzebne informacje. Opowiedziała mu o wszystkim. Nawet o Michale. W zasadzie głównie o nim. Bo to on był przyczyną jej wyjazdu i wszystkich kłopotów. Tony natychmiast podchwycił temat. Zapewniał, jak bardzo ją rozumie. Wyznawał z doskonale udawanym cierpieniem, że jego również odrzuciła dziewczyna. Sztuczka ze wzbudzeniem litości udała się znakomicie. Ola prawie ze łzami w oczach słuchała jego wspomnień i westchnień. Kiedy się rozstawali, widziała już w nim przyjaciela.

Do domu wróciła w dziwnym nastroju. Perspektywa jutrzejszego męczącego dnia, radość z nowej przyjaźni, tęsknota za bliskimi, Michał – wszystko splatało się ze sobą.

– Co tak późno? – spytała, wychodząc z kuchni, Ulka.

– Poznałam kogoś – powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

– Ty uważaj.

– Jest bardzo miły – zapewniała.

– Wszystkie chłopy to świnie – skwitowała jednym zdaniem.

– Tony jest inny – broniła swego Ola.

– Jasne – z przekąsem powiedziała Ulka. Uznała rozmowę za zakończoną i zamierzała pójść do swojego pokoju.

– Znalazłaś coś dla mnie? – zatrzymała ją Ola.

– Jak znajdę, to ci powiem. Co, źle ci?

– Nie wytrzymuję ich złośliwości – zaczęła się żalić. – Cała praca na darmo. Wrzeszczy na mnie, że lustro brudne, chociaż dopiero co czyściłam, więc pucuję, aż piszczy. Upaćka je czymś i znowu wrzask. Tak jest ze wszystkim. Z podłogą, z naczyniami, z ubraniami. Wiesz, co ona robi z bielizną? Mówić się nie chce. A ten mały obżartuch jeszcze gorszy. Jak można być takim flejtuchem?

– Nie jest źle – powiedziała Ulka znudzonym głosem. Nie były to dla niej żadne rewelacje. – Przywykniesz. Każe ci wylać wodę prosto na dywan – wylej. Każe ci potem go wyczyścić – wyczyść. Zrzędzi – nie słuchaj. Nie kombinuj, nie myśl, tylko rób, rób i rób. Dla niej jesteś nikim. Zapamiętaj sobie. N i k i m. I nie marudź. Na początek to i tak dobrze. Mogłaś trafić gorzej.

– Może być gorzej?

– Może – ziewnęła szeroko. – Idę spać – oświadczyła i zniknęła za drzwiami sypialni.

Ola poszła do swojego pokoju. Długo nie mogła zasnąć. Tęskniła za domem, za bliskimi, a najbardziej za Michałem. Widziała go z tamtą dziewczyną wiele razy. Tłumaczyła sobie, że trzeba się z tym pogodzić, że tak musi być, a marzenia pozostawały marzeniami. Wspominała każdą wspólnie spędzoną chwilę, widziała jego pełne blasku oczy i prawie czuła ciepło dłoni.

Spojrzała na telefon. Bezwiednie przesuwała palcami po kolejnych cyfrach. Odruchowo wystukała numer. „Tylko go usłyszę. Tylko usłyszę jego głos” – tłumaczyła się przed sobą. Podniosła słuchawkę. W ostatniej chwili zrezygnowała i odłożyła ją z powrotem.

9.

– Znowu tutaj jest! – Michał ze złością odwrócił się od okna. Usiadł obok Jakuba, który bez reszty zajęty był naprawą magnetowidu.

– Kto? – ksiądz Marek odłożył książkę.

– Ten od samochodu – pospiesznie wyjaśnił Piotrek.

– Też to zauważyłem – powiedział ksiądz. – Nawet z początku niepokoiłem się, ale chyba on nie ma złych zamiarów.

– To czemu się tutaj kręci? – denerwował się Michał.

– Może znowu chce gwizdnąć auto? – zastanawiał się Piotrek.

– Przecież wtedy oddał – wtrącił się Jakub.

– Wcale nie jest powiedziane, że to on ukradł – powiedział ksiądz.

– A niby dlaczego nie on? To skąd by je wziął? – snuł domysły Piotrek. – Panu Marczewskiemu zakosili dwa lata temu. I co? I nic. Kamfora. Pani Basi, tej z komputerowego, tak samo. Do tej pory pedałuje na składaczku. A tu. Czary-mary i za parę godzin się znalazło. Coś mi tu cuchnie. Może to była zwykła podpucha. Ksiądz to wszystkim wierzy. A facio mógł tak kombinować. Smerfnę mu raz, a potem oddam. Przyczaję się. Wszystko przycichnie, to ja znowu zwinę. Mnie nie będą podejrzewać.

– Idź lepiej pisać seriale – powiedział lekceważąco Michał. Znów podszedł do okna. – Jemu nie o to chodzi.

Domyślali się, o czym Michał mówi. Nietrudno było się zorientować, że on i Ola są w sobie zakochani. Tylko im dwojgu wydawało się, że nikt tego nie dostrzega. Zaś reakcja nieznajomego mężczyzny na widok Oli była tamtego pamiętnego ranka co najmniej dziwna. Mogła w młodym, niepewnym przecież wzajemności, chłopaku wzbudzić niepokój. Tym bardziej, że i Ola była w tym dniu inna niż zwykle. Drażliwa, małomówna, nieobecna.

– Stoi tam jeszcze? – Piotrek był wyraźnie zainteresowany.

– Yhy – Michał nie mógł sobie znaleźć miejsca. Wstawał, patrzył przez okno, znów siadał. – A może by tak zadzwonić na policję? – zaproponował ni stąd ni zowąd.

– Gratuluję pomysłu – powiedział kpiąco Piotrek. – I co im powiesz? Proszę pana policjanta. Facet po czterdziestce przechadza się wieczorami po placu kościelnym. Niech go pan zaaresztuje.

– Przestańcie – uspokajał ich ksiądz. – Nie sądzę, aby ten człowiek chciał zrobić coś złego. Gdyby tak było, starałby się, abyśmy go nie zauważyli, a on wcale nie kryje się ze swą obecnością. A poza tym wydaje mi się, że jemu dobrze z oczu patrzy.

– Michał, złap to – zmienił nagle temat Jakub i pokazał na maleńką sprężynkę – i przytrzymaj. – Sprytnymi, niemal automatycznymi ruchami dopasowywał poszczególne części. – Dobra. Idę sprawdzić, czy działa.

Jakub wyszedł do sąsiedniego pokoju. Michał znów podszedł do okna.

– Chyba go nie ma – mówił, wyciągając szyję i dokładnie obserwując podwórze. – Poszedł sobie.

– A to dziwne – zastanawiał się ksiądz. – Zwykle odchodzi dopiero po waszym wyjściu.

– E tam, dziwne – bagatelizował Piotrek. – Przecież to czubek.

Łukaszowi istotnie wydawało się, że wariuje. Jego postępowaniem nie rządziła logika. Chwytał się każdego, nawet bezsensownego pomysłu. Zaczął bywać na mieście w ciągu dnia. Odwiedzał urzędy, sklepy i inne publiczne miejsca. Przyglądał się uważnie mijającym go kobietom. Wiedział, że swoim zachowaniem wzbudza w jednych niezdrowe zainteresowanie, w innych zaś niepokój. Często słyszał nie całkiem grzeczne uwagi lub nawet pogróżki. Niewiele go to obchodziło. Szukał.

Wieczorami kręcił się w okolicach kościoła i plebanii. Z początku brał ze sobą książkę lub gazetę. Udawał, że czyta. Potem wydało mu się to idiotyczne. Przychodził, siadał na murku i czekał. Widywał różne dzieciaki, starsze, młodsze, ale tej dziewczyny od tamtego ranka nigdy więcej nie zobaczył.

Od czasu spotkania z Elżbietą jego sposób myślenia uległ diametralnej zmianie. Przez ponad dwadzieścia lat większą częścią winy obarczał Annę. Był przekonany, że to ona go zostawiła. Winił ją za zdradę ich wspólnych,

jak mu się zdawało, ideałów. Uważał, że wybierając wygodniejszy świat, uciekła nie tylko od niego, ale i od tego wszystkiego, w co wierzył.

Mimo bólu i ogromnej tęsknoty starał się powoli godzić z myślą, że ułożyła sobie życie bez niego, że nie jest jej potrzebny. Próbował ją rozumieć i nawet wybaczyć. Nigdy jednak nie mógł jej darować tego, że pozbawiła go możliwości bycia z Olą. Patrzenia jak dorasta, jak się śmieje, jak płacze, jak pierwszy raz stłukła kolano, napisała literę, policzyła do dziesięciu...

Był i nie był ojcem.

Teraz, kiedy uświadomił sobie, że to wszystko być może było możliwe... Że przez te wszystkie lata mogły być tak blisko, na wyciągnięcie ręki... Że on...

Podniósł oczy ku niebu: „Jak myślisz Wszechwiedzący, czy dużo jeszcze mogę znieść? Jakie masz w zanadrzu niespodzianki? Co mi przygotowałeś, żeby mnie pognębić do końca? Nie dręcz mnie. Nie zsyłaj mi myśli gorszych niż śmierć. Chcę je na razie tylko odnaleźć".

Odwrócił oczy od migocących gwiazd. Miał wrażenie, że drwią z niego. Znów zapatrzył się w to okno, które od wielu dni bacznie obserwował. Zobaczył w nim sylwetkę chłopaka. „Pytajnik!" – uderzył się w czoło. „Nie pomyślałem o nim". Popatrzył na zegarek. „Zdążę tutaj wrócić".

Zeskoczył z murka i szybkim krokiem ruszył przed siebie.

Po kilku minutach był już na osiedlu.

Chłopcy, jak co wieczór, siedzieli na ławce pod blokiem. Słuchali muzyki. Raczej zbyt głośno. Raczej nie był to Chopin. Łukasz odwołał jednego z nich. Odeszli na bok.

– Szukam dziewczyny – powiedział bez wstępów.

– Ja też – odpowiedział Pytajnik.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Pytajnik. Nie mam ochoty na żarty.

– Dobra. Niech pan nawija. Jaka ma być i te sprawy.

– Źle mnie zrozumiałeś. Szukam konkretnej dziewczyny. Chcę wiedzieć, jak się nazywa i gdzie mieszka.

– Po co?

– Nie twoja sprawa.

– Szefie. Spoko. Powaga to powaga. Jakieś szczegóły, zdjęcie czy coś takiego? Muszę wiedzieć, kogo mam szukać.

Łukasz zaczął ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami opisywać Olę. Pytajnik patrzył na niego z ogromnym zainteresowaniem i zdziwieniem. Pierwszy raz widział go takim. Z błyszczącymi oczyma, delikatnym ciepłym głosem, drżącymi dłońmi. Kiedy Łukasz skończył, Pytajnik z ciężkim westchnieniem powiedział:

– Ale pana wzięło.

Łukasz nie zareagował na tę uwagę.

– Pomożesz mi? – spytał.

– Ciężko będzie. Nie te rejony. Tutaj są same zdziry. Takiej laski, jak pan mówi...

– Postaraj się.

– Jasne.

– To cześć.

– Nara.

Pytajnik nonszalancko wsadził ręce w przepastne kieszenie swoich spodni. Ramiona podciągnął prawie pod uszy. Szerokim gestem odwrócił głowę w bok i z głośnym mlaśnięciem splunął. Udało się. Piaskownica została zaliczona. Niedbałym, posuwistym krokiem, jak gdyby poruszał się na niewidzialnych nartach, wrócił do kumpli.

Tej sceny Łukasz już nie widział. Pospiesznie wracał na miejsce swoich wieczornych „dyżurów". Zawsze, kiedy spóźniał się chociażby o kilka minut, miał wrażenie, że może w tym czasie stało się coś ważnego. Że pod jego nieobecność ona przyszła i odeszła i że to była właśnie ta chwila, na którą czekał. Miał też świadomość, że na taką chwilę wcale nie jest przygotowany. Nie potrafił sobie wyobrazić, co mógłby wówczas zrobić, co powiedzieć, jak się zachować. Wszystko, cokolwiek przychodziło mu do głowy, wydawało się zbyt małe, zbyt niestosowne, nijakie, zwyczajne.

Myśli nagle się urwały. Jasny snop światła padł prosto na twarz Łukasza i oślepił go. Zmrużył oczy. Zatrzymał się. Stał przed szeroko otwartymi drzwiami plebanii. Wychodzący chłopcy i ksiądz również się zatrzymali.

Sytuacja była niezręczna. Na dłuższą chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie. Nikt nie ruszał się z miejsca. Piotrek wszystkimi siłami powstrzymywał swój prędki język, żeby nie powiedzieć czegoś głupiego. Michał najchętniej sprawiłby, żeby ten człowiek zniknął i nigdy więcej nie pojawił się. Świadomość własnej bezsilności potęgowała w nim złość i niechęć.

– Chyba powinienem panu podziękować – spokojny głos księdza przerwał ciszę.

– Nie oczekuję tego – Łukasz był zły, że dał się zaskoczyć, że nie zdążył dotrzeć do murka, na którym zwykle siadał.

– Mimo to dziękuję. Jeżeli ma pan czas, proszę do mnie – zapraszającym gestem wskazał drzwi.

– Odbiło księdzu?! – wyrwało się Piotrkowi. Michał mocnym szturchnięciem przywołał go do porządku. Piotrek bąknął pod nosem coś przepraszającego.

– No proszę – ksiądz był prawie rozbawiony. – Swoim wyglądem i zachowaniem straszy pan ludzi.

– Skoro ksiądz przestał straszyć piekłem...

– Po cóż tracić siły dla zła, czyż nie lepiej propagować dobro?

– Ktoś już kiedyś to powiedział.

– Wszystko już kiedyś ktoś powiedział. Nie zaszkodzi przypomnieć.

– Gadanie to strata czasu.

– Strata czasu jest wtedy, gdy na gadaniu się kończy.

– W takim razie ksiądz notorycznie traci czas – z absolutnym przekonaniem stwierdził Łukasz i nie czekając na odpowiedź, odszedł.

Piotrek już chciał skomentować, ale ksiądz go uprzedził:

– On bardzo cierpi.

– A kto to księdzu powiedział? – zaczepnie spytał Piotrek.

– Jego oczy.

Chłopcy nic nie odpowiedzieli. Pożegnali się i poszli.

Ksiądz Marek wrócił do siebie. Już wchodząc po schodach, miał niejasne przeczucie, że niebawem znów spotka tego dziwnego człowieka. Nie musiał długo czekać. Jeszcze nie zdążył zamknąć za sobą drzwi, kiedy

usłyszał dzwonek. Nie był zdziwiony, kiedy w drzwiach zobaczył Łukasza. Gestem zaprosił go do środka. Weszli do pokoju i siedli naprzeciwko siebie.

– Długo się pan decydował, żeby przyjść – zaczął ksiądz.

– Długo.

– Mogę w czymś pomóc? – starał się, aby jego głos brzmiał spokojnie i łagodnie.

Łukasz potakująco pokiwał głową.

– Słucham.

– Ta dziewczyna – zaczął bez wstępów Łukasz. – Pamięta ksiądz, kiedy przyprowadziłem samochód. Towarzyszyła księdzu. Chciałbym wiedzieć, kto to jest, jak się nazywa i gdzie mieszka.

– Dlaczego uważa pan, że miałbym to panu powiedzieć?

– Bo... – zająknął się Łukasz – bo o to proszę.

– Widzi pan – zastanawiał się ksiądz. – Pańskie, przyzna pan, dosyć niecodzienne zachowanie... Krążą o panu, no cóż, różne plotki... Jaką mam pewność, że nie ma pan wobec niej jakichś złych zamiarów?

– Żadnej.

– Więc? – ksiądz rozłożył ręce.

– Zaręczam słowem honoru, że nie mam złych zamiarów – słowa Łukasza zabrzmiały jak przysięga.

– Nie powinienem... – wzbraniał się ksiądz.

– Przysięgam – z powagą powiedział Łukasz.

Ksiądz z uwagą patrzył na swojego gościa. Rzadko słyszał w prywatnych rozmowach takie słowa jak honor, przysięga, a jeżeli nawet słyszał, były zazwyczaj wypowiadane jakoś niedbale. Tak mu się przynajmniej zdawało. Ten człowiek mówił je w taki sposób, jakby naprawdę rozumiał ich sens i znaczenie.

– Nie wiem, czy dobrze robię – zaczął ksiądz.

Kiedy wymieniał imię i nazwisko dziewczyny, przez ciało Łukasza przechodziły na przemian fale gorąca i zimna, a serce waliło niczym młot.

– Czy ona tutaj mieszka? W tym mieście? – dopytywał się niecierpliwie.

– I tak, i nie. Do niedawna przyjeżdżała prawie co tydzień. Studiowała. Jakiś czas temu wyjechała za granicę. Szczerze mówiąc nie bardzo rozumiem...

Ksiądz nie dokończył. Łukasz bowiem na dźwięk stwierdzenia „wyjechała za granicę” zerwał się z fotela. Już to kiedyś słyszał. Gwałtownym ruchem schwycił księdza za ramiona i przez zaciśnięte zęby warknął:

– Niech ksiądz ze mnie nie kpi!

– Ależ ja nie kpię.

– Co ksiądz powiedział? Jakie było to ostatnie zdanie?

– Nie pozwolił mi pan dokończyć. Chciałem powiedzieć, że nie bardzo rozumiem jej...

– Nie to. Poprzednie.

– Poprzednie? Że wyjechała za granicę.

– Czy to prawda?

– Czemu miałbym pana okłamywać?

– Pytam jeszcze raz i chcę usłyszeć to słowo: „prawda”. Czy to prawda?

– Tak, to prawda.

Łukasz opadł na fotel. Przez chwilę przekrzywiał głowę to w jedną, to w druga stronę, jakby się czemuś ogromnie dziwił, po czym nagle wybuchnął histerycznym, urywanym śmiechem.

Ksiądz obserwował go z niepokojem. Momentami żałował, że podjął ryzyko rozmowy. Jeszcze przed chwilą miał zamiar zapytać swego gościa, czemu Ola wzbudziła w nim tak niecodzienne zainteresowanie, ale po jego wyjątkowo gwałtownej reakcji postanowił powstrzymać swoją ciekawość.

Nerwowy śmiech począł powoli słabnąć. Łukasz uspokajał się. Chwilami wydawał jeszcze z siebie jakieś dziwne westchnienia. Raptem wstał. Automatycznie, jednym tchem powiedział: „Dziękuję. Dobranoc” i wyszedł, pozostawiając zdumionego księdza bez żadnych wyjaśnień.

10.

Jak co dzień Ola wróciła zmęczona i w nie najlepszym humorze. Tony obiecał, że będzie na nią czekał. Bardzo cieszyła się na to spotkanie. Miała nadzieją na miłą rozmowę, a tymczasem znów czekał ją samotny, smutny wieczór.

– Olka! Chodź – usłyszała głos Ulki.

Weszła do ich sypialni. Grzesiek leżał w łóżku i przeglądał gazetę. Ulka, stojąc przed lustrem, rozczesywała włosy.

– Był ten twój Tony – powiedziała z uśmiechem. Odłożyła szczotkę, podniosła z fotela sporą, owiniętą w kolorowy, błyszczący papier paczkę i podała ją Oli. – Zostawił to. Ma zadzwonić.

– Dzięki – Ola rozpromieniła się. Wzięła paczkę i szybko poszła do siebie. „Kochany Tony" – myślała, otwierając drzwi. Ledwo weszła, niecierpliwie zaczęła odwijać papier. W środku była sukienka. Śliczna i na pewno droga. Rozłożyła ją na tapczanie. Piękny materiał zupełnie nie pasował do spłowiałej narzuty, ale ona nie dostrzegała tego. Siadła blisko telefonu. Myślała o Tonym.

Mijały długie minuty. Telefon milczał. Z ciężkim westchnieniem spojrzała na zegarek. „Pewnie dzisiaj już nie zadzwoni" – pomyślała. Zaczęła chodzić w tę i z powrotem. W końcu wyszła do przedpokoju i zapukała do sąsiadów. Otworzyła Ulka.

– Masz chwilę? – z nadzieją zapytała Ola.

– Muszę rano wstać.

– Proszę.

– No dobrze. Wezmę tylko szlafrok.

Po chwili siedziały nad dwoma filiżankami kawy.

– Od niego? – Ulka wskazała głową na sukienkę.

Ola przytaknęła.

– Mam nadzieję – mówiła przepraszająco – że twój mąż nie będzie miał mi za złe, że cię wyciągnęłam. Macie dla siebie niewiele czasu, ale poczułam się taka samotna – tłumaczyła się.

– Mówisz o Grześku?

– Tak.

– To nie jest mój mąż.

– Myślałam – nie umiała ukryć zdziwienia. – Mówiłaś, że jesteś mężatką.

– Jestem.

Ola czuła się zakłopotana. Nie wiedziała, co powiedzieć. Ulka zauważyła to.

– Jeszcze nie wiesz, jak to jest. Za krótko tu jesteś – mówiła z powagą. – Nie to, żebym się przed tobą tłumaczyła. Ale widzisz. Na początku masz tyle energii. Wydaje ci się, że góry przeskoczysz. Harujesz, ciułasz, wysyłasz paczki, dzwonisz, czekasz na telefon. A później zaczynasz mieć dość. Wracasz do pustego pokoju. Nie masz do kogo gęby otworzyć. Powoli zapominasz, jak wyglądają bliscy. Oni mają tam swoje kłopoty, ty tu swoje. Ty przestajesz ich rozumieć, oni nie mają pojęcia o tym, co przeżywasz. I kiedy pojawia się ktoś, kto wysłucha, przytuli, zabierze na spacer, myślisz sobie: „Czemu nie?” – pociągnęła łyk kawy. – Pij. Wystygnie. Poza tym dochodzą jeszcze praktyczne sprawy. Pokój jeden, samochód jeden. Mniejsze opłaty. Łatwiej żyć.

– Mogę o coś zapytać? – nieśmiało przerwała jej Ola.

– Pytaj. Najwyżej nie odpowiem.

– Czy ty go kochasz?

– Grześka? – uśmiechnęła się cierpko. – Powiedzmy, że się nie brzydzę. To wystarczy.

– A twój mąż. Czy on wie?

– Pewnie się domyśla. Kiedyś zależało mi na tym, żeby nie wiedział. Teraz już nie.

– A co będzie, jak wrócisz do Polski?

– Nie wiem, czy wrócę. Nie myślę o tym. Na początku co wieczór planowałam, że jutro kupię bilet i nie ma mnie. Teraz nie wiem – spojrzała na sukienkę. – Przymierz – poprosiła.

Ola włożyła sukienkę. Ulka spięła jej włosy w fantazyjnego kuca. Stanęła obok i przyglądała się z podziwem.

– Ekstra – powiedziała. – Ależ ty jesteś piękna.

– Daj spokój – Ola zawstydziła się. – Każdy jest na swój sposób piękny. Trzeba to tylko umieć zobaczyć.

– Mówię, co widzę. A kiecka fantastyczna.

– Czy ja wiem? – zastanawiała się Ola. – Trochę za bardzo... Nie wiem, jak to określić.

– Że co, że ci ciało odsłania?

– No właśnie.

– Jak co ładne, to i pokazać można.

– Ale ja nie przywykłam. Źle się w niej czuję. Podoba ci się. Weź. – Zdjęła sukienkę i podała ją Ulce. – No weź – powtórzyła. – Daję ci ją.

– Odbiło ci czy jak? On to kupił dla ciebie. To ciebie chciał w niej zobaczyć, nie mnie. Jak mu to wytłumaczysz?

– Tony zrozumie – mówiła z przekonaniem Ola. – Jest moim przyjacielem.

– Ty uważaj na niego – westchnęła Ulka.

– Ufam mu. Jest grzeczny, miły. Opowiadał mi dużo o sobie. Chyba mamy ze sobą wiele wspólnego. Bardzo mi go żal. Rozumiem go. On też jest nieszczęśliwie... – przerwała nagle. Trochę się zagalopowała. Spuściła głowę.

– Uciekłaś? – ze smutkiem spytała Ulka.

Ola przytaknęła.

– Nie przejmuj się. Rozumiem. Prawie każdy przyjazd tutaj to jakaś ucieczka. Jedni przed biedą, inni przed zazdrosną żoną, a ty, żeby zapomnieć. I co, udaje ci się?

– Nie. Nie mogę o nim zapomnieć. Im dłużej tutaj jestem, tym bardziej tęsknię.

– Jaki on jest? Opowiedz.

– Niby zwyczajny, a wyjątkowy. Każdy przecież mówi, ale jego głos jest ciepły jak wiosenny wiatr. Każdy się śmieje, a jego śmiech sprawia mi ogromną radość. Każdy patrzy, ale jego oczy są pełne blasku i siły,

której nie umiem nazwać. Dłonie łagodne. Dotyk ciepły i delikatny. Kiedyś objął mnie. I nie wiedziałam wtedy, czy ja to ja, czy on?

Zamilkła. Rozmarzyła się. Stała wpatrzona we własne myśli. Dłońmi dotykała ramion. Jej twarz rozjaśniał delikatny uśmiech. Ulka patrzyła na nią z zachwytem i niedowierzaniem. Postać tej pięknej, zakochanej dziewczyny wydawała się jej czymś nierzeczywistym.

Nagle usta Oli zaczęły drżeć, a w oczach pojawiły się łzy. Ulka wyciągnęła do niej ręce.

– Chodź – powiedziała ciepło. Objęła ją i przytuliła mocno. – Płacz. To pomaga.

– Widziałam go z dziewczyną – szlochała Ola. – Kilka razy. Byli szczęśliwi, roześmiani.

Trzymali się za ręce. Potem... On gra na gitarze... Ciągle śpiewał o miłości. Był zamyślony, małomówny.

– Głuptasku – pocieszała Ulka. – To wcale nie musi nic znaczyć.

– Nie wiem. Ja już nic nie wiem – rozpłakała się na dobre.

Kołysały się, siedząc wtulone w siebie.

Z zapatrzonych w dal oczu Ulki spłynęła jedna, samotna łza.

11.

Najpierw Łukasz układał w myśli scenariusz spotkania z Anną. Przewidywał możliwe wersje pytań i odpowiedzi. Do słów dopasowywał gesty.

Później marzył. O wybaczeniu, o pojednaniu, nawet o miłości.

Na koniec zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie przewidzieć ani jej, ani swojego zachowania. Upłynęło zbyt wiele lat.

Postanowił, że tym razem nie da się ponieść emocjom. Bez względu na to, co się stanie, zachowa spokój.

Zdecydowany, ale opanowany udał się pod wskazany adres. Kiedy stanął pod drzwiami, wziął kilka głębokich oddechów i nacisnął dzwonek.

– Kto tam? – usłyszał słaby głos.

– Chciałbym się widzieć z Anną – powiedział.

– Kim pan jest?

– Jestem jej przyjacielem. Studiowaliśmy razem – gładko wygłaszał przygotowaną na taką okoliczność odpowiedź.

– Jak się pan nazywa?

„Co za Cerber” – pomyślał. Podał pierwsze lepsze nazwisko kolegi z grupy.

Za drzwiami zapanowała cisza. Po chwili dał się słyszeć chrzęst przekręcanego klucza i drzwi uchyliły się. W niewielkiej szparze zobaczył twarz staruszki.

– Jeżeli pani boi się mnie wpuścić – mówił łagodnie – proszę mi powiedzieć, gdzie mógłbym spotkać Annę. Bardzo mi zależy.

Jego słowa widocznie ją uspokoiły, bo szerzej otworzyła drzwi.

– Proszę – zaprosiła go do środka. – To pan nic nie wie – westchnęła, siadając.

Usadowiła się wygodniej na krześle. Oparła ręce na stole. Dłonie złożyła jak do modlitwy.

– Pochowaliśmy ją ponad dwa lata temu.

Staruszka mówiła coś jeszcze, ale Łukasz nie słuchał. Siedział nieruchomo. Nie odczuwał nic. Nie nastąpiła żadna reakcja. Nie było ani bólu, ani kłucia serca, ani żalu, ani łez. Nic. Tak jakby on też umarł.

– Czy pan się dobrze czuje? – zaniepokoiła się staruszka.

– Nie wiem – odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Była panu bliska?

Pokiwał tylko głową.

Wstała i podreptała do kuchni. Po chwili wróciła z filiżanką gorącego napoju.

Łukasz nadal siedział bez ruchu.

– Niech pan to wypije – podsunęła filiżankę. – My też długo nie mogłyśmy się z tym pogodzić.

Nie odpowiadał. Staruszka przyjrzała mu się uważnie. Te oczy. Wydawało się jej, że już je gdzieś widziała.

– Pan nas nigdy nie odwiedzał? – upewniała się.

– Nigdy.

„Nigdy” – powtórzył w myśli. „Już nigdy jej nie zobaczę, nie usłyszę jej głosu, nie powiem... Nie dowiem się. Nigdy”. Przez długą chwilę to jedno słowo brzmiało w jego głowie. Zdawało mu się, że idąc tutaj, wziął pod uwagę wszystkie możliwości. Jednak to, co usłyszał, było całkiem nieoczekiwane. Ileż dałby teraz za to, żeby Anna na niego obraziła się, nakrzyczała, spoliczkowała, wyprosiła z domu. Był gotów na wiele, ale nie na ostateczność. Przez te wszystkie samotnie spędzone lata przywykł przecież do jej nieobecności, ale świadomość, że ona gdzieś jest, że żyje, że wychowuje jego dziecko...

– Anna – zaczął zdławionym głosem – ona miała córkę.

– Tak. Oleńka. Nasze oczko w głowie – staruszka rozpromieniła się.

– Czy ona... Czy podobna do matki?

– Jak dwie krople wody. Pokażę panu.

Podeszła do półki. Zdjęła duży album ze zdjęciami i rozłożyła przed Łukaszem. Przysunęła krzesło. Siadła obok niego. Przewracała powoli kartki i opowiadała z rozrzewnieniem. Dowiedział się, że ta przemiła staruszka jest ciotką Anny. Zamieszkała wspólnie z nią kilkanaście lat

temu. O Oli mówiła „kochana wnusia”. Kiedy zamykała album, ze smutkiem powiedziała:

– A teraz znów jestem sama.

– Ma pani wnuczkę – starał się zachować obojętność.

– Mam i nie mam – westchnęła. – Ale pana to pewnie nie interesuje.

– Ależ, bardzo.

– Wy młodzi macie swoje sprawy. Inaczej patrzycie na świat. Żyjecie szybko. Ja stara nie nadążam. Nie wszystko rozumiem. Prosiłam ją. Nie chciała słuchać. Zmusić nie mogłam, bo przecież dorosła. Boję się, że sobie zaszkodzi. Przerwała studia. Wyjechała. Do obcego kraju. Bardzo za nią tęsknię. Najbardziej w sobotę. Przywykłam, że przyjeżdżała. Tyle było mojej radości. Całymi dniami rozmyślam, czy aby dobrze zrobiła? Nieba bym jej przychyliła. Modlę się nieustannie, żeby Pan Bóg miał ją w swojej opiece i zachował od złego. Bo cóż więcej mogę zrobić? Siedzę przy telefonie i czekam, że zadzwoni. Kiedy pomyślę, że jest tak daleko, serce mi się kraje.

– Pani też przecież może zadzwonić do niej.

– Zabroniła. Powiedziała: „Ciociu, dla ciebie to za drogo”.

– Myślę, że nie powinna się pani tak martwić. Nie jest tam chyba sama?

– Pojechała do swojej koleżanki. Znają się dobrze. Razem uczyły się w średniej szkole. Ta koleżanka mieszka tam już kilka lat. Ale to jeszcze dzieci.

– Poradzą sobie – zapewniał, chociaż sam nie był o tym przekonany.

Wziął do ręki album. Odszukał jedno ze zdjęć Anny z ostatnich lat.

– Czy mógłbym? Na pamiątkę.

– Oczywiście. Proszę.

Łukaszowi bardzo się spieszyło. Już w trakcie rozmowy podejmował decyzję. Chciał jeszcze dopytać się o adres lub numer telefonu Oli. Chwilę zastanawiał się, jak to zrobić, żeby nie wzbudzić podejrzeń staruszki. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. W końcu zapytał wprost:

– Czy ma pani adres wnuczki? Czasem ktoś wyjeżdża. Mógłby odwiedzić. Zawsze to ktoś z kraju – usiłował tłumaczyć.

– Mam, mam – mówiła, biorąc kopertę z szafki. Ku jego zdziwieniu chętnie dzieliła się z nim tą informacją. – To do Joli. Do tej jej koleżanki –

tłumaczyła. – Ola mieszka u niej.

Szybko odpisał adres. Podziękował, jak potrafił najładniej. Z szacunkiem ucałował rękę staruszki. A jej znów wydało się, że gdzieś już widziała takie oczy.

Po schodach prawie zbiegał. W głowie miał gotowy plan.

Szybko dotarł do budynku, w którym mieściło się biuro Ryśka. Brał po trzy schodki naraz. Nie zwrócił uwagi na sekretarkę. Z impetem wpadł do gabinetu.

Rychu podniósł głowę znad papierów i spytał:

– Co to teraz nietoperze latają w dzień?

– Potrzebuję twojej pomocy. Muszę natychmiast wyjechać.

– Zmalowałeś coś? – Rysiek porozumiewawczo zmrużył oczy.

– Nie pytaj. Nie powiem. Potrzebuję wizę. Na dzisiaj – wyrecytował jednym tchem. Nie przychodziło mu łatwo prosić o pomoc właśnie Rycha, toteż odetchnął z ulgą, kiedy wypowiedział ostatnie słowo. Najgorsze miał za sobą.

– Kochany. Na dzisiaj to nie jest wykonalne.

– Na kiedy najprędzej?

– Ale cię pięty parzą. No, no! Kto by pomyślał – zaśmiał się Rysiek. Łukasz nie zwracał uwagi na jego domniemania. Było mu to poniekąd na rękę. Pozwalało uniknąć niepotrzebnych pytań.

– Na kiedy? – powtórzył pytanie.

– Najprędzej... – Rysiek rozparł się w fotelu. Splótł końcówki palców (na tyle pozwalały prawa fizyki) na swym pokaźnych rozmiarów brzuchu i delektował się poczuciem własnej wartości. – Najprędzej... Jak dla kolegi... – zastanawiał się („zastanawiał się” to trochę szumnie powiedziane, ale przecież nawet ktoś taki powinien od czasu do czasu odnosić przynajmniej złudne wrażenie, że myśli). – Jak dla dobrego kolegi... No... dwa, może trzy dni – głośnym westchnieniem wypuścił z siebie część powietrza zmieszanego z pychą w obawie, aby nadmiar tej ostatniej nie naruszył jego zewnętrznej powłoki.

– Zadzwonię – mówił Łukasz, wstając i żegnając się. Miał jeszcze sporo spraw do załatwienia. Rysiek, nie zmieniając pozycji, niedbale podał

mu rękę. Póki co nie miał ochoty przerywać sobie tego błogostanu, w jakim się znajdował.

12.

Całe przedpołudnie Bob siedział w swoim pokoju. Do Oli sprzątającej sąsiednie pomieszczenia co chwilę docierały, na różnym poziomie głośności i zachwytu, okrzyki: „wow” lub „shit”. Tego, że Bob tkwi przed ekranem monitora, była pewna. Ciekawiło ją, co też wzbudza w nim tak ogromny zachwyt. Zapukała i weszła do środka. Przestała się go już bać. Zobojętniała na docinki. Udawała, że złośliwości nie robią na niej wrażenia. Stanęła tuż za jego fotelem.

Na ekranie monitora pojawiały się co jakiś czas zdjęcia. Aż nadto szczegółowa i wyrazista dokumentacja tragicznych wypadków samochodowych. Im więcej było krwi, tym głośniejszy okrzyk wydawał z siebie Bob. Chwilę przyglądał się, z jeszcze większym apetytem wcinał następny kęs i przechodził do następnego zdjęcia.

Pojemnik z płynem, który Ola trzymała, wypadł z jej rąk i z głośnym stuknięciem uderzył o podłogę. Natychmiast schyliła się, aby go podnieść. Srebrny łańcuszek, który zawsze nosiła na szyi, wysmyknął się spod bluzki. Bob leniwie odwrócił głowę w jej stronę. Popatrzył na krzyżyk.

– Należysz do sekty? – zapytał obojętnie.

– Nie. Jestem katoliczką.

Chwycił krzyżyk w dwa palce. Chwilę uważnie go oglądał, po czym lekceważąco stwierdził:

– Twój Bóg nie jest teraz na topie – i nie czekając na odpowiedź, wrócił do swojego nader interesującego zajęcia.

Przez chwilę miała ochotę odpowiedzieć, ale nie znalazła w sobie tyle sił, żeby to uczynić. Ze czcią ucałowała krzyżyk i wsunęła pod bluzkę.

Znów wróciły myśli o bliskich. Ochota, żeby rzucić to wszystko i wracać. Teraz. Natychmiast. Tłumaczyła sobie, że musi wytrzymać. Jeszcze trochę. Pocieszała się tym, że najgorszą robotę miała już za sobą. Doprowadziła do porządku wszystkie kąty. Zostawała praca na bieżąco.

„Najtrudniejszy jest początek” – tak mówił Tony. Utwierdzał ją w przekonaniu, że szybko zarobi nie tylko na powrotny bilet, ale znacznie więcej. Obdarzał ją sporą dawką optymizmu. Polubiła go. Z radością oczekiwała każdego spotkania. Świadomość, że dziś wieczorem znów będzie miała możliwość rozmowy z nim, dodawała jej energii do żmudnej i ciężkiej pracy.

* * *

– Iwonka! – wołał swoim tubalnym głosem Rychu. – Iwonka! Chodź tu zaraz.

– Rysiek. Nie trzeba. Dam sobie radę. To, co zrobiłeś, wystarczy – tłumaczył Łukasz.

– Jesteś moim kolegą – nie dawał się przekonać Rychu. – Iwonka – zwrócił się do dziewczyny, która właśnie weszła do gabinetu. – Pojedziesz z panem Łukaszem.

– Dlaczego ja? – próbowała się przekomarzać.

– A dlaczego nie?

Na takie dictum szefa nie znalazła odpowiedzi. Wydęła wargi jak małe, rozkapryszone dziecko i łaskawie zgodziła się.

– Tylko trzymaj tam język za zębami – przestrzegał Łukasza Rychu. – Oni nie lubią takich, co się wymądrzają. Żebyś mi wstydu nie narobił.

Łukasz obiecał, że będzie panował nad sobą. Nie tylko Ryśkowi, ale również sobie.

Przez długą część podróży milczeli. Iwonka słuchała radia i z lekka podrygiwała w takt muzyki. Przy tym całkiem poprawnie prowadziła auto. Po jakimś czasie zaczęła się rozglądać po poboczu. Wypatrzyła wreszcie odpowiednie miejsce i zatrzymała samochód.

– Odpoczniemy, nie? – zaproponowała.

Wysiedli. Łukasz rozprostował kości. Iwonka zniknęła gdzieś w leśnym gąszczu. Po chwili wyłoniła się niczym nimfa i w zalotnych pląsach zbliżała się do niego. Patrzył na nią rozbawiony. Szczerze powiedziawszy, zaskoczyła go mnogość przeróżnych figur i póz, jakie przybierała. Kiedy

wykorzystała już cały wachlarz swoich możliwości, stanęła tuż przy nim, zmrużyła oczy, przechyliła głowę i spytała:

– Nie podobam ci się?

– W jakim sensie?

– Normalnym. Nogi i w ogóle.

– Jeżeli pytasz, czy jesteś ładna, to tak, owszem.

Zastanawiała się chwilę, po czym wypaliła:

– To może ty pedał jesteś albo co?

– Nie rozumiem.

– No, pedał, pedzio, zboczek, ciota...

– Ja rozumiem znaczenie tego słowa – roześmiał się. – Chciałem powiedzieć, że nie rozumiem, dlaczego... – zaczął, ale zrezygnował z tłumaczenia. – Nie, nie jestem nikim takim. Nie jestem pedałem – powiedział krótko, aby rozwiać jej wątpliwości.

– To dlaczego mnie nie chcesz?

Pytanie było zadane z taką naiwnością, że poczuł się jak przedszkolanka. A że nie miał doświadczeń w tej dziedzinie, na długą chwilę odebrało mu mowę.

Usiadł na siedzeniu i zatrzasnął drzwiczki. Iwonka zapaliła silnik i z piskiem opon ruszyła.

– Widzisz, to jest tak – zaczął niepewnie. Brakowało mu odpowiednich dla niej słów. Nie chciał jej urazić. Była ładną i dosyć sympatyczną dziewczyną. – Ludzie mają różne potrzeby i w różnym stopniu chcą je zaspokajać. Jedni na przykład lubią jeździć na rowerze, a inni nie. Dalej. Jednym jest obojętne, jaki to rower, innym zaś nie. Chodzi o to, żeby wybrać właściwy rower.

„Co ja plotę?” – pomyślał.

– Ale kochać to się lubią wszyscy – nie dawała za wygraną.

– Najpierw trzeba pokochać, żeby się kochać – przekonywał.

– Aleś ty zacofany – rzuciła mu lekceważące spojrzenie. – Kto teraz mówi o miłości?

– Jeżeli umiera filozofia miłości, nie znaczy to, że umiera sama miłość – powiedział bez większej nadziei, że zostanie zrozumiany. Nie mylił się. Iwonka w ogóle nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Ja tam lubię – wróciła do swojej poprzedniej myśli. – Jak mi się chce jeść, to jem, jak spać, to śpię, a jak kochać, to wiesz – zmrużyła oko.

– Nie możesz tego ze sobą porównywać! – oburzył się.

– Dlaczego nie? Chcę, to robię. To moja osobista sprawa.

– Mylisz się. To nie tak.

– Eee tam, głupi jesteś – podsumowała i znów zaczęła się wiercić w takt muzyki.

Cóż jest wart nauczyciel bez autorytetu? A takim był w tej chwili Łukasz. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

„Czasem dobrze jest poprzeć teorię przykładem" – pomyślał. Okazja nadarzyła się niespodziewanie szybko.

Na poboczu dostrzegł niebieską tablicę informacyjną. Zmrużył oczy i odczytał napis: Dom Pomocy Społecznej.

– Zwolnij – powiedział. – Za tą tablicą skręć do lasu.

Iwonka chętnie wykonała polecenie. „Chłop to zawsze chłop" – pomyślała.

Za kilkoma rzędami sosen rozciągał się spory park. W samym jego centrum stał niewielki dziewiętnastowieczny dworek osłonięty cieniem potężnych topoli. Dokoła panowała niczym niezmącona cisza.

Kiedy wysiedli, Łukasz chwycił Iwonkę za ramię i poprowadził do wejścia.

– A pan do kogo? – wrzasnęła portierka, kiedy szybko przesunęli się przed jej okienkiem.

– My na szkolenie – rzucił Łukasz przez ramię.

Wprowadził Iwonkę do sali. Pod obydwoma ścianami stały łóżka. Trzymając ją mocno za przedramię, popychał od jednego do drugiego. Pokazywał i szeptał do ucha wyjaśnienia: „Ta dziewczyna. Popatrz. Siedzi i kiwa się monotonnie. Zwija i rozwija chusteczkę. Jak myślisz, czy długo tak może siedzieć? Niewykluczone, że całe życie. Ile ma lat? Nie wiem".

„A ta? Widzisz. Ma obandażowane dłonie. Na wargach resztki zaschniętej krwi. Zapewne sama gryzie swoje ręce".

„Ta – odkrył delikatnie kołdrę – moczy się, chociaż zapewne jest starsza niż ty. Widzisz jej duży brzuch i chudziutkie, niezdolne do chodzenia nogi?".

„Ta się tylko uśmiecha. Nie sadzę, aby zdawała sobie sprawę ani kim jest, ani gdzie jest. Chociaż...?”.

„Zobacz. Tylko głowa i korpus. Reszty zabrakło. Nawet nie może stąd uciec”.

„Ta chyba kojarzy”.

Dziewczyna, której wiek trudno określić, podeszła do nich. Grubymi końcówkami palców, prawie pozbawionymi paznokci dotykała włosów i ubrania Iwonki. Zacisnęła usta, długo i nerwowo wciągała nosem powietrze, po czym z ogromnym trudem wydobyła z siebie bełkot przypominający słowo „pani”.

– Co państwo tutaj robicie? – rozległo się stanowczym głosem zadane pytanie. Odwrócili się. Rosły pielęgniarz w towarzystwie portierki zmierzał w ich kierunku.

– Już wychodzimy – uspokajał Łukasz. – Przepraszamy.

Energicznie pociągnął Iwonkę za sobą.

Na świeżym powietrzu jej blada do tej pory twarz zaczęła nabierać rumieńców.

– Chcesz zwymiotować? – zapytał kąśliwie. – Nie krępuj się.

Nie reagowała.

– Jak myślisz, czy te dziewczęta, te dzieci, te... nie wiem, jak je nazwać, wzięły się ze zjedzenia kanapki? A może z popołudniowej drzemki?

– Nie jestem głupia – cedziła przez zęby. – Wiem, skąd się biorą dzieci.

– W takim razie nigdy więcej nie mów, że seks jest twoją osobistą sprawą. Bo nie jest.

Do samego lotniska nie odezwała się do niego ani słowem.

***

Kiedy w przedpokoju stuknęły drzwi, Ulka zaniepokoiła się. Nie mógł to być Grzesiek. W tym tygodniu pracował popołudniami i nocą. Wyszła zobaczyć. Na szafce siedziała oparta o ścianę Ola.

– Czemu tak wcześnie? – spytała Ulka.

– Wyrzuciła mnie – oświadczyła sucho Ola. Patrzyła przed siebie wzrokiem, w którym więcej było zaskoczenia i zdziwienia niż smutku.

Ulka poklepała ją po ramieniu.

– Chodź – powiedziała. – Napijemy się kawy.

– Pani Pynsky podziękowała mi za pracę – w tonie, jakim Ola wypowiedziała te słowa, zabrzmiały pierwsze nuty oburzenia.

– Zapłaciła ci? – Ulka nalewała gorącą kawę do filiżanek.

Ola wyjęła kilka banknotów i rozłożyła na stole.

– Tyle? To wszystko? – upewniała się Ulka.

– Też ją o to spytałam – wzburzenie Oli przybierało na sile. – Powiedziała, że powinnam się cieszyć, że w ogóle cokolwiek mi płaci. Podobno zginęła jej w czasie mojego sprzątania jakaś biżuteria.

Ulka nie wytrzymała. Sypnęła pod adresem pani Pynsky gradem najwymyślniejszych epitetów. Kiedy się dostatecznie wykrzyczała, powiedziała pocieszająco:

– Nie martw się. Poszukam ci czegoś.

– Wiesz, co mnie najbardziej boli – Ola z trudem powstrzymywała łzy. – To, że posądziła mnie o kradzież. Nigdy nie wzięłam nawet najdrobniejszej rzeczy, która należała do nich.

– Wyluzuj się. Jej nic nie zginęło. Jest na tyle ograniczona, że nawet nie wymyśliła lepszego pretekstu. Wzięła pierwszy z brzegu. Idiotka! Durny pomiot szympansa! Mogła nic nie mówić.

– Umawiałyśmy się – nie mogła zrozumieć Ola. – Nie wolno tak postępować.

– Jednym nie wolno, innym wolno. Nie zadręczaj się. Znajdziemy ci coś.

– Poproszę Tony'ego – Ola wytarła łzy. – Pomoże mi.

– Nie uzależniaj się od niego – perswadowała Ulka. – Zrozum. Tutaj nie inwestuje się, kiedy nie ma nadziei na zysk.

– Przestań! On jest moim przyjacielem.

– Dotykał cię? – nacierała Ulka. Nie podzielała opinii Oli. Nie polubiła Tony'ego.

– Tak, ale...

– A widzisz.

– Są różne sposoby dotykania – broniła się Ola. – Dotykał mnie po przyjacielsku – nie chciała słuchać przykrych uwag Ulki. – Idę się

przebrać.

– Wychodzisz?

– Tak. Z Tonym – powiedziała zdecydowanie i poszła do siebie.

Ulka pokiwała głową. Wiedziała, że na nic się zda przekonywanie. Poniekąd rozumiała, dlaczego taka w gruncie rzeczy mądra dziewczyna jak Ola zadaje się z kimś zupełnie dla niej nieodpowiednim. Przez te kilka lat widziała już niejedno. Obserwowała, jak przybywający tutaj rodacy po krótszym lub dłuższym czasie łączą się w pary formalne bądź tylko umowne. Ich historie, jak każdy przejaw ludzkiej doli, były tak różnorodne jak oni sami. Ale chyba u podstaw każdej leżało bezgraniczne poczucie samotności i pragnienie akceptacji.

Usłyszała stuknięcie zamykanych drzwi. „A więc poszła" – westchnęła.

Mimo zrozumienia złościła się przecież na Olę za to, że tyle razy ostrzegana nie chciała zrezygnować ze swej naiwnej, niemal dziecięcej ufności wobec Tony'ego. „Najwidoczniej – pomyślała – jest jej pisane zapłacić frycowe" – i zabrała się za mycie naczyń, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

„Czyżby po drodze zmądrzała?" – pomyślała z nadzieją i poszła otworzyć.

„A to co za Rumcajs?" – zdziwiła się, kiedy zobaczyła stojącego w drzwiach Łukasza.

– Dobry wieczór – przywitał się. – Nie wiem, czy dobrze trafiłem. Szukam tej pani.

Podsunął jej kartkę z nazwiskiem i adresem Joli.

– Ta pani już tu nie mieszka – poinformowała obojętnie i zamierzała zamknąć drzwi. Łukasz przytrzymał je ręką.

– A Ola?! – jego nagłe zdenerwowanie i podniesiony głos wydały się Ulce podejrzane. Przestraszyła się.

– A co panu do niej? – wyrwało się jej. Ugryzła się w język o kilka słów za późno.

– Ona tutaj mieszka, prawda? – popchnął mocno drzwi, wszedł do środka i zatrzasnął je za sobą.

– Może mieszka, może nie mieszka. Kim pan dla niej jest?

– To nieistotne. Chcę się z nią zobaczyć.

– Nie ma jej. Wyszła.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Dokąd? – powtórzył z naciskiem i zrobił krok w jej kierunku.

– Powiedziałam już – mówiła, cofając się. – Nie wiem. Proszę wyjść, bo zadzwonię po policję!

– A ja po Imigration – powiedział tonem zwycięzcy.

„Drań" – pomyślała. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie ma z nim szans. Postanowiła zagrać inaczej.

– Może wiem, ale... – wyczekująco zawiesiła głos.

Pojął w lot. Sięgnął do kieszeni, wyjął banknot i zaszeleścił nim tuż przed jej nosem.

Milczała.

Powolnym ruchem z miną pokerzysty wyciągnął następny banknot i dołączył do poprzedniego.

Milczała.

– Pijawka – rzucił jej pogardliwe spojrzenie i wyjął trzeci.

– Co kraj, to obyczaj – odpaliła, chowając pieniądze do kieszeni.

– Przypomniałaś sobie? – zapytał z ironicznym uśmiechem.

– Poszła do klubu.

– O tej porze? – znów się zdenerwował. – Sama?

– A kto powiedział, że sama – odparła opryskliwie.

– Z kim?

– Nie jestem biurem informacyjnym – rzuciła niegrzecznie, ale kiedy znów zaczął się do niej zbliżać, powiedziała pojednawczo: – Z facetem.

Wykrzywił się na te słowa jakimś dziwacznym grymasem. Nerwowo skubał brodę i wodził szybko oczyma w tę i z powrotem, jak gdyby czytał niewidzialny tekst. Ulka obserwowała go z coraz większym niepokojem. Nie przypominał jej nikogo z tych osób, o których opowiadała jej Ola. Nie widziała go na żadnym ze zdjęć, jakie pokazywała. Zachowywał się impulsywnie, nienaturalnie. Miała nadzieję, że kiedy odpowie na jego pytania, pozbędzie się go. Tymczasem on wcale nie zamierzał wychodzić.

– Znasz miasto? – spytał z nagła.

– Trochę – odrzekła zdziwiona, nie domyślając się jego planów.

– Pojedziesz ze mną – powiedział spokojniej, ale stanowczo.

– Ani mi się śni – pysknęła, ale zaraz poprawiła się: – Rano wstaję do pracy – tłumaczyła.

Sięgnął do kieszeni. Wyjął kilka banknotów. Ułożył je w wachlarz.

– Taka jest twoja tygodniówka. Zgadza się? – nie czekał na odpowiedź. – Za tyle proponuję ci pracę. Dam ci to za kilka godzin. Muszę odszukać Olę. Nie mam czasu. Spieszę się. Pojedziesz ze mną.

Popatrzyła na pieniądze, na niego i znów na pieniądze.

– Praca to praca – zgodziła się.

Po drodze wypytywał ją o Olę. Nie komentował jej odpowiedzi. Czasem wydawał tylko z siebie nerwowe pomruki lub zgrzytał zębami.

***

– Czemu płakałaś? – z doskonale udawaną troską zapytał Tony.

– Widać? – zaniepokoiła się Ola.

– Ja widzę. Ale to nic nie szkodzi – dodał szybko. – Twoje oczy są piękne jak zawsze.

– Straciłam pracę – żaliła się.

Nie słuchał, co mówi. Patrzył na nią jednym ze swoich wyuczonych spojrzeń. „Fantastycznie” – myślał. „Skrzywdzona, samotna, bez środków do życia. Jestem, maleńka, jedyną twoją przystanią. Zakotwiczysz. Czy chcesz tego, czy nie”.

– Źle się dzisiaj tutaj czuję. Za duży hałas – mówiła z rozdrażnieniem. Istotnie wyglądała na zmęczoną.

Tony natychmiast to wykorzystał.

– Mam fantastyczny pomysł – powiedział z ożywieniem. – Pojedziemy do mnie. Co ty na to?

– Może raczej odwieziesz mnie do domu – nie podzielała jego entuzjazmu.

– Daj spokój – przekonywał. – Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nie musisz jutro wstawać do pracy. Mamy przed sobą długi wieczór. Znamy się już tak długo – żalił się z miną skrzywdzonego dziecka

– a ty nawet nie widziałaś, jak mieszkam. U mnie będzie spokojnie – zapewniał.

– Czy ja wiem? – wahała się.

– Nie bądź uparta.

Nie dała się długo prosić. Ufała mu i była przekonana, że on ją najlepiej zrozumie.

W czasie drogi przechodził w uprzejmościach samego siebie. Traktował ją z najwyższą elegancją. Otwierał drzwi, podawał rękę, pomagał wsiadać do samochodu. Zabawiał rozmową. Proponował muzykę, jaką lubi. Opowiadał zabawne historie. Z niesamowitą umiejętnością wplatał w to wszystko wyszukane komplementy.

Powoli zapominała o kłopotach. Poddawała się przyjemnemu nastrojowi.

Domem Tony'ego była zachwycona. Koniecznie chciała obejrzeć wszystkie pomieszczenia.

– Daj spokój – wykręcał się. – To nie jest muzeum.

Uległ jednak jej namowom i pokazał pokoje, oprócz swojej sypialni.

– To mój azyl – powiedział przepraszająco.

Wrócili do salonu. Rozproszone światło, cicha, spokojna muzyka, meble w ciepłych kolorach stwarzały nastrój przytulności i intymności. Tony przygotował drinki.

– Obiecałeś, że mnie odwieziesz – zdziwiła się.

– To odrobinka – bagatelizował z ujmującym uśmiechem. – Nawet mucha by nie poczuła.

Pod pretekstem podania szklaneczki siadł bardzo blisko niej. Delikatnie odgarnął z jej czoła kosmyk włosów i lekko musnął policzek. Ciepłym, pełnym troski głosem powiedział:

– A tobie dobrze zrobi. Nie miałaś dzisiaj najłatwiejszego dnia.

– Jaki ty... – zaczęła, ale nie dokończyła. Rozległ się dzwonek do drzwi. Tony ze złością odstawił szklankę i poszedł otworzyć.

Max, jego wspólnik, wpadł na chwilę. Po coś ważnego, co nie mogło czekać do jutra. Robił wrażenie człowieka niezmiernie towarzyskiego i gadatliwego. Kiedy zaczynał mówić, trudno mu było przerwać. Rozmawiając z Tonym, zarzucił przy okazji Olę całą gamą komplementów.

W pewnym momencie, patrząc na krzyżyk, który Ola miała na szyi, powiedział:

– Dziwna biżuteria.

– Nie traktuję tego jak biżuterii – wyjaśniła.

– Nie? A jak? – spytał zaczepnie.

– Nie udawaj głupiego – zdenerwowała się. – Noszę to dlatego, że wierzę w Boga.

– Chyba żartujesz? – zaśmiał się. – Wierzysz w te duperele, że świat powstał w siedem dni?

– To nie tak – usiłowała tłumaczyć. – Nie należy tego rozumieć dosłownie...

– Wyobrażasz to sobie? – śmiał się. – Zacofana Bozia bazgroli na kamieniach jakieś przepisy, a potem zrzuca je na ziemię. To pokopane!

– Nie mów w ten sposób.

– Bo co? Bo przyleci aniołek i pogrozi mi mieczem?

Tony miał dość. Zachowanie Maxa psuło mu szyki. Zauważył zdenerwowanie Oli. Starał się ukryć swoją złość. Z czarującym uśmiechem zwrócił się do niej:

– Przepraszamy na chwilę – wstał i pociągnął za sobą zdezorientowanego Maxa.

– Co jest? – dopytywał się Max.

– Zamknij się! – warknął Tony po angielsku.

Rozmawiali niezbyt głośno, ale nie na tyle cicho, aby Ola nie mogła słyszeć. Mówili po angielsku. Mimo to rozumiała prawie każde słowo.

– Przestań mi płoszyć zwierzątko – denerwował się Tony. – Co cię napadło? Co cię obchodzi, w co ona wierzy? Daj jej spokój! Pracuję nad nią kilka tygodni, a ty mi chcesz w jedną sekundę wszystko zepsuć?!

– O co chodzi? Tak ci na niej zależy?

– Oczu nie masz?

– Jest niezła, nawet bardzo niezła, ale bez przesady.

– Jest jeszcze coś – Tony na chwilę zawiesił głos. – To oryginał. Rozumiesz? Nieużywany towar. Prawiczka.

– W jej wieku? Z jej urodą? – oczy Maxa były coraz większe. – Jest kosmitką?

– Nie – zaśmiał się Tony. – Wiesz to może być... hmm... bardzo ciekawe.

– Nie wierzę – pokręcił głową Max.

– Wiem o niej wszystko – zapewniał Tony.

– Skąd?

– Sama mi powiedziała.

– Wstawia ci kit – nie dowierzał Max. – To jedna z tych ich babskich sztuczek.

– Jestem pewien – w głosie Tony'ego nie było cienia wątpliwości.

– Włączyłeś kamery? Sfilmujesz? – oczy Maxa zabłysły podnieceniem.

– Jak zawsze.

– Dzisiaj?

– Jak zaraz stąd znikniesz, to może i dzisiaj.

***

Przed wejściem do klubu Łukasz zatrzymał Ulkę.

– Poczekaj – powiedział. – Wejdziesz tam sama. Powiesz jej, że ktoś do niej przyjechał i prosi, żeby wróciła do domu.

– Co ty kombinujesz? – Ulka, która zdążyła już nabrać jakiej takiej sympatii do Łukasza, znów stała się podejrzliwa.

– Chcę jej zrobić niespodziankę.

– Mam w to uwierzyć?

– Płacę ci.

– Nie zawsze pieniądze są najważniejsze. Polubiłam tę małą. Jest inna. Dobra.

– Wiem, że to wszystko może ci się wydawać trochę dziwne – mówił z powagą. – Daję słowo, że chcę dla niej jak najlepiej. I w to możesz wierzyć.

Chwilę patrzyła na niego. Nie miała żadnych podstaw, żeby mu ufać. Mimo to nie czuła z jego strony zagrożenia.

– Dobra – zgodziła się i weszła do środka.

Czekał z niecierpliwością. Każda minuta ciągnęła się w nieskończoność.

Wyszła sama.

– Nie ma ich – rozłożyła ręce.

– Jak to nie ma? To gdzie są? – pytał nerwowo.

– Nie wiem. Nie jestem wróżką. Barman mówi, że byli, ale wyszli.

– Gdzie mogą być? – zastanawiał się. – Znasz jakieś miejsca, gdzie mogli pójść?

– Z tego, co mi opowiadała, bywają tylko tutaj. A pójść mogli wszędzie.

Chodził w tę i z powrotem. Nerwowo skubał brodę. Raptem zatrzymał się w miejscu i spytał:

– Znasz tego faceta? Kim on jest?

– To jeden z tych Polaczków-cwaniaczków. Tak mi się zdaje. Ma kilka warsztatów samochodowych. Dorobił się na naiwnych. Wiesz, czeka się na takich „nowych" z kraju. Wciska się stare rzęchy. I tak się nie poskarżą.

Potakująco kiwał głową. Te informacje nie robiły na nim wrażenia. Interesowało go coś zgoła innego.

– Dlaczego Ola z kimś takim? Wiesz coś o tym?

– A co poradzisz, jak się kto uprze? Powiedziałam jej, co o nim myślę. Ale to jej sprawa.

– Jak on się nazywa?

– Tony Branch.

– Czyli Antek Gałązka – drwił, wyciągając plik banknotów. – Pójdziesz jeszcze raz i zapytasz, gdzie on mieszka.

– O to nie muszę pytać. To akurat wiem.

– Jedziemy! – pociągnął ją energicznie.

– To kawałek drogi – usiłowała tłumaczyć. – Nie prościej wrócić do domu i spokojnie poczekać?

– Nie – rzucił krótko, nie zwalniając kroku.

– A jak ich tam nie będzie? – powątpiewała, drobiąc za nim małymi kroczkami.

– Pojedziemy dalej – otworzył drzwi.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem – energicznie posadził ją na fotelu.

– Masz zamiar jej szukać po całym mieście?

– Tak – zatrzasnął za nią drzwi.

Kiedy wsiadł, nie zadawała już więcej pytań. Zajęła się prowadzeniem samochodu.

– Mogłabyś jechać trochę szybciej? – denerwował się.

– Koniecznie chcesz poznać tutejszych gliniarzy?

Zamilkł. Zdał sobie sprawę, że niepotrzebnie złości się na Ulkę. Mogła się przecież nie zgodzić. Bezmyślnie patrzył na rozświetlone ulice. „Szukanie igły w stogu siana" – pomyślał.

– A jeżeli minęliśmy się w drodze? – przyszło mu nagle do głowy. – Mogła w tym czasie wrócić do domu.

– Zadzwoń – Ulka podała mu telefon i podyktowała numer.

Długą chwilę trzymał słuchawkę przy uchu.

– Cisza? – spytała.

– Tak.

Skręcili w nieco mniej ruchliwą okolicę. Zgrabne, niewielkie domy, niektóre o bardzo ciekawej architekturze, otoczone były mnóstwem zieleni. Łukasz przyglądał się im z zainteresowaniem. Nagle przed oczami mignęła mu jakaś postać. Bardzo znajoma.

– To ona! – krzyknął. – Zawróć.

– Coś ci się pokręciło – Ulka nie była przekonana, mimo to zwolniła.

– Zawracaj. To była ona. Jedź – pokazywał ręką. – Widzisz? Tam.

Teraz i Ulce zdawało się, że poznaje Olę. Podjechała blisko i zatrzymała się. Łukasz otworzył drzwi. Na widok zatrzymującego się samochodu Ola nagle zaczęła uciekać. Pędziła przed siebie na oślep. Łukasz gnał za nią ile sił w nogach. W końcu dopadł do niej. Schwycił ją mocno za ramiona i zatrzymał.

– Zostaw mnie! Puść! – krzyczała i szarpała się. Była zapłakana.

– Uspokój się – mówił łagodnie. – Nie zrobię ci nic złego.

Nie przestając szlochać, kopała go z całej siły po nogach i usiłowała się wyrwać z jego uścisku.

– Olka, to ja – rozległ się głos Ulki, która zdyszana właśnie do nich dobiegała. – Nie bój się.

Spokojnie odsunęła Łukasza. Objęła Olę i przytuliła do siebie. Głaskała ją po głowie i powtarzała:

– Już dobrze. Nie bój się. Już dobrze.

W obecności Ulki Ola nabrała odwagi. Całą złość skierowała teraz na Łukasza. Wytarła załzawione oczy i napastliwie spytała:

– Skąd się pan tutaj wziął? Kim pan jest? Czego pan ode mnie chce?

– Myślałam, że się znacie? – Ulka miała dość niespodzianek jak na jeden wieczór. Nadal obejmując Olę, zaczęła się powoli cofać.

– Nie bójcie się – rozłożył ręce. – Nie chcę zrobić nic złego – uspokajał i powolutku zbliżał się do nich. – Zaraz wytłumaczę – sięgnął do kieszeni. Obydwie bacznie obserwowały każdy jego ruch. Wyjął zdjęcie Anny. To samo, które dostał od jej ciotki. Odwrócił je i na wyciągniętej ręce pokazał Oli.

– Skąd pan to ma? – spytała podejrzliwie.

– Od twojej cioci. Ona bardzo cię kocha. Tęskni za tobą i zamartwia się. Obiecałem jej, że cię przywiozę z powrotem – sam się zdziwił, że ostatnie słowa tak gładko przeszły mu przez gardło.

– Dlaczego miałabym panu uwierzyć?

Zamiast odpowiedzi wyjął telefon. Spodziewał się, że jeżeli tę scenę odegra dobrze, Ola przestanie go podejrzewać. Pewnym ruchem wyciągnął w jej stronę. Spokojnie, prawie obojętnie powiedział:

– Zadzwoń – a widząc jej wahanie, dodał: – To ty miałaś dzwonić. „Dla ciebie ciociu to za drogo”. Czy nie tak jej powiedziałaś?

Nie pomylił się. Skutek był taki, jak przewidywał. Ola nieco łaskawiej popatrzyła na niego. Przekonało ją to, że dokładnie powtórzył jej słowa. Tego nie mógł sobie wymyślić. Propozycja powrotu wydała się jej niespodziewanym i szczęśliwym rozwiązaniem wszystkich bieżących problemów. Kiedy uświadomiła sobie, że za parę godzin mogłaby znaleźć się we własnym domu, zobaczyć wszystkich, którym mogła ufać, za którymi tak bardzo tęskniła, miała ochotę teraz, natychmiast jechać. Z drugiej strony przykre doświadczenia, zwłaszcza dzisiejszego dnia, obudziły w niej czujność. Nauczyły ostrożności. „A jeżeli znów się mylę” – zastanawiała się. „Jeżeli on okaże się taki sam jak pani Pynsky, jak Tony?”. Co jakiś czas spoglądała na Ulkę. Liczyła na jej pomoc. Łukasz doskonale widział jej niezdecydowanie. Nie chciał być natarczywy. Nie chciał namawiać, ale nie mógł pozwolić na to, aby odmówiła. Sięgnął do kieszeni i wyjmując dwa bilety, powiedział:

– Jeszcze zdążymy.

Niespodziewanie z pomocą przyszła mu Ulka. Przyciągnęła Olę do siebie i głaszcząc ją po ramieniu, powiedziała:

– Wracaj. Tam cię kochają. Po tych słowach wydarzenia potoczyły się nader szybko i sprawnie. Powrót na kwaterę.

Pakowanie. Pożegnania. Zapewnienia o pamięci. Podziękowania. Taksówka na lotnisko i już byli w ogromnym hallu portu numer cztery.

Łukasz poruszał się szybko i pewnie, jakby był u siebie. Ola wręcz przeciwnie. Jej zachowanie zdradzało, że jest trochę speszona i zagubiona. Zauważył to. Zatrzymał ją na chwilę.

– Jak to wy teraz młodzi mówicie? Wyluzuj się – tłumaczył. – Nie pękaj. Robi to na tobie wrażenie – potoczył wzrokiem dokoła. – Trochę się boisz? Nie ma czego. Popatrz. To tylko beton, stal, szkło. Do tego wszystkiego jakieś elektryczne i elektroniczne bajery: światła, ekrany, głośniki, cyferki, napisy i inne bzdurki, które doskonale znasz. Nie musisz się przed tym kłaniać. A że ogromne? To ma niewielkie znaczenie. „Najważniejsze jest to, co niewidoczne dla oczu".

– Też lubię „Małego Księcia" – roześmiała się i poczuła znacznie lepiej. Wyprostowała się i pewniej poruszała wśród tłumu podróżnych.

Właśnie mijali grupę dziwacznie ubranych młodych ludzi, którzy, wymachując kolorowymi ulotkami, zachęcali przechodniów do wyznawania nowej wiary. Jeden z nich zastąpił im drogę.

– Bracie i siostro – mówił, szeroko się uśmiechając. Z tego, w jaki sposób patrzył na Olę, można było wywnioskować, że siostra budzi w nim znacznie większe zainteresowanie. – Nie smućcie się. Przystąpcie do naszego Kościoła Miłości i Tolerancji. Poznajcie naszego Boga. On sprawi, że wasze życie stanie się radosne i szczęśliwe. Opowiem wam o Nim.

W oczach Łukasza zadrgały złowrogie ogniki. Nie wypuszczając z lewej ręki podróżnej torby, prawą schwycił tego wątpliwej jakości apostoła za pasek od spodni i mocno przyciągnął do siebie. Młodzieniec stracił nieco na odwadze, ale nie przestawał się głupawo uśmiechać.

– Jestem Polakiem – mówił dobitnie. – Wiesz, co to Polska? Pewnie nie wiesz. To taki piękny kraj w samym sercu Europy. Dawno, dawno temu polski król... Wiesz, kto to król? Dla ciebie to taki Elvis z mózgiem

powiedzmy... Roosvelta. Otóż ten król powiedział tak: „Jestem waszym władcą, ale nie jestem władcą waszych sumień”. I był to najkrótszy i najlepszy traktat o tolerancji. Z Panem Bogiem też już znamy się od paru lat. Jeszcze tutaj – zatoczył głową szerokie koło – wśród skał hulał wiatr i rozwiewał dymy indiańskich ognisk, kiedy kolana polskiego księcia, a wraz z nim całego ludu zginały się przed Majestatem Najwyższego, więc daruj sobie. Nie mam czasu dłużej ci tłumaczyć, bo spieszę się na samolot – zakończył swoją wypowiedź i puścił oniemiałego chłopaka. Kątem oka popatrzył na Olę. Nie powiedziała nic, ale na jej ustach drgał delikatny, prawie niedostrzegalny uśmiech. Drobniutki znak aprobaty. Łukasz z trudem opanował dreszcz radości.

W samolocie odczuł pewien rodzaj ulgi. Pierwszy etap miał za sobą. Dokonał tego, co wydawało się być nie do osiągnięcia. Wiózł ją do domu. Zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że czeka go jeszcze najtrudniejsze. „Wszystko musi mieć swój czas i miejsce” – tłumaczył sobie. Póki co nurtowało go jedno pytanie. Z tym nie chciał czekać.

– Nie miej mi za złe, że o to pytam – śmieszne, ale wstydził się własnego dziecka. – Nie pytam z pustej ciekawości. Czy ten człowiek... czy cię skrzywdził? Czy zrobił ci coś?... Wiesz o czym mówię...

– Nie – potrząsnęła głową. – Uciekłam.

Więcej nie rozmawiali. Ola, zmęczona ostatnimi wydarzeniami, zasnęła.

Chwilę patrzył na nią ze wszystkimi ojcowskimi uczuciami, jakie nosił uśpione w swoim sercu. Wiele trudu kosztowało go to, że siedząc tak blisko niej, nie mógł jej dotknąć, przytulić, opowiedzieć o swojej tęsknocie, bólu. „Znaczenie prawdy docenia się wówczas – westchnął – kiedy nie można jej powiedzieć”. Włożył do jej torebki sporą, grubą kopertę. Ostrożnie, w obawie, aby się nie obudziła, wstał z fotela.

Ola śniła. Wspomnienia z dawnych lat łączyły się z niedawnymi przeżyciami. Miejsca i osoby nakładały się na siebie. Z mieszaniny obrazów wyłoniła się na dłużej jedna scena. Osnuta mgłą alejka na cmentarzu, a na niej postać mamy. Ola biegła w jej stronę. Pragnęła się do niej przytulić. Mama wyciągnęła do niej ręce. Uśmiechała się. Ucałowała ją i objęła. Potem delikatnie ją odwróciła i lekko popchnęła. Wtedy zobaczyła ojca. Jego niewyraźna sylwetka była zasnuta mgłą.

Nie mogła dostrzec jego twarzy. Ale wiedziała, że to on. Niepewnie zaczęła iść w jego stronę. Zatrzymała się. Odwróciła. Popatrzyła na mamę. Ona nadal uśmiechała się i potakująco kiwała głową. Ola z trudem, krok po kroku, szła w stronę taty.

Kiedy się obudziła, rozpoznała za oknami znajomy, ojczysty krajobraz. Z uśmiechem odwróciła głowę. Sąsiedni fotel był pusty.

CZĘŚĆ DRUGA

1.

Wydarzenia ostatniego czasu wydawały się Łukaszowi prawie nierzeczywiste. Nie rozumiał łatwości, z jaką realizował swoje zamierzenia. Zaskakiwały go niewytłumaczalne wręcz zbiegi okoliczności. Jadąc po Olę, spodziewał się niemałych trudności. Tymczasem wypadki potoczyły się nadspodziewanie szybko. Zaskoczony takim obrotem sprawy po prostu przestał myśleć. W samolocie zachował się idiotycznie. Nie dość, że zostawił ją samą bez żadnego wytłumaczenia, to na dodatek włożył do jej torebki pokaźną sumę pieniędzy. Wtedy myślał tylko o jednym: przywieźć ją z powrotem i odsunąć od niej jak najdalej codzienne kłopoty.

Dopiero po powrocie do domu zdał sobie sprawę, że zachował się niczym tajemniczy nieznajomy z sentymentalnej powieści. Mogło to wprawić dziewczynę w jeszcze większy niepokój. Postanowił swój błąd naprawić. Miał ku temu znakomity pretekst. Cioci przedstawił się jako dawny przyjaciel Anny. Póki co zdecydował nadal grać tę rolę.

Kiedy pierwszy raz zapukał do ich drzwi, nie wiedział, jak zostanie przyjęty. I znów ku jego zdziwieniu obie panie przywitały go ciepło i serdecznie.

Wcześniej dużo o nim mówiły. Olę niepokoiło dziwne zachowanie Łukasza. Kiedy podzieliła się swoimi obawami z ciocią, ta lekceważąco machnęła ręką i powiedziała: „Przesadzasz, moje dziecko. Jego strój i te włosy. To mi wygląda na jakiegoś artystę. Oni często nie zachowują się, no powiedzmy, całkiem normalnie, ale to nie są źli ludzie”.

Zapytany przez Olę o pieniądze Łukasz powiedział, iż miał jeszcze z dawnych czasów pewne zobowiązania wobec Anny. Przepraszał, że z ich wypełnieniem czekał aż do tej pory. Uspokojona tymi wyjaśnieniami coraz łaskawszym okiem patrzyła na niego. Tym bardziej, że z nim mogła dosyć otwarcie rozmawiać.

Przed ciocią ukryła wiele szczegółów ze swojego pobytu za granicą. Wróciła akurat w takim czasie, kiedy prawie wszyscy jej przyjaciele wyjechali na wakacje. Było jej to poniekąd na rękę. Miała czas, żeby ochłonąć. Nabrać dystansu. Ale przecież potrzebowała rozmowy, a Łukasz okazał się wspaniałym słuchaczem. Co prawda zdarzały się momenty niepokoju. Bywało, że przyglądał się jej ukradkiem. Przyłapany na tym natychmiast spuszczał oczy. W takich chwilach przypominała sobie o Tonym. Dyskretnie sprawdzała, czy łańcuszek jest na swoim miejscu. Zwykle towarzyszyła temu jedna myśl: Co by było, gdyby tego wieczoru, kiedy poszła do domu Tony'ego, nie założyła krzyżyka?

Łukasz zaś w takich chwilach miał nieodpartą chęć przytulić ją do siebie i od początku do końca powiedzieć całą prawdę. Dlaczego tego jeszcze nie zrobił? Ze zwykłego ludzkiego strachu. Z lęku, że zostanie odrzucony. Tak bardzo cieszył się ze spotkań, z rozmów, z możliwości uczestniczenia w jej życiu, że nie wyobrażał sobie, aby na nowo to wszystko utracić.

Za wszelką cenę pragnął dowiedzieć się, co Ola wie o swoim ojcu. Ani ona, ani ciotka nigdy tego tematu nie poruszały.

Tego wieczoru, po kolacji, zaproponował wspólne obejrzenie zdjęć. Ciocia z wielką ochotą pokazała ten sam album, który już wcześniej widział. To był jej ulubiony. Ola przyniosła jeszcze trzy inne. Z biciem serca zabierał się do ich przeglądania. Spodziewał się, że będzie w nich również jego zdjęcie z młodości. O to, że zostanie rozpoznany, nie obawiał się. Bardzo się od tamtego czasu zmienił. Liczył, że usłyszy komentarz. Że po tym, co powiedzą, będzie się mógł chociaż z grubsza zorientować, jaki jest stosunek Oli do ojca. Odwracał powoli kolejne kartki. Ciocia nie dawała sobie odebrać głosu. O każdym zdjęciu miała coś do powiedzenia. Słuchał całym sobą. Zapamiętywał każde niemal słowo. Uczył się historii życia dwóch najbliższych mu na tym świecie istot. Historii, w której nie dane mu było uczestniczyć. Ostatni album odkładał ze smutkiem. W żadnym z nich bowiem nie było ani jednego jego zdjęcia.

Chcąc ukryć prawdziwy powód swojego przygnębienia, udał, że jest zmęczony i zamierzał się pożegnać, ale Ola właśnie zaczęła mówić o konieczności podjęcia pracy. Przerwała studia. Planowała przecież znacznie dłuższy pobyt za granicą. Do końca urlopu zostało jeszcze kilka

miesięcy. Chciała pożytecznie wykorzystać ten czas. Nie mógł sobie pozwolić na nieobecność przy takiej rozmowie. Padały różne propozycje. Jedne możliwe, inne nie. W zasadzie prawie wszystkie były niemożliwe. W końcu ciocia wspomniała o panu Ryszardzie. Delikatnie starał się ją zniechęcić do tego pomysłu, ale ona uparcie twierdziła, że należy szukać wszędzie. Ola przytakiwała jej.

Nie pozostawało mu nic innego, jak znów odwiedzić swojego kolegę. Udał się więc do jego „kryjówki" jeszcze tego samego wieczoru. Zdał sobie bowiem sprawę, że ten punkt ma całkiem niedopracowany.

Do czasu istnienia firmy, w której pracował, prezes i kadrowa znali jego nazwisko. Po ich wyjeździe z miasta pozostawał tylko Rysiek. Łukasz obawiał się jego gadatliwości. Za nic w świecie nie chciał, nie życzył sobie, aby ktokolwiek trzeci powiedział Oli, kim on naprawdę jest. Pragnął to zrobić sam. Jeszcze nie wiedział, kiedy i jak to zrobi, ale tylko sobie dawał do tego prawo.

Niestety „kryjówka" była pusta.

2.

Kiedy budzik wydzwonił siódmą rano, Łukasz w pośpiechu wypił jedynie kilka łyków kawy i prawie wybiegł z domu. Spieszył się. Chciał być pierwszy w biurze Ryśka. Nawet nie dopuszczał myśli, że może go nie zastać. Szybko przemierzał ulice. Przez moment zaświtała mu w głowie myśl, że w zasadzie powinien sobie kupić samochód. W ostatnim czasie jego życie nabrało takiego tempa, że nie nadążał za nim na piechotę.

Przed parkingiem zwolnił. Już z daleka dostrzegł charakterystyczną sylwetkę Ryśka. Stał nonszalancko oparty o dach samochodu i rozmawiał z mężczyzną, w którym Łukasz rozpoznał nie kogo innego, jak znajomego mu księdza. Prowadzili ożywioną rozmowę. Wyglądało na to, że są w dość zażyłych stosunkach.

Łukasz nie bardzo mógł zrozumieć tę sytuację. Wydawało mu się, że światy, które ci dwaj reprezentowali, są zbyt dalekie, aby pozwalały na bliskie kontakty. „Chyba że...” – myślał. „Chyba że rację mają ci, którzy powiadają, że co innego na ambonie, a co innego w życiu. Idee sobie, a praktyka...”. Nie miał czasu dłużej się nad tym zastanawiać. Właśnie ksiądz uścisnął rękę Ryśka i wsiadł do samochodu. Łukasz pospieszył w stronę biura.

Tym razem dosyć spokojnie zaliczał schody. Po jednym. Na sekretarkę i jej pytania nie zwrócił uwagi. Wszedł do gabinetu. Rysiek właśnie z ciężkim westchnieniem siadał w fotelu, tak jak gdyby od samego rana był już zmęczony. Kiedy spostrzegł Łukasza, uniósł brwi w górę.

– A ty co tu robisz? – zdziwił się.

– Niestety znowu mam do ciebie prośbę – mówił Łukasz, siadając naprzeciwko niego.

– To ja sobie wypruwam żyły – wyrzucał mu Rysiek. – Ryzykuję dla ciebie, a ty sobie w kulki pogrywasz? Na co ja ci to wszystko załatwiałem?

Balona ze mnie robisz? Myślałem, że to poważna sprawa.

– Bo to była – uspokajał go Łukasz – bo to jest poważna sprawa. Dla mnie w tej chwili najpoważniejsza. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi pomogłeś.

– Miałeś wyjechać – nie rozumiał Rysiek.

– I wyjechałem. Wróciłem. Tamto mam już za sobą. Teraz przychodzę w innej sprawie – podał Ryśkowi zdjęcie Oli. – Znasz ją?

– Nie – zamruczał Rysiek – nie przypominam sobie – pokręcił głową. – No, no. Gust to ty masz niczego sobie. Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Posłuchaj uważnie. Być może, że ona przyjdzie do ciebie. Szuka pracy. Jeżeli przyjdzie, nie znasz mnie. Rozumiesz? Nie znasz ani mnie, ani mojego nazwiska. W ogóle nie wiesz, że ktoś taki istnieje. Nigdy w życiu mnie nie spotkałeś.

– No, kapuję – Rysiek nie wydawał się być zaskoczony. Po Łukaszu spodziewał się różnych dziwactw. – A robotę mam jej załatwić, czy nie? – dopytywał się, nie odrywając oczu od zdjęcia Oli.

– Jeżeli możesz, to oczywiście – Łukasz zabrał z powrotem zdjęcie i chowając je, dodał: – Jedna uwaga. Jeśli ją tkniesz... – nie musiał kończyć. Obydwaj wiedzieli, o co chodzi.

– A na co mie ona? – lekceważąco zaśmiał się Rychu. – Tu się kręci całe stado takich, co same się pchają – przyjrzał się uważnie Łukaszowi. – Ty. Nie jesteś za stary na takie numery? Chłopie. Nie w tym wieku. Chcesz, to mam do wyboru: ruda, blondyna, chuda, przy kości. Daj se siana z taką lalą. Nie angażuj się. Chcesz zawału dostać?

– Nie jest tak, jak myślisz – Łukasz wstał z zamiarem odejścia. – Będziesz milczał? – upewniał się.

– Nie znam pana. Proszę wyjść z mojego gabinetu – śmiał się Rysiek.

„Traktuj to, jak sobie chcesz, bylebyś dotrzymał słowa” – pomyślał Łukasz. Nie był do końca pewien. Rychu zawsze traktował kobiety dość niepoważnie, więc istniała obawa, że nie bardzo przejmie się prośbą. Postanowił więc teraz od razu odwiedzić Olę i jeszcze raz spróbować zniechęcić ją do przychodzenia tutaj. Mimo wszystko wolał, aby nie spotykała się z Ryśkiem.

W domu zastał tylko ciocię.

– O! Miła niespodzianka – przywitała go z radością. – Oleńki nie ma – mówiła, zapraszając do środka. – Z samego rana przybiegła jej przyjaciółka Gosia. Pan pewnie nie zna. Ile było radości! Szczebiotały, ściskały się...

– Nie będę w takim razie dalej wchodził – Łukasz zatrzymał się w przedpokoju. – W zasadzie chciałem się zobaczyć z Olą, ale skoro jej nie ma, przyjdę później.

– Pewnie. Na cóż panu towarzystwo takiej panny jak ja – żartowała ciocia. Nie czekała na grzeczne zaprzeczenia Łukasza i zapewnienia o sympatii. Cieszyła się, że Ola znalazła w nim przyjaciela. – Znajdzie je pan na budowie – tłumaczyła. – Tam poszły. Do Gosi dzwonił ksiądz Marek i prosił, żeby przyszły. Na pewno zejdzie im do wieczora. Ksiądz chce jak najszybciej skończyć prace. Jeszcze w czasie wakacji, dopóki młodzi nie porozjeżdżają się do szkół. Tylko oni chcą pracować za darmo – westchnęła.

– Bardzo przedsiębiorczy jest ten młody ksiądz – uśmiechnął się Łukasz bardziej do swoich myśli niż do cioci.

– O bardzo, bardzo – potwierdziła staruszka.

– Gdzie ta budowa?

– Jak by to panu najprościej wytłumaczyć – zastanawiała się. Nie wiedziała przecież, że Łukasz zna miasto. – Wie pan, gdzie jest dworzec? – przytaknął. – Tam zaraz obok jest kilka domków, a jeszcze kawałek za nimi stoi wysoki budynek. To właśnie ten. Jakiś czas temu przyjechali tutaj młodzi ludzie. Mieli wielkie plany. Chcieli wybudować hotel. Zaczęli, ale coś im tam nie wyszło. Zrezygnowali i wyjechali stąd. Budynek niszczał. Nie był wykończony, więc ksiądz Marek postanowił to wykorzystać. Gdyby pan miał kłopoty z odnalezieniem, wystarczy zapytać. Każdy pokaże.

– Znajdę – zapewnił Łukasz. Chciał się jak najprędzej zobaczyć z Olą. Nie spodziewał się, że tam, dokąd zmierza, nie ma jej.

Ola w tym czasie była w całkiem innym miejscu. Zaopatrzone w spore siatki szły z Gosią do sklepu. Dawno się nie widziały. Miały sobie mnóstwo do opowiedzenia. Przez całą drogę prowadziły ożywioną rozmowę. Nie zwracały uwagi na przechodniów.

Zajęte bez reszty tylko sobą dopiero w ostatniej chwili zauważyły, że ze sklepu wychodzi Michał w towarzystwie swojej mamy i tej samej dziewczyny, z którą Ola widziała go już wiele razy. Tak jak poprzednio trzymała go za rękę. Ola przystanęła. Chwyciła Gosię za ramię, chcąc ją zatrzymać. Za wszelką cenę chciała uniknąć tego spotkania. Niestety, na odwrót było za późno. Mama Michała już je zobaczyła. Nie było wyjścia. Ola wykrzesała wszystkie dziewczęce siły, aby się opanować. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem podeszła i grzecznie witała się. Michał na chwilę oderwał rękę od swej towarzyszki i powolnym ruchem wyciągnął ją w stronę Oli. Odwzajemniła uścisk. Obojgu zdawało się, że ich dłonie przyrosły do siebie i że nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby je rozerwać.

Przedziwne są ludzkie ręce. Mogą podać chleb i zapętlić sznur na szyi skazańca. Pogłaskać i wymierzyć policzek. Pobłogosławić i zacisnąć się w pięść. Wybudować i zburzyć. Hojnym, otwartym gestem obdarzyć wszelkim dobrem i bezradnie skurczyć się w proszącym geście jałmużny.

Są takie, które proszą o wybaczenie. Takie, które zaszczycają. I takie, które chciałoby się nie tylko dotknąć, ale zatrzymać na zawsze.

Stali tak więc niczym dwa zrośnięte drzewa. I choć serca ich napełniał niepokój i niepewność, oczy nie umiały ukryć radości i raz za razem wyznawały to, co większe i piękniejsze od słów. Nie wiadomo jak długo trwaliby w tym zapatrzeniu, gdyby nie mama Michała.

– Wy się chyba jeszcze nie znacie? – zwróciła się do Oli. – To moja siostrzenica – wskazała na Magdę. – Świeżo upieczona, szczęśliwa studentka – dodała z nieukrywaną dumą.

Są w życiu takie momenty, przed którymi powinno się ludzi wcześniej ostrzegać. Dla Oli była to właśnie ta chwila. Na szczęście miała przy sobie Gosię. Ściskała jej ramię tak mocno, że aż palce posiniały.

– Magda – z filuternym uśmiechem przedstawiła się dziewczyna.

– Bardzo mi miło – powiedziała Ola i jej słowa były czymś znacznie więcej niż tylko grzecznościową formułką.

– Spieszymy się – wyjaśniała mama Michała. – Piotrek może wrócić lada chwila, a nie ma kluczy. Wpadnijcie na herbatkę – zapraszała serdecznie.

– Dziękujemy – odpowiedziały chórem.

Ola chwilę stała nieruchomo i patrzyła, jak się oddalają. Gdy tylko ich sylwetki zniknęły za rogiem, rzuciła się Gosi na szyję. Ściskała ją, całowała i krzyczała do ucha:

– Gosiu! Gosieńko! Tak się cieszę. Rozumiesz? To jego siostra. Jego siostra!

Nagle uwolniła przyjaciółkę z uścisku. Zaczęła wywijać siatką niby lassem, rzucała ją wysoko do góry i wykrzykiwała wciąż te same słowa: – To jego siostra! Jego siostra!

Potem znów schwyciła Gosię za ręce i kręciła z nią zawrotnego młynka.

Przechodnie z pobłażliwymi uśmiechami przyjmowali ten nader ostentacyjny wybuch młodzieńczej radości.

Jakże zadowolony byłby Łukasz, gdyby widział ją tak szczęśliwą.

Tymczasem jego myśli miały diametralnie odmienne zabarwienie. Rozmowa z ciotką upewniła go w przekonaniu, że w przypadku owego młodego księdza teoria idzie swoją drogą, a praktyka swoją. „W kościele gadanina o ubóstwie – myślał – a w życiu kolega Rychu i biznes. Jeszcze bezczelne wykorzystywanie dzieciaków. Obrzydliwe. Niech sobie innych nabiera. Nie pozwolę, aby moja Ola też ulegała całej tej fikcji. Nie pozwolę”.

Minął już dworzec i szybkim krokiem zbliżał się do domków z czerwonej cegły. Nieopodal na ulicy, tuż przy krawężniku zobaczył leżącego człowieka. Podbiegł do niego. Pochylił się. Chłopak nie mógł mieć więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Leżał na boku w sporej kałuży pozostałej po wczorajszym deszczu. Na odsłoniętych ramionach widniały liczne tatuaże. Głowę miał nieco odchyloną do tyłu. Posklejane, długie kosmyki jasnych włosów smętnie mokły w wodzie. Z otwartych ust wypływała ślina i mieszała się z błotem. Łukasz ostrożnie rozchylił jego powiekę i przyjrzał się źrenicy. Była nienaturalnie rozszerzona. Chłopak poruszył się i wybełkotał jakiś trudny do zrozumienia wyraz. Łukasz podłożył ręce pod jego bezwładne prawie ciało i usiłował go podnieść. Właśnie w tym momencie nadjechał samochód. Prawe koło wpadło w kałużę. Fontanna błota chlusnęła na twarz i ubranie leżącego. Ocknął się, otworzył oczy i nieprzytomnym wzrokiem patrzył przed siebie. Łukasz

schwycił go mocno za ramiona i podniósł. Dowlókł go do alejki przy dworcu i posadził na jednej z ławek. Rozejrzał się za czymś do przykrycia. Chłopak był prawie cały mokry. Nie było niczego pod ręką. Żadnych gazet, tektur. Wszystko posprzątane. Z sąsiedniej ławki wstał powoli jeden z „tubylców". Szurając przydeptanymi kapciami, podszedł powoli. Chwilę przyglądał się chłopakowi. Potem zachrypłym głosem powiedział ni to do siebie, ni do Łukasza:

– Ciepło. Wyschnie.

Pokiwali głowami i każdy udał się w swoją stronę.

Kiedy Łukasz doszedł do budynku, którego szukał, zobaczył stojące na podjeździe białe Renault. Upewniło go to, że dotarł do właściwego miejsca. Już sam widok samochodu wzmagał w nim oburzenie. Obiecywał sobie, że nie zostawi suchej nitki na jego właścicielu. Właśnie nadarzyła się okazja. Ksiądz Marek wyszedł z budynku. Kiedy zobaczył Łukasza, uśmiechnął się i powiedział:

– Znowu się spotykamy – zwrócił uwagę na jego zabłocone dłonie. – Pobrudził pan ręce.

– Taki brud da się łatwo zmyć – mówił Łukasz lodowatym tonem. – Zwykłą wodą. Znacznie gorszy jest ten, na który nie radzą żadne środki.

Ksiądz Marek zauważył wzburzenie Łukasza. Nie pytał o powody. Spieszył się, ale ten dziwny człowiek na tyle go zaciekawił, że postanowił poświęcić mu chwilę czasu.

– Każdy brud da się zmyć – odrzekł z przekonaniem. – To tylko kwestia chęci.

– Dodałbym, że również konieczności. Ten – wskazał na swoje dłonie – zwraca uwagę, bo go widać. Po cóż zmywać taki, który trudny do zauważenia, bo niewidoczny? Bo sprytnie ukryty pod parasolem gładkich, świętych słówek, za którymi niestety nie idą równie święte czyny. Czy nie sądzi ksiądz, że osoby, które postrzegają siebie jako strażników etyki i moralności, powinna cechować prawdomówność i odpowiedzialność za słowo?

– W pełni się z panem zgadzam.

– Czyżby? – jadowicie cedził słowa Łukasz. – Jest to owszem możliwe tylko przy założeniu, że nie rozumie ksiądz znaczenia pojęcia „prawda".

A może – wznosił się na szczyty ironii – za rozporządzeniem ojców Kościoła, to pojęcie trzeba teraz pojmować inaczej?

– Prawda – nie dawał się wyprowadzić z równowagi ksiądz – jest jedna. Nie może ona być inna teraz niż była tysiące lat temu i niż będzie w przyszłości. Sądzę, że pan to doskonale wie. Myślę, że jest to temat na dłuższą i bardziej wnikliwą rozmowę.

– O tak, myślenie to piękna rzecz – atakował nadal Łukasz. – Właściwa i dozwolona tylko wybranym. Działanie pozostawmy maluczkim i naiwnym.

– Myślenie nie wyklucza działania. Dobrze jest, jeżeli je poprzedza. Jestem zwolennikiem aktywności.

– O, spodziewam się – drwił Łukasz. – Zwłaszcza cudzej aktywności na korzyść własnej osoby.

Kiedy kończył wypowiadać te słowa, zadzwonił telefon. Ksiądz przeprosił i wsiadł do samochodu. Chwilę rozmawiał, po czym wychylił się tylko i zawołał:

– Pan wybaczy, ale muszę jechać.

– Do swojego przyjaciela Ryszarda? – odkrzyknął Łukasz za odjeżdżającym samochodem.

Był na siebie wściekły. Stracił czas na jałową rozmowę. Nie zdążył powiedzieć tego, co chciał. Teraz miał zamiar wyciągnąć stąd Olę. Bez wstępów i tłumaczeń.

Ruszył w kierunku drzwi. Szedł tak zdecydowanie i zamaszyście, że o mało nie przewrócił wychodzącego chłopaka.

– Pytajnik?! – zdumiał się.

– Ducha pan zobaczył?

– Co ty tutaj robisz?

– To, co wszystkie chłopaki – pociągnął Łukasza za rękaw. Przeszli kilka kroków. Stanęli w pewnej odległości od budynku. Pytajnik z zadowoleniem omiótł wzrokiem całość.

– Fajnie wyszło, co? – powiedział z dumą. – Z takiej ruiny.

– Pracujesz tutaj? – upewniał się Łukasz.

– Tak.

– Za darmo?

– Tak.

– Pozwalasz się wykorzystywać? Przecież ten klecha-biznesmen bogaci się waszym kosztem.

– Mówi pan o Wielebnym?

Łukasz przytaknął.

– On jest w porządku – z przekonaniem powiedział Pytajnik. – A. Ta dziewczyna, co pan pytał – przypomniał sobie. – To może być ta, co była tu dziś rano. Jakby pan chwilę poczekał. Poszły po coś do żarcia. Jak wrócą, to by pan sam zobaczył.

Na tę informację Łukasz nie zareagował.

– Dlaczego powiedziałeś, że on jest w porządku?

– Wielebny?

– Tak.

– Bo jest.

– Facet buduje sobie hotel. Pracujecie u niego. On wam nie płaci, a ty mówisz, że to w porządku?

– Widzę, że pan nic nie kuma. To nie żaden hotel. To ma być jakiś szpital czy coś w tym guście. Dla ćpunów i tych z alejki pod dworcem. Wielebny to łebski gość. Jakoś to zakołował od starosty. Umie nieźle nawijać, to go przekonał. Kasę też nieźle organizuje. Na wszystko jest, na cement, na farbę i na wyżerkę. Własnym wózkiem ściąga jakieś graty. Nawet telewizor dzisiaj przytaskał. Chce pan zobaczyć?

Łukasz nie odpowiadał. Z każdym słowem Pytajnika jego głowa opuszczała się coraz niżej. Wstydził się.

Chłopak ciągnął dalej:

– Tak pan mówi: „za darmo”. Pod blokiem też cały dzień kimam za darmo. Łyknę browaru, zajaram i siedzę. Znowu łyknę, znowu zajaram. Nuda. Dzień się wlecze jak brazylijski serial. Jak wracam na chatę, matka drze się o wszystko. Że kasy mało, że stary znów zabalował, że bieda. To sobie obejrzę w telewizorze kolację i czym prędzej do wyra – chwilę milczał, patrząc na budynek. – Tu jest inaczej. Nahakuję się. Gnaty mnie rypią, ale jest fajnie. Coś się robi. Nie wiadomo kiedy dzień przeleci. Jest tu taki jeden. Profesorek. Michał ma na imię. Ten to ma melodię do roboty. Ścigam się z nim. On jedną ścianę pociągnie, to ja jedną i pół. Jest zabawa.

A wie pan – lekko szturchnął Łukasza w ramię – ja tak sobie kombinowałem, że do kościoła to latają same pryszczate, a tu takie laski, że głowa mała! Ale poza zasięgiem.

Łukasz nie odzywał się. Poklepał Pytajnika po ramieniu i bez słowa odszedł.

Wstąpił do kwiaciarni, kupił bukiecik stokrotek i poszedł na cmentarz. Siadł na ławeczce przy grobie Anny. Przywoływał wspomnienia tamtych dni, kiedy byli szczęśliwi. Dzielił się z nią swoimi niespokojnymi myślami. Miał nadzieję, że go rozumie. Chociaż wydawało mu się to śmieszne, prosił ją o pomoc.

Zapadał już zmierzch, kiedy dziewczęca dłoń delikatnie wyjęła bukiecik z jego splecionych rąk. Podniósł głowę. Obok niego stała Ola.

– To pan przynosi stokrotki – uśmiechnęła się. – Mama bardzo je lubiła.

Położyła bukiecik na płycie i zapaliła znicz. Siadła obok Łukasza. Milczeli wpatrzeni w malutki, drgający płomyczek światła.

Mrok zaczynał gęstnieć. Nad ziemią zbierała się mgła.

– Robi się chłodno – powiedział Łukasz. – Chodźmy.

Wstał. Ola spojrzała na niego. Jego sylwetka osnuta mgłą wydała się jej skądś znajoma. Usiłowała sobie przypomnieć. Ogarnął ją dziwny niepokój. Powoli podniosła się z ławki. Przyglądała mu się uważnie i była prawie pewna, że to człowiek z jej snu. Odwróciła głowę do tyłu, jakby spodziewała się zobaczyć mamę. Alejka była pusta. Znów spojrzała na Łukasza.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się.

– Nie. Nic. Wydawało mi się – uspokoiła go. Sama jednak nie była spokojna.

3.

Przez cały dzień Łukasz nie wychodził z domu. Dużo pracował, mimo to zdawało mu się, że czas stoi w miejscu. Z niecierpliwością czekał na wieczór. Ola prawie całe dnie spędzała na budowie. Mógł ją odwiedzać dopiero po zmroku.

Dziś postanowił wyjść znacznie wcześniej. Chciał zobaczyć się z księdzem Markiem. Był mu winien przeprosiny. To, co usłyszał od Pytajnika, stawiało całą sprawę w innym świetle.

Kiedy ksiądz otworzył drzwi, Łukasz był nieco zaskoczony jego wyglądem. W podkoszulku i jeansach wydawał się być niemal chłopcem.

– Proszę – szerokim gestem zaprosił do środka.

– Nie zajmę dużo czasu – tłumaczył od progu Łukasz.

– Przepraszam za mój strój, ale przed chwilą wróciłem z budowy – mówił ksiądz, zamykając drzwi.

– To może ja kiedy indziej – Łukasz zatrzymał się.

– Ależ proszę – uśmiechnął się ksiądz.

Kiedy usiedli, Łukasz mimowolnie potoczył wzrokiem dokoła. Pokój urządzony był skromnie, niemal surowo. Sprawiał przy tym wrażenie ładu i harmonii.

– Chcę przeprosić – powiedział skruszonym głosem. – Źle księdza oceniłem.

– A skąd pewność, że teraz ocenia mnie pan dobrze?

– Pewności nie ma nigdy, ale myślę, że przynajmniej w tej jednej sprawie niesłusznie księdza posądzałem. Wypływało to z paru pomyłek. Źle odczytałem niektóre słowa i sytuacje. Prawdę mówiąc, sądziłem, że chce się ksiądz dorobić, wykorzystując naiwność dzieciaków. Teraz wiem, iż cel jest szlachetny. Pytajnik powiedział mi, że bardzo się ksiądz stara. Szczerze mówiąc, dziwię się tej aktywności. W gruncie rzeczy wyręcza ksiądz tych, którzy z urzędu są odpowiedzialni za zapewnienie opieki potrzebującym.

– Proszę pana – uśmiechnął się ksiądz. – Życie to nie jest gra w pokera. Drugiego rozdania nie będzie. Nie mam czasu na czekanie. Jeżeli można coś zrobić... – zawiesił głos.

– Ma ksiądz rację, ale to przecież kropla w morzu.

– Gdyby nie krople, nie byłoby morza.

– Ktoś już kiedyś...

– Wiem... to powiedział. Nie zaszkodzi...

– Wiem... przypomnieć.

Uśmiechnęli się.

– Poza tym – ciągnął dalej ksiądz – myślę, że przecenia pan moją rolę. Nie robię tego sam. Wspomaga nas wielu ludzi. Prawdę mówiąc, kiedy ogłosiłem w kościele zbiórkę pieniędzy na ten cel, nie spodziewałem się, że aż tyle osób pospieszy z pomocą.

– Nie bywam w kościele – otwarcie wyznał Łukasz. – Jeżeli Bóg istnieje, a zakładam, że tak, nie potrzebuję tych wszystkich zaklęć i bezsensownych mamrotań.

– Zna pan, jak sądzę, najlepszy sposób na porozumiewanie się z Panem Bogiem? – z przekąsem zapytał ksiądz.

– A wy znacie? – Łukasz podniósł głos. – Bóg starotestamentowy, nowotestamentowy, przedsoborowy, posoborowy. W którego z nich, według was, mam wierzyć? Ciągle go sobie zmieniacie. Jak wam pasuje.

– To nie Bóg się zmienia, ale sposób, w jaki w Niego wierzymy.

– Skąd więc mam wiedzieć, że tym razem macie rację?

– Nie mówimy o racji, ale o wierze. To dwie różne sprawy.

– Odrzucacie więc logikę.

– Niechże pan nie będzie dzieckiem. Przecież logice Pan Bóg jest do niczego niepotrzebny. Nie da się, stosując ludzkie rozumowanie, określić istoty Boga. To dla niego poniżające. Zresztą wcale nie o to w religii chodzi.

– Żebym mógł wierzyć, muszę najpierw określić podmiot mojej wiary. Należy zaczynać od początku. Czyż nie tak?

– Myślę, że pan myli wiarę z religijną ideologią. Może szuka pan Absolutu, Pierwszego Bytu, czy jak go tam jeszcze po ludzku nazwiemy. Potwierdzanie, udowadnianie i określanie są być może i ciekawe z punktu

widzenia filozofii. Ale ja – ksiądz sięgnął po Pismo święte i pokazując na nie, mówił dalej – mam tutaj zawarte wszystkie prawdy poparte konkretnymi przykładami.

– Znam tę książkę – powiedział Łukasz. – Znajduję w niej bardzo wiele niejasnych miejsc.

– Jest pan egoistą – uśmiechnął się ksiądz. – Nie wiem, jak długo jeszcze potrwa ten świat. Być może bardzo długo. Najprawdopodobniej wiedza następnych pokoleń będzie znacznie większa niż nasza obecna. Celem tej książki, jak pan określił Pismo święte, było zachwycić zabobonnego Greka i przesądnego człowieka średniowiecza, i nas, i być może kogoś, kto bez przeszkód będzie zwiedzał kosmos.

– W takim razie wy też nie znacie odpowiedzi na wiele pytań.

– Cały czas usiłuję panu powiedzieć, że nie o odpowiedzi chodzi.

– Nie przekonuje mnie ksiądz – Łukasz wstał. – Ciekawie się z księdzem rozmawia, ale mam jeszcze dziś wieczorem być u Oli.

– Czego pan chce od tej dziewczyny? – pytanie było dosyć napastliwe.

– Nie księdza sprawa – Łukasz zdenerwował się.

– Może nie moja, a może moja – nie ustępował ksiądz. – Czuję się w pewien sposób za nią odpowiedzialny.

– Jest dorosła.

– Owszem, ale ostatni czas nie był dla niej zbyt szczęśliwy. Nie chciałbym...

– Wiem, jaki był ostatni czas – przerwał Łukasz.

– To nie jest osoba dla pana.

– Nic ksiądz nie rozumie!

– Proszę pana. Niektórych rzeczy nie da się ukryć. Pański wzrok, kiedy pan o niej mówi, wiele zdradza. Pana zachowanie jest przesadnie emocjonalne. To budzi pewne podejrzenia...

– Nie księdza sprawa – warknął coraz bardziej zdenerwowany Łukasz.

– To co najmniej dziwne, niewłaściwe – ksiądz nie mógł znaleźć odpowiednich słów. – Przecież ona mogłaby być pańską córką!

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, nie miała sobie równych. Łukasz pobladł. W myślach przywykł do nazywania Oli dzieckiem, córką. Po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś powiedział to głośno. Nie spodziewał się,

że zrobi to na nim tak ogromne wrażenie. Stał bez ruchu, ze wzrokiem przykutym do wpatrzonych w niego oczu księdza, który chyba zaczynał domyślać się prawdy. Nie było sensu dalej jej ukrywać.

– Ona jest moją... – zaczął Łukasz. Nie miał siły dalej mówić. Zabrakło mu odwagi, aby wypowiedzieć to dla wielu takie codzienne słowo.

Ksiądz milczał. Od dawna domyślał się, że Łukasz cierpi. Do dziś nie umiał wytłumaczyć jego dziwacznego zachowania. Teraz stawało się ono prawie zrozumiałe. Gestem poprosił, aby usiedli. Jego wyrozumiałe spojrzenie zapraszało do zwierzeń.

Wzrok Łukasza zawisł gdzieś pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Jemu samemu zdawało się, że tych dwudziestu lat w ogóle nie było. Cichym, pełnym nostalgii głosem zaczął powoli wyrzucać z siebie wszystkie żale:

– Opuściłem je, chociaż dałem słowo.

Byliśmy od dwóch lat małżeństwem, kiedy przyszła na świat Ola. Wtedy przyrzekłem, że nigdy ich nie opuszczę.

Anna, moja żona, była wspaniałą kobietą. Piękną i dobrą. Wiedziała, że jestem mocno zaangażowany w sprawy polityczne. Dopóki nie było dziecka, dzielnie znosiła moją częstą nieobecność w domu. Starannie ukrywała lęk. Mnie samemu dodawała odwagi.

Potem, kiedy urodziła się Ola, zaczęły się problemy. Wynajmowaliśmy malutkie mieszkanie w starym budownictwie. Warunki, zwłaszcza zimą, nie były najlepsze. Nie mieliśmy zbyt dużo pieniędzy. Ledwo starczało na codzienne potrzeby. Nie było jej łatwo.

Wtedy nie rozumiałem jej. Często wyjeżdżałem. Często spędzałem całe noce poza domem. Atmosfera tamtych czasów... Tego nie da się opowiedzieć. Kiedy wracałem do domu, oczekiwałem... Sam już teraz nie wiem czego? Może zrozumienia, może nawet podziwu. Czułem się jak ktoś wyjątkowy. Miałem wrażenie, że uczestniczę w czymś wielkim, niecodziennym.

Ona, obarczona codziennymi kłopotami, bez męskiej pomocnej ręki, zalękniona o codzienność powoli przestawała interesować się tym, co dla mnie było takie ważne. Ja bagatelizowałem jej, jak mi się zdawało, nieistotne problemy. Zdarzały się kłótnie.

Kochałem je ponad wszystko. Bardziej niż siebie, niż cokolwiek. Byłem pewien, że i ona mnie kocha. Ja drżałem z lęku o nie, ona umierała z przerażenia o mnie. Najpierw pytała, kiedy wrócę. Potem już tylko, czy w ogóle wrócę. Cóż miałem jej powiedzieć?

Podczas jednej z kłótni powiedziała mi: „Może się tak zdarzyć, że kiedyś zastaniesz zamknięte drzwi". Obraziłem się na nią i wyszedłem. Byliśmy zbyt młodzi, aby zapanować nad emocjami. Żyliśmy w ogromnym napięciu i wyładowywaliśmy je wzajemnie na sobie.

Kiedy ogłoszono stan wojenny, musiałem na jakiś czas zniknąć. Schronienie zapewniła mi moja... przyjaciółka. Wtedy byłem pewien, że mogę jej ufać. Znakomicie rozumieliśmy się. Była bardzo zaangażowana w sprawę. Fantastyczna w działaniu. Odważna, zdecydowana. Nigdy mnie nie zawiodła. Wtedy...

Do tamtego czasu nie wiedziałem, jak bardzo można za kimś tęsknić. Gdy więc tylko wszystko przycichło na tyle, że w miarę bezpiecznie mogłem wyjść z ukrycia, jak na skrzydłach pognałem do domu. Nie było ich tam. Już ich tam nie było. Umierałem z lęku, z obawy.

Ta kobieta, ta moja przyjaciółka, powiedziała mi, że ma pewne informacje, iż Anna wyjechała za granicę. Z małą. Że spaliła za sobą wszystkie mosty.

Były momenty, w których nienawidziłem mojej żony. Posądzałem ją o zdradę, małostkowość, tchórzostwo i Bóg wie co jeszcze. Oskarżałem o to, że okradła mnie z ojcostwa. A teraz okazało się, że to było nikczemne kłamstwo, że one obydwie przez całe te lata były tutaj, a ja...

Łukasz nie dokończył. Ukrył twarz w dłoniach.

Zegar tykał jednostajnie. Wskazówki odmierzały kolejne minuty, a oni siedzieli w zamyśleniu.

– Wiesz, co ona mi powiedziała? – z nagła zapytał Łukasz. Jego twarz wykrzywiał gorzki uśmiech. – Ta moja – westchnął – przyjaciółka. Powiedziała mi, że okłamała mnie dlatego, że mnie kochała. Potrafisz mi to wytłumaczyć? Dlaczego?

– Nie wiem, dlaczego to zrobiła. Wiem, że ludzie bardzo często nazywają miłością uczucia, które nie mają z nią nic wspólnego.

Więcej nie rozmawiali. Obydwaj wstali i podeszli do drzwi.

Po raz pierwszy uścisnęli sobie dłonie.

Tego wieczoru Łukasz nie poszedł do Oli. Przełamał nieodpartą chęć zobaczenia jej. Skierował kroki w całkiem inną stronę. Całą noc spędził na ławce przy grobie Anny. Teraz oddawał jej ten czas, którego kiedyś mu dla niej brakowało.

Kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły się przedzierać przez gęste liście drzew, ocknął się. Wrócił do rzeczywistości. Z całej nocy najbardziej pozostał mu w pamięci dziwny obraz. Postać małej, smukłej dziewczynki o wdzięcznej twarzyczce okolonej lokami delikatnych włosów. Miała wręcz nienaturalnie niebieskie, duże oczy, a w jej uśmiechu było coś niebiańskiego. Samo szczęście. Nie wiedział, czy śnił o niej, czy też naprawdę ją widział.

4.

Po skończonej pracy większość dziewcząt i chłopców rozeszła się do domu. Pozostali tylko ci, którzy od wielu lat byli najbardziej ze sobą związani. Porządkowali narzędzia, zamykali dokładnie okna, wyrzucali zużyte opakowania.

Piotrek z radością obserwował swojego brata. Michał jak zawsze pracował za dwóch, ale odkąd wróciła Ola, w jego zachowaniu zaszły ogromne zmiany. Przedtem był małomówny, mrukliwy. Obecny jedynie ciałem. Pracował z jakąś zaciekłością, z uporem. Bywały dni, kiedy ani na chwilę nie odwrócił głowy od pędzla i ściany. Przychodził na budowę już o świcie, a wychodził ostatni.

Teraz wyglądało to całkiem inaczej. Nie zrobił się co prawda gadatliwy. Nigdy nie lubił dużo mówić, ale zdarzało się, że pogwizdywał lub nucił jakąś melodię. Czynności, które innym wyciskały pot z czoła, on wykonywał z niebywałą lekkością. Przy tym co jakiś czas zerkał spod oka na Olę. Ona też przyglądała mu się, a kiedy tylko odwracał głowę w jej stronę, natychmiast uciekała ze wzrokiem.

Nie uszło to bacznej uwadze Piotrka. „Ale dzieciaki” – myślał i ciężko wzdychał. „Mój szanowny braciszek ma w tych sprawach przyspieszenie walca drogowego. Jeśli mu nie pomogę, nigdy nie zostanę wujkiem. Trzeba im jakoś zorganizować randkę”.

Kiedy więc skończyli pracę, zapytał:

– Dziewczyny, bardzo wam się spieszy?

– To zależy do czego – zaśmiała się Gosia.

– Może poszłybyście do nas – proponował. – Mama by się ucieszyła.

Gosia nic nie odpowiedziała. Czekała na reakcję Oli. Ta aż zadrżała z radości na myśl, że mogłaby spędzić wieczór w towarzystwie Michała. W pierwszej chwili miała ochotę zgodzić się, ale przypomniała sobie, że dzisiaj ma przyjść pan Janusz (pod takim imieniem znała Łukasza).

– Dziś nie mogę – powiedziała z żalem. – Ktoś na mnie czeka.

Piotrek padł przed nią na kolana, aż ziemia zadrżała i z udawaną rozpaczą zawołał:

– O! Niewdzięczna. Nie zdradzaj mnie.

Ola patrzyła na niego rozbawiona. Nie wstając z klęczek, zawodził dalej:

– Kimże jest ów zdrajca? Niechże chociaż poznam jego imię.

– To bardzo zacny jegomość – podchwyciła żart Ola.

– Mówże, zanim umrę z rozpaczy.

– Znasz go, szlachetny młodzieńcze. Czy pamiętasz ów poranek, kiedy nagle zjawił się tajemniczy nieznajomy i wszystkich nas wprawił w osłupienie? On ci to jest.

Michał, słuchając, z jaką sympatią Ola mówi o człowieku, którego on darzył całkowicie odmiennym uczuciem, z trudem opanował wściekłość. Piotrek spoważniał. Wstał. Wytrzepał kolana.

– Mówisz o tym świrze, który wtedy...

– To nie jest żaden świr – przerwała mu z oburzeniem.

– Tylko kto?

– To dawny kolega mojej mamy.

– Naprawdę? – Piotrek nie dowierzał jej.

– Naprawdę – mówiła spokojnie Ola. – W czasie studiów byli przyjaciółmi. Teraz przyjechał, żeby mamę odwiedzić. Nie wiedział, że mama... – spuściła głowę.

– On cię ładuje jak pusty wózek w supermarkecie! – oburzył się Piotrek. – Teraz przyjechał? Kosmiczna baja! On tutaj mieszka. Nie wierzysz? – gorączkował się. – Spytaj panią Łucję albo moją mamę, albo jego – wskazał na brata.

Michał wolałby, żeby to, co mówiła przed chwilą Ola, było prawdą, ale niestety bardziej przychylał się do tego, co powiedział Piotrek.

– To dziwny człowiek – starał się mówić spokojnie. – Z tego, co wiem z nikim nie utrzymuje kontaktów. Całe dnie spędza w domu. Wychodzi tylko nocami.

– Mówię – przerwał mu Piotrek – podejrzany typ. Czubek.

– Wiele mu zawdzięczam – upierała się Ola. – Chyba mówimy o dwóch różnych osobach.

– Jak sobie chcesz – z rezygnacją powiedział Piotrek. – Ja bym tam takiego typa do domu nie wpuścił.

– Przesadzacie – uśmiechała się Ola, ale nie była już tak pewna swego jak przed chwilą. – Ciocia będzie się niepokoić – urwała rozmowę. – Do jutra.

Pociągnęła Gosię za rękaw i szybko odeszły.

Chłopcy chwilę patrzyli za nimi. Wreszcie Piotrek nie wytrzymał.

– Umiesz się tylko na nią gapić! – wybuchnął. – Zrób coś. Pozwolisz jej tak spokojnie odejść? Nie obchodzi cię, po co ten facet się z nią spotyka?

– Obchodzi – burknął Michał.

– Więc bądź w końcu mężczyzną!

Michał nie zareagował. Jeszcze raz popatrzył za odchodzącymi dziewczętami, po czym odwrócił się i zaczął iść. Piotrek szarpnął go za ramię.

– Gdzie idziesz!? – zawołał.

– Do domu – spokojnie odpowiedział Michał. – Mama czeka.

– Jesteś tępak! – Piotrek ze złością kopał leżące pod nogami kamyki. – Frajer do kwadratu!

– Czemu się tak gorączkujesz? – mówił Michał zdławionym głosem. Twarz miał ściągniętą. Oczy zapatrzone gdzieś w przestrzeń. – To moja sprawa. Moje zmartwienie. Mój ból.

– Wcale nie tylko twój! Mój też.

– Bo co?

– Bo chcę mieć normalnego brata! – krzyczał Piotrek.

– To masz nienormalnego – żachnął się Michał.

– Ty głupku! – Piotrek złapał go za rękę. – Nic nie rozumiesz. Zatrzymaj się, jak do ciebie mówię. Nic cię ostatnio nie obchodzi – wyrzucał ze złością. – Masz mnie gdzieś. Nie da się z tobą pogadać. Albo hakujesz, albo ślipisz się w jej zdjęcie. Jestem tu – klepał się dłońmi po całym ciele. – Widzisz mnie jeszcze? Pamiętasz, że żyję? Twój młodszy, głupszy i brzydszy od ciebie brat zdał na studia. Obchodzi cię to?! Wiesz o tym w ogóle?! – machał nerwowo dłońmi przed szeroko otwartymi oczyma

brata. – Ziemia do Michała. Ziemia do Michała. Piegowaty Piotruś dostanie indeks. Zajarzyłeś?!

– A co to ma wspólnego z Olą? – nie rozumiał Michał.

– A ma – Piotrek uspokajał się. – Jak jej powiesz, będzie inaczej.

– Tak sobie to wymyśliłeś?

– Właśnie tak. Teraz jesteś jak chory – zniżył głos. Spuścił głowę. Mimowolnie zdrapywał z dłoni niedomyte resztki wapna i farby. – Lubię Olę. Chciałbym, żeby była twoją dziewczyną. Wiem, że ona teraz jest dla ciebie najważniejsza, ale... – urwał nagle. Głowę miał spuszczoną tak nisko, że wydawało się, iż przyrosła do jego piersi. Michał przyglądał mu się tak, jak gdyby go od dawna nie widział. Delikatnie wsunął dłoń pod jego brodę. Powoli unosił do góry głowę brata, która wydawała się ciężka niby ołów.

– Mały, co jest? – zapytał z troską.

– Chciałbym, żeby między nami było jak dawniej. Żebyś się mną zainteresował – bąkał Piotrek. – Ja też czasem chcę pogadać. Tak od serca. Mama jest kochana, ale... Tęsknię za tatą... Przedtem opiekowałeś się mną. Wiem, że jestem już duży, ale potrzebuję cię. Nie chcę być dla ciebie najważniejszy... Tak sobie myślę, że jakbyś jej powiedział... Jakbyś się trochę uspokoił... Może... Może wtedy miałbyś trochę czasu dla mnie.

Michał przesunął dłonią po policzku brata, pogładził po głowie, a potem mocno przycisnął go do siebie. Obu lżej się zrobiło na sercu. Obaj też, chociaż każdy inaczej, pomyśleli o Oli.

Tymczasem ona odczuwała spory niepokój. Przez cała drogę do domu jeszcze raz analizowała zdarzenia ostatniego czasu. Znajdowała wiele niejasności.

Nie tylko miłość jest ślepa. Bywa, że owładnięci emocjami, popędzani zbyt szybkim tempem życia nie widzimy wielu istotnych szczegółów.

Zaczęła dostrzegać przesadne zainteresowanie pana Janusza jej osobą. Dlaczego wtedy uciekł spod kościoła? Przecież mógł normalnie podejść i zapytać. Czemu chciało mu się jechać po nią tak daleko? Jego częste wizyty. Sposób patrzenia. Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że prawie nic o nim nie wie. Zawsze tak kierował rozmową, żeby to ona mówiła o sobie. Było jej tym trudniej, że nie wszystkimi przemyśleniami mogła się z kimś podzielić. Wstydziła się swojej niedojrzałości i naiwności.

Na dodatek ten dziwny sen i spotkanie na cmentarzu. Ale przecież nie umiała go się bać. W jego obecności odczuwała dziwny rodzaj spokoju i bezpieczeństwa. Dlaczego więc tak przejęła się informacją usłyszaną od Piotrka?

Powiedziała o tym cioci.

– A Piotrek skąd to wie? – zapytała obojętnie ciocia, nie przestając krzątać się po kuchni.

– Ciociu, rozpraszasz mnie. Siądź na chwilę. To dla mnie ważne.

– Kochanie, przygotowuję kolację – tłumaczyła się ciocia, zaglądając do piekarnika. – W moim wieku nie jest to taka prosta sprawa. Mogę na przykład zapomnieć dodać jabłek do szarlotki i musiałabym na poczekaniu wymyślać dla ciasta inną nazwę – z trudem wyprostowała się. – No dobrze – zgodziła się, siadając na krześle i masując obolałe kolana.

– Piotrek wie od mamy, a ona od swojej znajomej – Ola chwilę zastanawiała się. – Ty też ją przecież znasz. To ta krawcowa, pani Łucja.

– Ooo... – ciocia machnęła ręką. – Mogło się staruszce coś pomieszać.

– A jeżeli to prawda? To znaczy, że on kłamie. I co ja mam zrobić?

– Zapytaj go.

– Tak wprost?

– Moje dziecko. Podchody to jest dobra zabawa w harcerstwie. W życiu trzeba postępować szczerze i otwarcie. Wszystkie krętactwa wcześniej czy później wychodzą na jaw i trzeba się wtedy wstydzić.

– Nie boisz się go?

– Nie powiem, żebym mu bezgranicznie ufała, ale gdyby chciał zrobić coś złego, miał już po temu wiele okazji. Nie zastanawiaj się. Lepiej nakryj do stołu, bo zaraz przyjdzie.

Ale pan Janusz nie przychodził. Ola straciła apetyt. Niepokoiła się. Przyszło jej do głowy, żeby zadzwonić i zapytać, co mu przeszkodziło, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie zna numeru jego telefonu.

Cioci jej zdenerwowanie pozornie nie udzielało się. Tak to przynajmniej wyglądało. Starała się wszystko wytłumaczyć i obrócić w żart, ale i ona nie była spokojna. Ciągle prześladowała ją myśl, że gdzieś już widziała takie oczy, jakie miał Janusz.

Zrobiło się późno. Nie było sensu dłużej czekać.

– Chodźmy spać, moje dziecko – powiedziała ciocia. – Nie ma się co głowić. Poranek jest mądrzejszy od wieczora.

Kiedy Ola wyszła do łazienki i staruszka usłyszała plusk lejącej się do wanny wody, podreptała do szafki, w której przechowywała pamiątki po Annie.

„Jeżeli on, jak twierdzi, jest jej przyjacielem ze studiów – mamrotała pod nosem – to może tutaj znajdę odpowiedź".

Wyjęła album. Były w nim te zdjęcia z młodości Anny i z jej ślubu, których nikt poza ciocią i Olą nigdy nie widział. One też oglądały je może dwa razy. Anna niechętnie wracała do tamtych czasów. Unikała rozmów na ten temat. Jeden jedyny raz zwierzyła się cioci. Potem już nie rozmawiały o tym.

Staruszka przewracała kolejne kartki. Przy jednej zatrzymała się na chwilę. Było na niej duże zdjęcie przedstawiające same twarze. Dwie szczęśliwe istoty przytulone do siebie skroniami. Przysłoniła dłońmi zdjęcie w taki sposób, aby pozostały same oczy. Wpatrywała się w nie i przywoływała z pamięci obraz Janusza. Monotonnie kiwała głową. Nie mogła się mylić. To był ten sam człowiek.

5.

Było wczesne przedpołudnie, kiedy Łukasz wyszedł z domu. Spał zaledwie kilka godzin. Tyle, żeby rozprostować kości. Szedł do Oli.

Po rozmowie z księdzem Markiem poczuł z jednej strony pewnego rodzaju ulgę. Chyba od dawna potrzebował, aby ktoś go wysłuchał. Z drugiej jednak wydawało mu się, zupełnie bezpodstawnie, że teraz już wszyscy znają jego tajemnicę. Nie podejrzewał Marka o niedyskrecję. Samo to, że przed kimś się otworzył, spowodowało w nim poczucie pewnego rodzaju duchowego obnażenia.

Otworzyła mu ciocia.

– Długo pana nie było – westchnęła i nie czekając na odpowiedź, podreptała do pokoju. Idąc za nią, tłumaczył się.

– Bardzo mi przykro, że czekałyście, ale miałem coś ważnego do załatwienia. Mogłem zadzwonić. Przepraszam.

– Ja nie o tym – zaczęła. Z trudem klęknęła na jedno kolano i wyjęła z szafki ten sam album, który przeglądała wczorajszego wieczoru.

– Pozwoli pani, pomogę – podał jej ramię i pomógł wstać. – Nie najlepiej pani wygląda – dodał.

– Przez całą noc nie zmrużyłam oka... – zawiesiła na chwilę głos. Położyła album na stole. – Panie... Łukaszu – dokończyła.

Siadając, z trwogą popatrzył na drzwi prowadzące do pokoju Oli. Ciocia uśmiechnęła się smutno.

– Proszę się nie lękać. Nie ma jej – uspokoiła go.

– Jak się pani domyśliła? – spytał słabym głosem. – Zmieniłem się przecież.

– Mam słabość do ludzkich oczu. Zapominam imiona, kolor włosów, nawet sylwetkę, ale oczy pamiętam.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Wiem, co pani myśli – zaczął niepewnie. – Ale to nie tak. Nie chcę się tłumaczyć – z trudem dobierał słowa. – One obie były i są dla mnie najważniejsze. Ktoś, pewna osoba, postarał się o to, żebym myślał, żebym był przekonany, że Anna mnie opuściła. Że zabrała Olę i wyjechała na stałe za granicę. Byłem bliski rozpaczy, ale co miałem zrobić? Pani pamięta przecież tamten czas.

Patrzyła na niego spod przymrużonych powiek.

– Nie wierzy mi pani? – dopytywał się.

– I panu na moim miejscu trudno byłoby uwierzyć.

– Cokolwiek pani myśli – powiedział z przekonaniem – ja mówię prawdę.

– Nie zarzucam panu kłamstwa – wyjaśniała – tyle że Anna... mój Boże... ona mówiła prawie to samo – ciężko westchnęła. – Jeden jedyny raz rozmawiałyśmy o tym. Opowiadała, jak bardzo bała się o pana. Mówiło się o aresztowaniach, o więzieniu. Ktoś dał jej znać, że pan jest na czarnej liście. Że musi pan natychmiast wyjechać z kraju, żeby uniknąć więzienia. Nastraszono ją, że i ona jest w niebezpieczeństwie. Przyjechała wówczas tutaj...

– Czy to była kobieta? – przerwał jej. – Czy powiedziała jej o tym kobieta, dziewczyna? – dopytywał się nerwowo.

– Nie wiem. Nie pamiętam – zastanawiała się. – Nie. Nie wiem, czy mówiła. Może i tak, ale nie pamiętam. Czy to ważne?

Chwilę nie odpowiadał. Uśmiechał się gorzko do swoich myśli.

– Chyba już nie – zwiesił głowę.

Staruszka przyglądała mu się w milczeniu. Przez moment miała nawet ochotę pogłaskać go jak małego chłopca po głowie i pocieszyć. Szybko jednak zrezygnowała ze swego zamiaru. Jeżeli i Anna, i Łukasz mówili prawdę... Nie znajdowała stosownych słów.

Popatrzył oczyma pełnymi łez.

– Boję się – wyszeptał. – Boję się, że mnie odrzuci.

Nie oczekiwał odpowiedzi. Zdążył już na tyle poznać ciocię, iż wiedział, że nie będzie go karmić tanimi frazesami.

– Nie powie jej pani? – spytał z nadzieją. – Chcę sam – dodał.

Pokiwała głową.

Łukasz wstał. Podszedł do cioci. Pochylił nisko głowę. Z szacunkiem ujął jej małą dłoń, na której każda zmarszczka była zapisem sumiennie wykonanej pracy, i gorąco ucałował. Nie mogła się powstrzymać. Delikatnym ruchem pogładziła jego bujne włosy.

– Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko – wyszeptała.

Uśmiechnął się w podzięce. Odprowadziła go do drzwi. Zanim je zamknęła, patrzyła jeszcze chwilę, jak ze spuszczoną głową powoli schodził na dół.

Znów został sam ze swoją niepewnością i lękiem. Niepokój był tym większy, że już dwie osoby poznały jego tajemnicę. Zaczął się zwyczajnie bać, że przez przypadek Ola może dowiedzieć się prawdy. Tego by nie chciał. Do tej pory odwlekał moment, kiedy jej powie, kim jest. Teraz narastało w nim przekonanie, że powinien to uczynić jak najprędzej. Ciągle jednak nie był gotowy. Gdyby miał pewność, że go przyjmie, że mu wybaczy...

Z takimi myślami dotarł do domu. Przed jego drzwiami, na wycieraczce siedziała skulona dziewczyna. Czoło oparła na podkurczonych kolanach. Kołysała się rytmicznie i cichutko nuciła jakąś melodię. Kiedy usłyszała kroki, podniosła głowę i uśmiechnęła się.

– Iwonka? – zdziwił się Łukasz.

– No – roześmiała się. – Czekam na pana.

– Czy coś się stało? – zaniepokoił się.

– Nie, tak przyszłam. Cieszy się pan? – zapytała z niemal dziecięcym wdziękiem.

Cóż miał jej odpowiedzieć? Że chce być sam. Że nie ma ochoty na towarzystwo. Przemknęło mu przez myśl, że może i lepiej, że przyszła.

– O ile mnie pamięć nie myli – mówił, zapraszając ją do środka – zwracałaś się do mnie po imieniu. Dlaczego teraz nazywasz mnie panem?

– Bo pana szanuję – odpowiedziała bez wahania.

Uniósł ze zdziwieniem brwi. Zatrzymała się na chwilę. Nie patrzyła na niego.

– Wtedy w lesie. Pamięta pan? Każdy facet, którego znam, na pana miejscu nie zastanawiałby się. A pan inaczej. Dlatego pana szanuję.

– Daj spokój – czuł się trochę skrępowany. – Mów mi po imieniu. Tak łatwiej rozmawiać.

– Nigdy – powiedziała z przekonaniem. – Chyba że... – urwała.

– Chyba że co?

– Nic, ja tak tylko – odpowiedziała wymijająco i zdecydowanym krokiem weszła do pokoju.

Już od progu ze zdziwieniem przyglądała się nader skromnemu wystrojowi. Niewiele było do oglądania. Dwie ściany zabudowane półkami, na których stały tylko książki. Poza tym sofa, biurko, na nim komputer. Tyle. Kręciła się w kółko, jakby czegoś szukała.

– A gdzie telewizor? – spytała w końcu.

– Nie ma.

– Nie ma?

– Nie.

– To, co pan robi?

– Jak to, co robię?

– No, co pan robi, jak pan nie ogląda telewizji.

– Pracuję, czytam, trochę maluję.

– I nie nudzi się pan?

– Nie.

– Eee tam – zaśmiała się. – Zmyśla pan.

– Naprawdę się nie nudzę.

Wierzyła w to, co mówił, ale nie mogła zrozumieć.

– Widzisz – zaczął tłumaczyć. – Gdyby życie ludzkie podzielić na przeżywanie ekstatycznej radości, depresji i nudy, to okazałoby się, że tej ostatniej jest najwięcej. Wystarczy więc, aby właśnie ten obszar odpowiednio zagospodarować i człowiek jest twój. Rozumiesz?

– Nie – śmiała się. – Nie ogląda pan telewizji, a mówi pan tak samo jak czasem tacy faceci w tych nudnych programach. Zawsze wtedy przełączam na inny kanał. Teraz to jest tyle kanałów, że nie ma czasu na nudę.

– Na myślenie również nie ma – zdenerwował się.

– Pan to tak wszystko poważnie bierze, a w życiu potrzeba trochę radości, nie?

– Radości, czy uciechy?

– A co to za różnica?

– O, bardzo duża.

Pociągnął ją za rękę.

– Chodź, siadaj.

Siadła na sofie. Założyła nogę na nogę w taki niezgrabny sposób, ze jedna łydka sterczała wysunięta do przodu niczym niedomknięty semafor. Usiadł tuż przy niej.

– Zamknij oczy – poprosił.

– Będzie mnie pan całował? – zapytała.

– Chociaż na chwilę zapomnij o seksie – westchnął. – Postaraj się. Dobrze? Zapomnij, że ty jesteś kobietą, a ja mężczyzną. W tej chwili jesteśmy po prostu ludźmi. Rozumiesz?

Kiwała głową.

– Teraz powiem słowo... na przykład... „talerz". Co widzisz?

– No, talerz.

– Teraz powiem: „żółty talerz". Widzisz go? Potakiwała.

– A teraz: „żółty talerz na różowej serwecie".

– Okropne – skrzywiła się i otworzyła oczy.

– Zamknij, zamknij.

Posłusznie wykonała jego polecenie i usadowiła się wygodniej.

– A teraz powiem: „blamubltoblabla". Co widzisz?

– Ale pan to śmieszny – chichotała. – Nic nie widzę. Jak to było? Blampla... – zanosiła się od śmiechu.

– Otwórz oczy – uśmiechnął się. – Co nienazwane – tłumaczył powoli – nie istnieje w naszej świadomości. Dlatego bardzo ważne jest, aby nie mylić nazw. Każda z nich ma oznaczać to, co oznacza. Jeżeli będziemy je traktować dowolnie, wtedy w naszej głowie – delikatnie stukał palcem w jej czoło – powstanie fałszywy obraz. Rozumiesz?

Ze sposobu patrzenia wnioskował, że coś tam jej świta. Może nie całkiem dokładnie rozumiała to, o czym mówił, ale chyba zaczynała łapać, ogólny przynajmniej, sens jego wypowiedzi.

– Jak na przykład mówisz na swojego pracodawcę?

– Pan Ryszard – odpowiedziała bez chwili zastanowienia.

– Mhm. A co o nim myślisz? Jak go widzisz?

Odpowiedź na to pytanie chyba nie była dla niej zbyt prosta. Podniosła oczy w górę, uchyliła usta i zastanawiała się.

– No ja wiem... – zaczęła niepewnie. – Jest bogaty, ma drogie rzeczy, duży dom...

– Nie pytam, co on ma, ale jaki jest?

Przewracała oczami, nawet usiłowała pomóc sobie przez wyciągnięcie języka. Nie pomogło.

– Próbowałaś nie nazywać go panem Ryszardem, ale Rychem, Ryśkiem?

Rozbawiona do tej pory Iwonka spoważniała. Rozejrzała się dokoła, jak gdyby się chciała upewnić, czy nikt oprócz ich dwojga nie słyszy tego, co mówi Łukasz.

– Czy myślałaś, że to w gruncie rzeczy obżartuch, flejtuch, kanciarz, chamidło...

Zawiesił głos. Chyba miała dość. Z każdym wypowiadanym przez niego słowem wzrastał jej niepokój. Zaczęła się niepewnie wiercić i skubać palce.

– Niech pan przestanie – wypaliła w końcu.

– Boisz się, bo nazywam rzeczy po imieniu? Bo mówię, jak jest naprawdę? Czas najwyższy, aby zacząć to robić. Widzisz, żyjemy w świecie eufemizmów. Wiesz, co to eufemizm?

– Nigdy nie miałam głowy do nauki – przyznała się szczerze.

– Jak by ci to najprościej wytłumaczyć – zastanawiał się. – Widzisz, można powiedzieć, że coś śmierdzi albo że brzydko pachnie, że coś jest brzydkie albo że nie jest ładne. To niby znaczy prawie to samo. Ale tylko prawie. Słowa, które słyszymy, powodują, że w naszej głowie pojawiają się pewne ściśle związane z nimi obrazy. Spróbuj sobie wyobrazić. Powiem dwa znane ci doskonale określenia: „dziewczyna z agencji” i „dziwka”. Obydwa odbierasz tak samo?

Pokręciła przecząco głową.

– Właśnie – ucieszył się, że zaczyna go rozumieć. – Dobierając odpowiednie słowa, możemy mówić niby prawdę, ale nie prawdziwą. Na pewno słyszałaś takie określenia jak mobilność, elastyczność, pomysłowość i inicjatywa. To były kiedyś dobre słowa. Teraz oznaczają po prostu cwaniactwo, układowość, wpuszczanie przeciwnika w maliny.

Rzeczywistość, tak naprawdę, jest paskudna, zgrzebna, brudna i smutna. Dlatego wymyśla się pięknie brzmiące nazwy dla brudnych rzeczy. Wówczas wydają się nam one inne. Ładniejsze. Takich określeń można wymyślić bardzo dużo. Nie wypada mówić o kimś, że jest złodziejem. Mówi się, że ma wyjątkowe zdolności do powiększania swoich zasobów materialnych. Po cóż mówić, że ktoś skłamał. Trzeba powiedzieć, iż minął się z prawdą nie bez użycia własnej świadomości. Wyskrobała dziecko? Ależ nie! Dokonała zabiegu.

– Przecież kobiety zawsze to robiły – stwierdziła obojętnie.

– Tak – przyznał jej rację – ale nazywano to złem.

– To co z tego, że nazywano – sztucznie powtórzyła jego słowa.

– Przed chwilą ci tłumaczyłem. Skoro nazywano to złem, to ktoś, kto to robił, czuł, że jest nie w porządku, że ten czyn jest zły. Ktoś inny, kto tylko zamierzał to zrobić, miał również tę świadomość. Musiał dokonywać wyboru między dobrem a złem. Jeżeli nawet wybierał zło, nie towarzyszyła temu obojętność. Nie traktował tego jak normalności – mówił z zapałem, patrząc gdzieś w przestrzeń. Kiedy zerknął na Iwonkę, zauważył, ze obojętnie bawi się swoimi paznokciami. – Ja tu cię zanudzam – westchnął – a ty pewnie napiłabyś się kawy. Nie najlepszy ze mnie gospodarz.

– Nie zanudza mnie pan – pocieszała go. – Tylko ja tak nie umiem rozmawiać.

– Ale kawy możemy się napić? – powtórzył propozycję.

– Jasne – zgodziła się.

Przeszli do malutkiej kuchni. Z podziwem patrzyła, jak zgrabnie przygotowuje filiżanki. W każdym jego ruchu była lekkość i niewymuszona elegancja. Czynności wykonywał na pamięć, niemal automatycznie, ale jednocześnie z pewnego rodzaju celebracją.

– Gotowe – powiedział z uśmiechem, zamierzając zanieść tacę do pokoju.

– Zostańmy tutaj – zaproponowała. – Fajnie tu jest. Przytulnie. Mieszka pan sam? – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak.

– Nie ma pan żony? Tak pytam, bo w pana wieku – tłumaczyła się.

– Już nie – posmutniał.

– A dzieci? – dopytywała się uparcie.

Nie chciał jej okłamywać, ale też nie miał zamiaru wyznawać prawdy. Zadając pytanie, nasunęła mu pomysł. Postanowił dowiedzieć się, jakie też zdanie może mieć taka dziewczyna na interesujący go temat.

– Iwonko – pytał ciepło – masz ojca?

– No.

– Kochasz go?

– Ojca?

– Tak.

– A ja wiem? Jest i już.

– A gdyby go nie było? Gdybyś go straciła?

Zmarszczyła czoło. Chlipnęła łyk kawy. Bawiła się chwilę filiżanką. Wreszcie wzruszyła ramionami i z ociąganiem powiedziała:

– Nooo... Nie wiem.

– Nie jest ci bliski? – dziwił się. – Może jest dla ciebie niedobry?

– No nie wiem – zastanawiała się. – Stary jak stary. Taki jak wszyscy. On ma swoje życie, ja swoje i co tu gadać?

– A gdybyś się dowiedziała. Nagle. Niespodziewanie, że jakiś mężczyzna jest twoim ojcem – drążył dalej. – Jak byś na to zareagowała? Jak ci się wydaje?

– To zależy.

– Od czego?

– No, czy by mi się spodobał i... takie tam.

– A ja ci się podobam?

– Pewnie – odpowiedziała z kokieterią. – Ale nie na ojca – dodała ze śmiechem.

Nie było sensu dalej pytać. Raczej ciężko byłoby skierować rozmowę na odpowiednie tory. Westchnął tylko i postanowił zmienić temat, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Iwonka błyskawicznie odstawiła filiżankę i pobiegła do pokoju, gdzie zostawiła torebkę. Słyszał jej ugrzecznione odpowiedzi, po czym ukazała się w przedpokoju.

– Pan Ryszard – mówiła pospiesznie, poprawiając makijaż. – Muszę lecieć. Wpadnę jeszcze kiedyś – krzyknęła już od drzwi.

– Elektroniczny łańcuch – powiedział półgłosem sam do siebie.

Siedział jeszcze czas jakiś, sącząc resztki kawy. Była to jedna z tych chwil, kiedy sądził, że w zasadzie nie bardzo dogaduje się z innymi ludźmi. Zawsze wówczas zadawał sobie pytanie, czy to z nim, czy też z nimi jest coś nie w porządku. Miał nadal poczucie osamotnienia i niezrozumienia. Potęgowało to jego lęk. Wiedział, że dla Oli będzie w stanie zrobić wszystko, ale przecież znał siebie na tyle, żeby być przekonanym, iż nie zrezygnuje, nawet dla niej, z samego siebie. Zawsze był uparty i zawsze starał się być wierny temu, w co wierzył. A jeżeli cały jego świat nie przypadnie jej do gustu? Do tej pory pozwalał, aby to ona o sobie mówiła jak najwięcej. Chciał ją poznać. Zdawało mu się, że mają wiele wspólnego. Ale jeżeli sprawa dotyczy jedynie charakteru? Jak sprawić, żeby w tak krótkim czasie odpracować ponad dwadzieścia lat? Co zrobić, żeby zaimponować dorosłej już kobiecie? W jaki sposób zasłużyć jeżeli nie na miłość, to chociażby na wybaczenie i akceptację? Te i wiele innych pytań cisnęło się gwałtem do głowy. Potrzebował pomocy. Nie oczekiwał gotowych rad, ale chociażby szczerej rozmowy.

Postanowił pójść do Marka. Ponieważ nie bywał w kościele, nie wiedział, że o tej porze nie zastanie go w domu. Akurat trwało popołudniowe nabożeństwo. Siadł na murku i czekał. Omiatał wzrokiem plac kościelny, sam kościół i budynek plebanii. Jeszcze raz przeżywał po kolei wszystkie chwile, które nie tak dawno miały miejsce. Poranek, kiedy pierwszy raz zobaczył Olę, swoje wieczorne „dyżury” na murku, niepewność i ból, i nadzieję. „Moje biedne serce – myślał – nigdy nie zaznasz spokoju. Dawniej przepełnione tęsknotą, gorzką miłością, samotnością. Teraz obawą, żeby nie utracić tego, co już zdobyte. Żeby zasłużyć na więcej. Żeby wykrzesać dostateczną ilość odwagi. A jeśli trzeba będzie, znieść to, co wydaje się nie do zniesienia”.

– Witam – usłyszał za plecami znajomy głos.

Odwrócił się. Ksiądz Marek ze szczerym uśmiechem wyciągnął dłoń na przywitanie.

– Do mnie? – zapytał.

– Owszem, jeśli nie przeszkadzam.

– Chyba żartujesz? – usłyszał w odpowiedzi.

Ucieszył się. W czasie ostatniego ich spotkania dosyć bezceremonialnie zaczął Markowi mówić po imieniu. Obawiał się, czy nie zostanie mu to poczytane za niegrzeczność.

Marek już po drodze pospiesznie rozpinał i ściągał sutannę. Koszulka, którą miał pod spodem, była do ostatniej nitki przesiąknięta potem.

– Przepraszam – mówił z uśmiechem – ale trochę dziś ciepło. Rozgość się. Muszę się przebrać.

Łukasz stanął przed półką z książkami i machinalnie odczytywał tytuły.

– Co byś zrobił na moim miejscu? Jak byś postąpił? – zapytał, kiedy Marek wszedł do pokoju.

– A mógłbyś mi zdradzić tę słodką tajemnicę, w jakiej sytuacji?

– Nie żartuj – westchnął Łukasz, siadając naprzeciwko niego. – To dla mnie bardzo ważne. Nie wiem, jak dużo zostało ci w pamięci z naszej ostatniej rozmowy. Chyba zorientowałeś się, jak wiele znaczy dla mnie Ola. Nie wiem, jak jej powiedzieć. Nie wiem, co zrobić, żeby nie zostać odrzuconym. Boję się. Gdybym miał chociaż cień nadziei, że będzie w stanie wybaczyć mi, zrozumieć. Niczego nie pragnąłem tak bardzo, jak być z nimi. Wszystko się poplątało. Dużo w tym mojej winy. Zbyt łatwo uwierzyłem, zbyt szybko zrezygnowałem. Nie wykorzystałem wszystkich możliwości. Czułem się nieszczęśliwy, porzucony, odepchnięty. Nie starczyło mi energii do działania. Zamknąłem się w swoim świecie. Sam ze sobą. Czy mnie zaakceptuje?

– Nie potrafię odpowiedzieć na twoje pytania – z rezygnacją powiedział Marek. – I chyba nikt nie potrafi – dodał. – Możemy oczywiście teoretyzować, co by było, gdyby... ale to nas donikąd nie zaprowadzi. Ja osobiście jestem zwolennikiem chirurgicznych cięć, jak to nazywam. Raz kozie śmierć. Widujesz się z nią przecież. Skoro chętnie spotyka się z tobą, chyba darzy cię jakąś tam sympatią. Jeżeli widzi w tobie przyjaciela, może i ojca zobaczy?

– Owszem. Zauważyłem, że cieszą ją moje wizyty, ale zna mnie jako przyjaciela swojej matki. Wiesz, jak to jest. Więcej potrafimy wybaczyć komuś, kto jest tylko dobrym znajomym, niż osobie bliskiej, co do której nasze oczekiwania są znacznie większe. Poza tym ona nigdy nie mówi o ojcu. Tak jakby go w ogóle nie potrzebowała.

– Nie zgodzę się z twoim wnioskiem – Marek przecząco kręcił głową. – To niekoniecznie musi być tak. Zwykle to, co cenne, staramy się schować, ukryć przed innymi. Od wieków ludzie swoje kosztowności zamykają w sejfach, szkatułkach. Z uczuciami bywa podobnie. Często o swoich największych pragnieniach i tęsknotach nie mówimy. Nie chcę w tobie rozbudzać złudnych nadziei, ale skoro Pan Bóg pozwolił ci ją odnaleźć, może i pozwoli odzyskać? – uśmiechnął się. – Przyznasz, że okoliczności były dosyć niecodzienne. Gdyby tamtej nocy nie skradziono mi samochodu, gdybyś mnie nie spotkał... i tak dalej, i tak dalej – zawiesił głos.

– To przypadek – z przekonaniem stwierdził Łukasz.

– Myślę, że wszystko upraszczasz. Zresztą – westchnął – nie jesteś w tym odosobniony. Najczęściej wiele zdarzeń z naszego życia przypisujemy działaniu ludzi, przypadków, jak mówisz, a nie widzimy w tym łaski Bożej. Być może stąd wypływa również twoja bezsilność. Bo chcesz zaufać tylko sobie i swojej mądrości. Próbowałeś się modlić?

– Niejeden raz – w głosie Łukasza zabrzmiała nuta goryczy. – Prosiłem o obydwie – spuścił głowę.

Na chwilę zapadło milczenie. Marek wiedział, że Bóg czasem żąda ofiary. Nawet tej największej. Zdawało mu się, że rozumie, iż nasza miłość do Niego polega nie tylko na dawaniu, ale i przyjmowaniu. Przyjmowaniu nie tylko tego, co w danej chwili wydaje się nam być dla nas najlepsze i najszczęśliwsze, ale również na przyjmowaniu bólu, cierpienia. Z pełną zgodą i ufnością. Wiedział również, że Łukasz nie jest jeszcze gotowy na przyjęcie takich argumentów.

– Nie potrafię ci po ludzku wytłumaczyć, dlaczego tak się stało – zaczął niepewnie. – Być może Bóg zabrał do siebie twoją dobrą żonę, abyś ty teraz mógł w dwójnasób wypełnić trudną rolę ojca. Wiesz, że nie będzie lekko?

– Już nie jest – przyznał Łukasz. – Może to dla niektórych byłoby śmieszne, ale boję się reakcji własnego dziecka. Czy to nie paradoks? – zaśmiał się gorzko. – Widzisz – zastanawiał się, skubiąc brodę – ja nawet nie mogę wymyślić sytuacji, w której jakoś łatwiej czy uroczyściej zabrzmiałoby moje wyznanie. Wszystko wydaje mi się takie banalne, nijakie albo znów zbyt przesadzone.

– Jeśli o to chodzi – mówił Marek, sięgając po notatnik – może będę mógł ci coś podpowiedzieć. Zdaje się, że to wypadnie w przyszły czwartek – przewracał kartki. – Tak. W przyszły czwartek – zamknął notatnik. – Ola zamówiła Mszę Świętą w dniu imienin twojej żony. Może to byłaby dobra okazja?

– Wiesz, że nie chodzę do kościoła – zirytował się Łukasz.

– Wiem – spokojnie odpowiedział Marek. – Ale ze względu...

– Nie będę urządzał kpin z Boga. – Łukasz wstał i nerwowo chodził po pokoju.

– Uczestnictwo w nabożeństwie nazywasz kpinami? – Marek był zdumiony.

– Wiesz, że poszedłbym tam – Łukasz wyciągniętą ręką wskazywał kościół – bez przekonania. On wie – podniósł oczy w górę – że nie bywam – chwilę milczał. – I On wie, dlaczego nie bywam – dodał.

– Ale ja nie wiem.

– Nie obraź się – Łukasz siadł i przysunął bliżej fotel. Patrzył Markowi prosto w oczy. – Ja nie potrzebuję pośredników.

– Ach tak – Marek nie mógł powstrzymać się od ironii. – Rozumiem. J a i B ó g. Tak to pojmujesz? Wszyscy inni to śmieci, nic nierozumiejący głupcy, nie warci zainteresowania kretyni bezmyślnie klepiący różańce.

– A żebyś wiedział, że właśnie tak – syczał przez zęby Łukasz. – Nie sądzisz, że te wasze śpiewy, pochody, mamrotania to cepeliada? Odświętne widowisko okraszone często przesadną formą i będące jedynie formą? Czyż treścią nie powinno być dobre życie? Powiedziałeś, że tutaj są wszystkie prawdy – wziął do ręki Pismo święte i wymachiwał nim przed nosem Marka. – Czyż nie jest powiedziane: „Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim”.

– Powiedziane jest też: „Kto mnie wyzna przed ludźmi, wyznam go i ja przed Ojcem moim” i „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił”, i... – „Gdy się modlicie – przerwał mu Łukasz – nie bądźcie jak obłudnicy. Oni lubią w synagogach i na rogach ulic wystawać i modlić się, aby się ludziom pokazać” – triumfował.

– ...i – kończył spokojnie Marek: „Gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich”.

– „Wyszedł sam jeden – cedził z naciskiem Łukasz – na górę, aby się modlić”.

– „Wziął ze sobą Piotra, Jakuba – spokojnie wyliczał Marek – i brata jego Jana i zaprowadził ich na górę”. Zauważ – nie pozwalał sobie przerwać – że nie zaprowadził ich byle gdzie. Przyznasz, że sam udawał się na górę, aby się modlić.

Łukasz, chcąc nie chcąc, przytakiwał.

– Obojętnie, jak to nazwiemy – spokojnie kontynuował Marek – sacrum, namiot spotkania, miejsce święte, punkt stały, jest to zawsze pewien rodzaj czy raczej wycinek przestrzeni poświęcony Jemu. Coś, do czego można się odnieść, co daje oparcie...

– A jeśli ja tego nie potrzebuję? – upierał się Łukasz.

– To złudzenie – nie dawał za wygraną Marek. – W samotności wytworzyłeś sobie pewnego rodzaju iluzję Boga i wiary. Zdaje ci się, że masz najlepszy sposób na pojmowanie Go. Uważasz się za mądrego gościa. I słusznie. Bo tak jest. Ale sądzisz może, że w związku z tym potrafisz piękniej i mądrzej rozmawiać z Panem Bogiem. Pogardzasz poetyką kościelną.

– Mam przecież prawo do prywatności – Łukasz był wzburzony do ostatnich granic. – Mam prawo do osobistych rozmów ze Stwórcą. To moja wolność. Czyż nie do wolności zostaliśmy stworzeni?

– Ależ ja ci tego prawa nie odbieram – uspokajał Marek. – Tyle, że twoja wolność jest zalękniona. Zatroskana o ochronę samego siebie. Obrażasz się na świat i ludzi. Tak najwygodniej. Wyrobić w sobie prawie doskonałe przekonanie o swojej inności, wyjątkowości. Gardzić innymi. Karmić się melancholią. Ale to nie jest katolickie. Nasza religia nie jest jedynie religią kontemplacji. Wiara to aktywność, to chęć działania. Wierzę, cieszę się z tego, mówię innym o swojej radości i nadziei. W ten sposób tworzy się Kościół. Wspólnota. A wspólnota modli się razem.

– Przyszedłem do ciebie po radę – z goryczą i wyrzutem mówił Łukasz. Wstał i powoli szedł w stronę drzwi – a otrzymałem wyrok. Liczyłem na szczerą rozmowę, a ty poczęstowałeś mnie agitatorską kościelną mową – nacisnął klamkę. Stał już w otwartych drzwiach, kiedy dotarły do niego słowa Marka:

– Ja tylko wypełniam Jego wolę. Jak myślisz, dlaczego, kiedy uczył nas modlić się, mówił „Ojcze nasz”. Nie mój, twój, ale nasz.

Nie odwrócił się, nie zatrzymał nawet. Pospiesznie zbiegał ze schodów. Nie miał ochoty na niczyje towarzystwo. Na ulicy nieco zwolnił. Szedł ze spuszczona głową. W uszach, niczym natarczywy owad, brzmiały słowa: „Ojcze nasz”, „nasz”, „nasz”.

„Ojcze nasz”... – powtarzał. – Ojcze mój, Ojcze świętego i łotra, geniusza i ucznia zbierającego same jedynki, milionera i pijaczka z przydworcowej alejki, pięknej modelki i pensjonariuszki domu pomocy społecznej, widzącego i ślepca, gaduły i głuchoniemego, Oli i Iwonki, Marka i Ryśka, Cioci i Elżbiety...

Chleba naszego daj nam... Milionerowi – małże i kawior, Ryśkowi – truskawki w środku zimy, pensjonariuszce domu pomocy społecznej – talerz owsianki, pijaczkowi z przydworcowej alejki – kawałek nadgryzionej kanapki, bezdomnemu – łyżkę ciepłej zupy, afrykańskiemu dziecku – łyk czystej wody...

Odpuść nam nasze winy... Geniuszowi pychę, uczniowi lenistwo, milionerowi, że ślepiec, pijaczkowi, że gaduła, widzącemu, że głuchoniemy, bezdomnemu, że z nim kłopot, Elżbiecie, że...

6.

Chociaż dzień był powszedni, na popołudniowym nabożeństwie zgromadziło się sporo wiernych. Msza Święta miała być odprawiana w intencji pewnej powszechnie znanej osoby.

Ksiądz Marek siedział w konfesjonale. Póki co chętnych do spowiedzi nie było, zastanawiał się więc nad tekstem niedzielnego kazania. Bezwiednie wodził oczyma po otoczeniu. W pewnym momencie usłyszał chrzęst zamka. Popatrzył w lewo. Klamka głównych drzwi poruszyła się z łoskotem kilkakrotnie. Ktoś na zewnątrz energicznie nią szarpał.

„Jakiś niezorientowany" – pomyślał. „Ci, którzy stale przychodzą, wiedzą, że w powszednie dni otwarte są tylko boczne drzwi".

Jeszcze nie dokończył swoich myśli, kiedy owe boczne drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich nie kto inny jak Łukasz.

Dyskretnie, ale niepewnie rozejrzał się dokoła. Niezgrabnie, z nieśmiałym grymasem, który miał przypominać uśmiech, przeszedł do bocznej wnęki. Najpierw splótł dłonie przed sobą, potem opuścił je wzdłuż ciała, a zaraz potem znów je złączył. Wyraźnie mu przeszkadzały.

Stał sztywno, prawie na baczność.

Kiedy przebrzmiały słowa Aktu pokuty i lektor zbliżył się do ambonki, wierni usiedli. Łukasz z pewnym opóźnieniem zrobił to samo, co inni. Stał tak niefortunnie, że teraz musiał usiąść na bocznej ławce. Oczywiście nie była to konieczność. Mógł przecież przejść gdziekolwiek. Wolnych miejsc było bardzo wiele. Dlaczego tego nie zrobił? Z prostej przyczyny. Czuł się jak drzewo. Miał wrażenie, że jego stopy niczym korzenie wrosły w posadzkę i nic nie jest w stanie ich przesunąć. Wiele kosztowało go to, aby tutaj wejść. Skoro więc zatrzymał się w tym, a nie innym miejscu, nie znalazł w sobie tyle siły, aby je zmieniać. Był skrępowany. Sądził, że wszyscy na niego patrzą. Mimowolne spojrzenia odbierał jak natarczywe przyglądanie się.

Siadł półbokiem. Złączył kolana. Dłonie położył na udach. Zbyt wygonie mu nie było. Nie potrafił opanować drżenia mięśni. Pomimo panującego w kościele chłodu czuł, jak pot kroplami ścieka mu po plecach.

Nie mógł skupić ani myśli, ani wzroku. Nerwowo mrugał powiekami.

Z ulgą przyjął chwilę, gdy znów wszyscy wstali.

Kiedy przyszło do ponownego siadania, z mięśniami było nieco lepiej. Trochę rozluźniony zaczął przyglądać się zebranym.

Ksiądz Marek obserwował go tyleż z zainteresowaniem, co i niepokojem. Dostrzegał rosnące z minuty na minutę zdenerwowanie Łukasza. Zdając sobie sprawę z impulsywności jego charakteru, którą parokrotnie mógł zaobserwować, wręcz oczekiwał jakiejś niecodziennej reakcji.

Nie mylił się. Tuż po Podniesieniu Łukasz błyskawicznie prześlizgnął się wzdłuż ściany i wyszedł. Marek zerwał się z klęczek i prawie wybiegł z kościoła.

– Poczekaj! – wołał za oddalającym się przyjacielem.

Łukasz przystanął, ale nie odwracał się. Marek dobiegł do niego. Chwycił go za ramię.

– Dlaczego wyszedłeś? – pytał zdyszany.

– Nie zapytasz, dlaczego przyszedłem? – zaakcentował ostatnie słowo.

– Przychodzi się wtedy, kiedy się chce lub musi. Mam nadzieję, że ty chciałeś.

– A tak, chciałem – gorączkował się Łukasz. – Widzisz, że chciałem. Ona... Ola... – jąkał się. – Dla niej to ważne. Myślałem... Przyszedłem spróbować. Czy dam radę... Czy... A zresztą – machnął ręką. – Teraz to już nieważne. Jest tak, jak myślałem, a nawet gorzej.

– Łatwo rezygnujesz i łatwo się usprawiedliwiasz.

– Znowu to do mnie masz pretensje?! – wybuchnął Łukasz. – Nie do nich? – ostentacyjnie wskazywał na kościół. – Nie do tej wypindrzonej, podstarzałej damulki, która przyglądała mi się z wyższością i pogardą stałej bywalczyni? Nie do tej lali? Przez cały czas wpatrywała się z zachwytem w swoje paznokcie i poprawiała loki. Z nią mam się modlić? Ubraną w jakiś surogat sukienki? Kiedy siadała, widziałem kolor jej majtek! Może mi powiesz, że to odpowiedni strój na taką okazję?

– Nie, nie powiem – Marek starał się zachować spokój. – Ale dlaczego patrzyłeś na jej majtki, a nie na ołtarz?

– Tak. Oczywiście. Czegóż ja mogę się po tobie spodziewać? – ironizował Łukasz. – Jasne. Oni są w porządku. To ja jestem ten zły, nienormalny, odmieniec. Oni są cacy – prawie przylgnął do Marka. Patrzył na niego spod przymrużonych powiek. – Nie udawaj, że nie wiesz. Ten – zawahał się – złodziej, kanciarz. Siedział dzisiaj w pierwszej ławce i śpiewał najgłośniej ze wszystkich. Przekręty wielu innych obecnych też są powszechnie znane. Dla ciebie to normalne? Potrafisz mi i to wytłumaczyć?

– Przecież do kościoła nie przychodzą sami święci. Msza nie jest dla aniołów, ale dla ludzi. Często nieszczęśliwych, zagubionych, uwikłanych w zależności, z którymi sobie nie radzą, słabych, popełniających błędy...

– Nazwij rzecz po imieniu – przerwał mu ostro Łukasz. – Po prostu złych.

– Nie – równie ostro zaprzeczył Marek. – Człowiek nie jest zły. Człowiek czasem czyni zło.

– A Pan Bóg sobie spokojnie na to patrzy.

– Wolałbyś, żeby był odwetowcem?! – oburzył się Marek. – Są chwile, kiedy cię w ogóle nie rozumiem. Bóg jest wolny – tłumaczył dobitnie – i nas stworzył do wolności. Zemsta to zasada moralna niewolników, a nie dzieci Bożych. Rozumiem twoje oburzenie. Ale oburzenie to powinien

102 być początek, a nie koniec. Pan Bóg, jeśli Go o to poprosimy i jeśli taka będzie Jego wola, może nam pomóc, ale nie wyręczać. Skoro widzisz, że coś jest nie w porządku, coś ci się nie podoba, chciałbyś, żeby było inaczej, to nie marudź, nie stękaj, ale rób coś, działaj.

– Ja?

– Tak, ty.

– Dlaczego ja?

– Bo ty widzisz, ty rozumiesz.

– A oni nie rozumieją? – drwił Łukasz.

– Może i nie rozumieją.

– I im będzie wybaczone? I to ma być sprawiedliwe?

– „Komu więcej dano, od tego więcej żądać się będzie”, „Kto ma, temu jeszcze będzie dodane, a kto nie ma, zabiorą mu i to, co ma”. Ciesz się, bo umiesz nie tylko patrzeć, ale i widzieć.

– Przychodzę do kościoła – złościł się Łukasz. – Liczę na to, że spotkam tutaj rozmodlonych ludzi. A co widzę? Zobojętniałych rutyniarzy, którzy nawet w takim miejscu nie potrafią zachować chociażby wyznaczonej przyzwoitości. A ty ich bronisz!

– Nie jestem czarodziejem. Nie sprawię, że za pstryknięciem palca świat stanie się piękny i bezpieczny, a wszyscy ludzie dobrzy. Żyję tu i teraz. I w tym konkretnym świecie mogę sprawić, że błędów i zła może być coraz mniej.

– Co ty możesz?! – wykrzykiwał swoje wątpliwości. – Co ja mogę? To naiwność! Rozejrzyj się dokoła – nerwowo zakreślał dłońmi szerokie koła. – Co widzisz? – Zanim Marek zdążył odpowiedzieć, mówił dalej tonem pełnym goryczy i rezygnacji: – Wiesz, kogo mi przypomina Współczesny Człowiek? Przypomina mi srokę. Srokę-Złodziejkę. Współczesny Świat rozsypuje przed Współczesnym Człowiekiem świecidełka. Ogromną ilość nic niewartych błyskotek. Jest ich tak wiele, że zaczyna to przerastać fizyczne możliwości pozbierania ich. Człowiek-Sroka pędzi bez zastanowienia od jednego do następnego. Nie ma czasu na rozglądanie się. Nie patrzy pod nogi. Depcze po drodze to, co dobre, uczciwe, święte. Nie zatrzymasz tego biegu.

– Widzisz i jednocześnie nie widzisz – uśmiechnął się Marek. – Mówisz o innych, a ty sam dałeś się nabrać na jedną z tych błyskotek. Chyba na tę najbardziej zdradliwą.

– Czyżby?

– Tą błyskotką jest twoje przekonanie o bezsilności. Głębokie przekonanie, że nic nie da się zrobić. Rozsypującym błyskotki o to właśnie chodzi. Żebyś tak myślał.

– Jesteś w stanie tę lawinę powstrzymać?

– Nie muszę niczego powstrzymywać. Wystarczy, że przekonam Srokę, aby nie uganiała się za świecidełkami...

Nie dokończył. Kątem oka dostrzegł wchodzącą na plac kościelny grupę młodzieży. Szła Ola, Michał, Piotrek, Pytajnik, Gosia i inni. Wysunął się

nieco zza Łukasza i pomachał im na przywitanie. W odpowiedzi zabrzmiał chór rozradowanych głosów i kilkanaście rąk uniosło się w górę.

Łukasz poczuł się niepewnie. Na odejście było za późno. Zostać równie niezręcznie. Był winien Oli wyjaśnienie przyczyn swojej nieobecności, ale nie chciał tego robić w takim tłumie. Poza tym nie ochłonął jeszcze z emocji związanych z pobytem w kościele i dopiero co urwaną rozmową. Miał nadzieję, że uda mu się ukryć swoje uczucia pod maską grzeczności i obojętności. Zerknął niepewnie na Marka.

– Ona nie wie... – zaczął.

– Milczenie – mówił Marek, nie przestając się uśmiechać do zbliżającej się młodzieży – jest wpisane w moje życie. Bądź spokojny.

– To wiem – urwał krótko Łukasz. – Ona myśli, że mam na imię Janusz – zdążył dodać, zanim młodzi ludzie podeszli całkiem blisko.

– Wiem, co chcesz powiedzieć – ksiądz Marek śmiał się do Gosi, która z udawaną złością groziła mu palcem. – Nie masz racji. Nie zapomniałem. Już miałem jechać. Zagadaliśmy się troszeczkę.

– Księdza szczęście, bo inaczej... – jeszcze raz pogroziła palcem.

Podchodzili po kolei i witali się. Łukasz z podziwem patrzył, jak Marek sprawiedliwie rozdziela gesty przyjaźni i zainteresowania. Kogoś pogłaskał, innego poklepał po ramieniu, któregoś uszczypnął albo wymierzył pstryczka w nos. Czynił to wszystko ze swobodą, a jednocześnie prawdziwym zainteresowaniem.

– A to co? – żartował, patrząc na zabandażowaną rękę Piotrka. – Spadochron na czas się nie otworzył?

– Nie – śmiał się Jakub. – On niedługo idzie do dużego miasta. Uczył się jeść nożem i widelcem.

– Dobrze, że to lewa ręka – dołożył swoje Jarek. – Przynajmniej zupę będzie mógł zjeść.

Piotrek filuternie zmrużył oczy.

– A co, lewą ręką nie można zjeść zupy? – rzucił zaczepnie w stronę Jarka.

– Nie wiem jak ty – górował Jarek – ale ja jem zupę prawą ręką.

– Tak? – niby od niechcenia powiedział Piotrek. – A ja łyżką.

Chłopcy przekomarzali się jeszcze przez chwilę, ale Łukasz nie słuchał. Całym sobą wpatrzony był w Olę. Stała blisko niego.

– Czekałyśmy. Ciocia zrobiła pyszną sałatkę – mówiła z wdzięcznym uśmiechem, ale i wyrzutem. – Martwiłyśmy się.

– Przepraszam. Wszystko wyjaśnię – tłumaczył się. Cieszyło go, że się trochę gniewa. Cieszyła go jej obecność, ale nie czuł się zbyt pewnie w tej zbyt licznej grupie. – Postaram się to w najbliższym czasie nadrobić – obiecywał. – Jutro lub pojutrze. Uprzedzę telefonicznie.

– A może dzisiaj? – zaproponowała. – Nie wiem, czy pan jest w temacie? Właśnie skończyliśmy prace na budowie. Chcemy to uczcić. Urządzamy ognisko. Byłby pan miłym gościem – popatrzyła po obecnych.

Nikt co prawda nie powtórzył jej propozycji. Nie padło chóralne: „zapraszamy", ale też nie było widać, aby byli temu pomysłowi niechętni.

Tylko Michał patrzył na Łukasza lodowatym wzrokiem. Całą tę scenę obserwował z wyraźną niechęcią.

– Dziękuję, ale dzisiaj nie mogę – zmyślał Łukasz. – Zaplanowane spotkanie. Nie dam rady odwołać – ubarwiał swoje kłamstwo.

– Naprawdę pan nie może? – próbowała go namawiać.

Uśmiechnął się tylko. Rozłożył ręce w geście mającym oznaczać, iż istotnie nie jest w stanie zmienić swoich planów. Bąknął jakieś: „Do widzenia" i odszedł.

– Szkoda – powiedziała ze smutkiem Ola.

– Wcale nie szkoda – usłyszała wzburzony głos Michała.

Odwróciła się. Stał tuż za nią.

– Dlaczego tak mówisz? – zdziwiła się.

– Bo mi się nie podoba, że się do niego tak wdzięczysz.

– Wcale się nie wdzięczę – broniła się. – Staram się być miła.

– Nie za bardzo przesadzasz z tym staraniem? – wyzłośliwiał się.

– O co ci chodzi? Lubię go.

– Nie musisz od razu tak ostentacyjnie tego okazywać.

– Nie widzę również powodu, aby to ukrywać. To nic złego.

Ksiądz Marek mrugnął porozumiewawczo do reszty zebranych. Pojęli w lot. Znakomicie udawali, że ani nic nie widzą, ani nie słyszą. On sam znienacka objął wpół Olę i Michała i zapytał:

– Kłócicie się? Już? Nie za szybko to?

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się błyskawicznie i cicho nucąc jakąś wesołą melodię, poszedł do garażu.

Spłoszeni, odsunęli się od siebie i oboje spuścili oczy. Ola spłonęła rumieńcem, a Michał kilkakrotnie nerwowo odchrząknął. Nieśmiało zerkali w stronę kolegów.

Ci na pozór bez reszty zajęci byli całkiem innymi sprawami.

Piotrek z zegarmistrzowską dokładnością poprawiał bandaż i temblak. Przesuwał, podciągał, wygładzał. Przyglądał się uważnie, kręcił z niezadowoleniem głową i od nowa powtarzał wszystkie czynności.

Gosia przykucnęła, wysypała na kolana całą zawartość torebki i z zawzięciem szukała czegoś, czego tam prawdopodobnie nigdy nie było.

Jakub i Jarek nie odrywali oczu od gitary. Przyglądali się jej z takim zaciekawieniem, jakby ją widzieli pierwszy raz. Prowadzili przy tym ożywioną rozmowę.

Inni zachowywali się podobnie. Może przypadkiem, a może nie, na wszystkich twarzach gościł ten sam rodzaj delikatnego, prawie niedostrzegalnego uśmiechu.

Piotrek kątem oka obserwował Michała. Widział, że brat jest mocno zakłopotany i nie bardzo wie, co zrobić. Postanowił mu dać chwilę na złapanie oddechu.

– Hej! – zawołał. – My będziemy tak stać, a Wielebny dojedzie przed nami. Obawiam się o los kiełbasek, które tam zostały.

– Chodźmy – poparła go Gosia.

Propozycja została zgodnie przez wszystkich przyjęta. Grupkami ruszyli w kierunku bramy. Pochód zamykali Ola i Michał.

Ona nie odzywała się ani słowem. Targały nią mieszane uczucia. Wybuch zazdrości ze strony Michała łaskotał jej dziewczęcą dumę. Był poza tym dowodem, że nie jest mu chyba obojętna. Smuciła ją natomiast jego przesadna niechęć do pana Janusza. Polubiła tego człowieka. Mimo różnych uwag, często niepokojących, które wygłaszano na jego temat, darzyła go sympatią. W jego towarzystwie czuła się dobrze i pewnie. Było jej przykro, że Michał tego nie rozumie.

On natomiast był wściekły. Złościł się na Łukasza, na całe towarzystwo, a najbardziej na samego siebie. Miał w gruncie rzeczy naturę romantyczną. Niejednokrotnie w wyobraźni układał scenariusze swoich spotkań z Olą. Chwile te były piękne i podniosłe. Potem najczęściej zdarzało się, że toporna rzeczywistość i jakieś tandetne przypadki psuły misternie obmyślone sceny. Gubił się wówczas i najczęściej albo milczał, albo wyskakiwał z czymś tak głupim jak dzisiaj.

Spojrzał na nią. Szła zamyślona. Podsunął się bliżej.

– Nie chciałem być niegrzeczny – zaczął niepewnie. – Gniewasz się?

– Nie, ale trochę mi smutno.

– Wcale tak o tobie nie myślę – zapewniał. – Poniosło mnie, bo ty i ten człowiek... To takie...

– Ja go tylko lubię – tłumaczyła się. – Jest dla mnie dobry i miły. Nie musisz być... – urwała speszona.

– Patrzy na ciebie tak, jakby... – nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

– Jakby co?

– Jakbyś była dla niego kimś bardzo ważnym. Najważniejszym. Jakbyś mu przesłaniała świat.

– Chyba przesadzasz – spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Zapatrzył się w ten niezwykły uśmiech, w jej wilgotne oczy migocące wszystkimi barwami zachodzącego słońca, w błyszczące kosmyki włosów, które huśtane wiatrem delikatnie głaskały jej policzki. Nie odrywając od niej wzroku, mówił głosem drżącym ze wzruszenia:

– Nie przesadzam. Bo ty jesteś taka...

– Jaka? – wyszeptała z nadzieją.

– Jak...

Nie usłyszała, co chciał powiedzieć. Wpatrzeni w siebie, nie zauważyli, że poprzedzający ich koledzy zatrzymali się przed przejściem przez ulicę. Wpadli na ich plecy. Dłonie Michała wylądowały na ramionach Jarka.

– Wiem, że mnie lubisz – żartował, nie odwracając się, Jarek – ale nie przesadzaj.

– No właśnie – wtrącił się Jakub, naśladując kobiecy głos – bo będę zazdrosny.

Ze śmiechem ruszyli dalej.

Ola nie powtórzyła pytania. Michał nie dokończył odpowiedzi.

Kiedy dotarli na miejsce, księdza Marka jeszcze nie było. Wcześniej wszystko przygotowali, więc teraz pozajmowali miejsca i spokojnie czekali. Pytajnik usiadł obok Piotrka.

– Zajaram, póki Wielebnego nie ma – powiedział, wyciągając papierosa.

– Jaraj, jaraj – drwił Piotrek. – Pracuj nad wyglądem. Już niedługo będziesz miał skórę jak papier toaletowy. Włoski wypadną. I ząbki się przerzedzą. Oczka też wysiądą. Będziesz sobie musiał jakieś patrzałki na bazarze fundnąć. Jak ci się chlapnie, to i raka może dostaniesz?

– Na coś trzeba wykitować, nie? – wzruszył ramionami.

– A ty chcesz na własną prośbę – nie ustępował Piotrek. – Zanim wykitujesz, może jakąś laskę poznasz? Jakieś czary-mary, bajery, nawijka. Przysuniesz się bliżej i co? I z twojej morduchny obora!

– Wszystkie, co je znam, jarają. Im bez różnicy – obojętnie powiedział Pytajnik, wypuszczając kłęby dymu.

– Im może tak, ale tym maleństwom, co je masz w środku, na pewno nie.

– Ty – podejrzliwie popatrzył Pytajnik – ześwirowałeś, czy jak?

– Nie. Mówię o twoich krwinkach. – Przysunął się bliżej. Zniżył głos. Mówił tak, jak opowiada się bajkę. Dla podkreślenia znaczenia swoich słów dodawał gesty. – Są brachu takie maciupcie, że ich nie widać, ale strasznie pracowite. Zasuwa taka mała po tlen. Pędzi do płuc na przykład z twojej pięty. Taką ma robotę, nie. Wpada. Wyciąga łapeczki. Chwilowa radocha, a ty ją łup kłębem dymu. A co się będzie tak durna cieszyć? Krztusi się, prycha, zipie. Resztkami sił próbuje. Nici z tego. Zero szans. Gleba. Pada trupem – przerwał na chwilę. – Za nią pędzą inne. I tak samo padają. Jeden papierosek i wyglądasz chłopie jak wózek dla umrzyków. Masz w środku pełno maciupcich sztywniaków. Niezłe żniwo. Milion albo i więcej.

– Ładujesz mnie – nie dowierzał Pytajnik. – Milion?

– Albo i więcej – powtórzył z przekonaniem Piotrek, a widząc, że Pytajnik z niesmakiem przełknął ślinę, dodał: – Wyluzuj. Jeszcze ci ich trochę zostało.

Miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale w tejże chwili wszyscy popatrzyli w jednym kierunku. Na plac zajechał samochód. Ksiądz Marek,

obładowany siatkami i paczkami, z trudem wydostawał się na zewnątrz.

– Dzięki za pomoc – mówił przy tym żartobliwie. – Doprawdy nie spodziewałem się.

Na takie hasło wszyscy rzucili się do samochodu. Odbierali od niego reklamówki. Z zainteresowaniem zaglądali do środka. Co i raz padał okrzyk zdziwienia lub radości.

– Ja nie mogę! Ale czad! – wołał Piotrek, wykładając na stół smakołyki. – Od paru godzin nic nie jadłem, ale z ilością to ksiądz trochę przesadził.

– I zaszaleć trzeba, kiedy czas po temu – odrzekł ksiądz.

– I jak się ma sponsorów – dorzucił Jarek.

Nagle ksiądz spoważniał. Odłożył siatkę. Popatrzył po zebranych. Nie ominął żadnych wpatrzonych w niego oczu.

– Zasłużyliście – przygarnął do siebie Piotrka. Wiedzieli, że ten gest jest przeznaczony dla wszystkich. – Zasłużyliście na znacznie więcej, niż mogę wam dać.

– My nie dlatego – głos Gosi zabrzmiał cicho i nieśmiało.

– Dobra – ksiądz poczochrał czuprynę Piotrka. – Bo wam się w głowach poprzewraca. Który dzisiaj robi za pirotechnika?

– Techniczny – powiedział Jarek.

Jakub z udawaną wyższością potoczył wzrokiem dokoła i z elegancją godną mistrza ceremonii podszedł do misternie ustawionego stosu drew. Malutki płomyczek ognia przez chwilę niepewnie błąkał się pomiędzy grubymi szczapami. Ośmielony ich biernością wspinał się coraz wyżej, aż wreszcie buchnął wysoko, sypiąc dokoła deszczem iskierek. Przywitano to gromkimi brawami i wesołymi okrzykami.

Spotkanie upływało w miłej atmosferze. Rozmowy przeplatane piosenkami, żartami, wspomnieniami zabawnych sytuacji, jakich wiele wydarzyło się na budowie, mogłyby się ciągnąć w nieskończoność, gdyby nie czas, który nieubłaganie gnał do przodu.

Jakże nieczuły na pragnienie Oli, aby ten wieczór trwał jak najdłużej. Obecność Michała, jego bliskość sprawiały jej ogromną radość. Mogłaby bez końca wpatrywać się w niego, wsłuchiwać w jego głos. A dziś śpiewał szczególnie pięknie. Miała wrażenie, że wkłada w to całą swoją duszę.

I chociaż niepewność starała się rzucić cień na jej szczęście, serce uporczywie podszeptywało, że to dla niej.

Piosenka opowiadała o tęsknocie i czekaniu. Poeta żalił się słuchaczowi, że nie znajduje odpowiednich słów, aby do końca wyrazić to, co naprawdę czuje. Ubolewał nad ubóstwem języka i nad swoją nieporadnością w posługiwaniu się nim. Wreszcie dochodził do wniosku, że uczyni najlepiej, kiedy będzie milczał, bo milczenie jest prawdziwym i najpiękniejszym wyznaniem.

Przebrzmiały ostatnie akordy. Michał odłożył gitarę i wpatrzył się w wilgotne od wzruszenia oczy Oli. „Moja piękna, moja dobra i jedyna" – mówiło jego spojrzenie. „Cóż ci mam powiedzieć? Wyświechtane «kocham»? To za mało. Ty wiesz, jak wiele dla mnie znaczysz. Ty przecież wiesz". Już wiedziała. Jej twarz rozjaśnił uśmiech, a oczy zapłonęły szczęściem. „Zrozumiałaś" – cieszyły się jego oczy. „Nareszcie zrozumiałaś".

Niepomni na obecność innych pochylali ku sobie głowy, aż wtuliły się w siebie i trwały zasłuchane w ciszę, która mówiła wszystko. Nikt jej nie zmącił. Domy pogasiły swe okna, aby zbytnim blaskiem nie spłoszyć tego dopiero co urodzonego szczęścia. Drzewa dumnie i niewzruszenie stały na jego straży. Nawet wiatr, co jeszcze przed chwilą niesfornie hasał wśród dmuchawców, zadziwiony przycupnął w trawach. Tylko ogień nadal płonął. Delikatnym światłem muskał wszystkie twarze, zbierał z nich okruchy wzruszenia i unosił ku górze.

Dłonie zakochanych zetknęły się. Palce po kolei wyliczały przyrzeczenia i obietnice i splatały się ze sobą. I chociaż wiele, były niczym jedno.

Zebrani wokół ogniska przyjaciele mieli odczucie, że tego wieczoru nie wydarzy się nic piękniejszego, a każdy komentarz mógłby wypaść blado i niezręcznie. Tak więc gesty i spojrzenia pełne były wymownego milczenia. Nikt nie chciał zepsuć niecodziennej atmosfery.

Nikt też nie zdziwił się, że Ola i Michał podziękowali niebawem za miły wieczór i poszli do domu. Cóż w tym nadzwyczajnego, że pragnęli być sami?

Odprowadził ją aż pod drzwi. Kiedy się zatrzymali, sięgnął do kieszeni i wyjął malutkie pudełeczko z czerwonego aksamitu. Otworzył je. Drobniutkie diamenciki rozbłysły ostrym światłem.

– Nosiła go moja babcia – mówił z powagą i ze wzruszeniem. – Potem mój tata dał go mojej mamie. Teraz chciałbym, żebyś ty...

Nie musiał kończyć. Z nieśmiałym uśmiechem podała mu swoją dłoń. Tego wieczoru długo nie mogła zasnąć. Oczyma wyobraźni widziała siebie w białej sukni, przed ołtarzem, u boku człowieka, z którym pragnie przejść przez życie.

Popatrzyła na pierścionek błyszczący na jej palcu. „Mój tata dał go mojej mamie" – przypomniała sobie słowa Michała.

– Mój tata – powtórzyła szeptem i zdała sobie nagle sprawę, jak obco i smutno zabrzmiały w jej ustach te słowa.

Za oknem cykały świerszcze. Pogodne niebo migotało milionami gwiazd. Patrzyła na nie i pytała: „Gdzie jesteś? Jaki jesteś?". Poczuła się jak mała dziewczynka. Zapragnęła wtulić się z ufnością w ramiona ojca. Opowiedzieć mu o swoim szczęściu. Zobaczyć, jak cieszy się razem z nią. Wysłuchać jego rad. Przyjąć błogosławieństwo.

– Mama mówiła, że musiałeś odejść – szeptała ze łzami. – Skoro musiałeś, nie będę się na ciebie złościć. Tatusiu. Tęsknię za tobą. Wróć.

7.

Pełen wątpliwości i pytań Łukasz pokonywał ostatnie stopnie schodów. Nagle drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Marek. Był ubrany jak do wyjścia. W ręku trzymał klucze. Skupienie i powaga malowały się na jego twarzy. Machinalnie wetknął klucz w zamek i powoli przekręcił. Widać było, że myśli ma zajęte całkiem innymi sprawami. Łukasz zatrzymał się w pół kroku.

– Wychodzisz? – zapytał.

– Owszem – Marek raptownie odwrócił się. – Wybacz, nie zauważyłem cię. Coś pilnego?

– Kilka pytań. Mogą poczekać – powiedział Łukasz, widząc, że Marek się spieszy.

– W ostatnich dniach odwiedzam go codziennie – mówił, idąc ze spuszczoną głową. – Z godziny na godzinę jest z nim coraz gorzej. Ten dzieciak ma niecałe dwanaście lat. Jest bardzo dzielny. Podziwiam go. Czeka na mnie – uśmiechnął się gorzko.

– Nie ma żadnej nadziei?

– Nadzieja jest zawsze, ale... – westchnął ciężko.

– Nigdy tego nie mogłem zrozumieć – Łukasz zmrużył oczy i kręcił głową. – Nigdy nie umiałem sobie odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego cierpienie dotyka dzieci? Czemu cierpią te najbardziej niewinne istoty? Dlaczego one?

Marek popatrzył na wiszący w korytarzu krzyż.

– A dlaczego On? – zapytał i wyszedł.

– „Dlaczego On?” – powtórzył Łukasz. Stał chwilę jeszcze wpatrzony w postać ukrzyżowanego Jezusa.

Kiedy otworzył drzwi, zobaczył kościelny dziedziniec cały skąpany w promieniach przedpołudniowego słońca. I zdało mu się wówczas, że jest na całkiem innym dziedzińcu.

Jest słoneczny dzień. Przed prokuratorskim pałacem kłębi się rozjuszony tłum. Ci, którzy potrafią sprytnie władać językiem, dokonali już wyboru. Zadufani w swej ludzkiej dumie i bezczelności wydali wyrok na Boga.

Może zaślepieni nienawiścią sądzą, że zabijając niewinnego, zabiją niewinność w ogóle?

Póki co mają powody do radości. Nikt nie pyta, czy słusznie. Nikt nie wyraża wątpliwości. Nie ma czasu na refleksję. Nie ma czasu na wyrzuty sumienia. Nie ma czasu na współczucie.

Jest czas na egzekucję.

Spocone od emocji ciała cisną się jedno przy drugim. Zaciśnięte w pięści ręce wygrażają. Żądne widowiska oczy rzucają złowrogie spojrzenia. Wśród złorzeczących okrzyków powtarza się ten jeden:

– Ukrzyżuj go!

Pomiędzy wrzeszczącą gawiedzią z trudem przeciska się mała Sara. Smukła dziewczynka o wdzięcznej twarzyczce okolonej lokami delikatnych włosów. Ma wręcz nienaturalnie niebieskie, duże oczy. Zwykle bywa uśmiechnięta, ale dziś bardzo jej smutno. Próbuje przedostać się bliżej pałacu. Chce widzieć, co dzieje się z Jezusem. Nie rozumie, dlaczego przyprowadzili go tutaj. Zna go dobrze. Niejeden raz widziała, jak pomagał ludziom.

Widzi go. Stoi związany, jakby uczynił coś złego. Na jego twarzy widnieją krwawe ślady ciosów zadanych żołnierską rękawicą.

Namiestnik podnosi rękę. Chce mówić. Tłum na chwilę cichnie.

– Którego mam uwolnić: Barabasza, czy Jezusa zwanego Mesjaszem? – pyta prokurator.

– Jezusa! Jezusa! – krzyczy z całej siły mała Sara, ale nawet sama nie słyszy swojego głosu. Zewsząd rozlegają się wrzaski:

– Chcemy Barabasza!

– Uwolnij Barabasza!

– Barabasza!

Na sam dźwięk tego imienia Sara wzdryga się. Zamyka oczy. Nie chce nawet patrzeć na Barabasza. Wie, że to morderca. Bardzo się go boi.

– Co mam zrobić z Jezusem? – znów pyta namiestnik. W odpowiedzi ze wszystkich gardeł dobywają się wrzaski:

– Na krzyż z nim!

– Precz z Galilejczykiem!

– Ukrzyżuj go!

– Śmierć!

– Śmierć!

Żołnierze zabierają Jezusa. Szarpią za włosy, kopią, biją po twarzy. Zdzierają z niego szaty. Grubymi powrozami krępują jego ciało i przywiązują do słupa.

Twardym krokiem podchodzi rosły legionista. W prawej ręce trzyma bicz. Lewą dłonią przesuwa po skórzanych rzemieniach zakończonych ołowianymi kulkami. Gdy jest już dostatecznie blisko, zatrzymuje się. Staje pewnie na rozstawionych nogach. Jest gotowy. Rozpoczyna chłostę.

Unosi w górę umięśnione ramię i zdecydowanym szarpnięciem wprawia bicz w ruch. Ostry świst przeszywa powietrze. Skórzane rzemienie cofają się, napinają, drgają przez ułamek sekundy i ze zdwojoną siłą pędzą do przodu. Ołowiane kulki z zawrotną prędkością tną przestrzeń i ostrym gradem spadają na obnażone ciało skazańca. Przecinają skórę, wdzierają się w mięśnie, tłuką kości. Tkwią przez moment w bezbronnym ciele. Legionista zdecydowanym szarpnięciem wyrywa je z powrotem. Posłuszne ludzkiej woli i ludzkiej sile cofają się z jękiem, zraszając ziemię niewinną krwią. Skórzane rzemienie drgają. Kolejny świst przeszywa powietrze. A potem następny i następny, i następny...

Ciało już skatowane, czas na odarcie z godności.

Żołnierze ze śmiechem i wyzwiskami odziewają Jezusa w purpurę. Plotą koronę z cierni i wciskają na głowę. Tak ośmieszonego wystawiają przed gawiedź.

Spragniony uciechy tłum wybucha salwą nieopanowanego, dzikiego chichotu.

To nie koniec widowiska.

Jeden z oprawców z przesadnym uniżeniem kłania się Jezusowi i szyderczym tonem wygłasza pozdrowienie.

Tłum się śmieje.

Inny okazując wyższość i pogardę, podchodzi blisko i pluje Jezusowi w twarz.

Tłum się śmieje.

Jeszcze inny, chwyciwszy kawałek trzciny, bije Jezusa po głowie.

Tłum się śmieje.

Jezus milczy.

Kiedy mają już dość pastwienia się nad nim, są gotowi do wykonania wyroku. Przynoszą krzyż i zakładają na jego ramiona, ale w pobitym ciele nie ma tyle sił, by unieść taki ciężar. Upada. Po twarzy i odsłoniętych ramionach spływają strugi krwi. Podnoszą go i popychają.

Do niesienia krzyża zmuszają jakiegoś przechodnia.

Idą na wzgórze.

Mała Sara biegnie za szalejącym tłumem. Płacze. Niepewnie rozgląda się dokoła. Tylu uzdrowił, tak wielu nakarmił, niezliczonych pocieszył. Gdzież oni są? Czy żaden nie przyjdzie z pomocą? Czy ci, którym przywrócił wzrok, nie widzą, jak on teraz cierpi? Jeszcze ma nadzieję. Wypatruje znajomych twarzy. Nie dostrzega jednak nikogo.

Nie zwracając uwagi na szturchańce, przepycha się przez tłum. Wierzy, że tam, bliżej Pana, spotka kogoś, kto pomoże.

Jezus znów upada.

Tłum się śmieje.

Sara z lękiem spogląda ku górze. Golgota już tak blisko. Ogarnia ją przerażenie. Na dygocących ze strachu nogach wspina się mozolnie.

Kiedy są na wzgórzu, odchodzi na bok. Siada na dużym kamieniu. Podkurcza chude nóżki i mocno naciąga na nie sukienkę. Wtula głowę w kolana i zamyka oczy. Nie chce już patrzeć na wykrzywione od szyderczych uśmiechów twarze. Nie chce widzieć zaciśniętych, wygrażających pięści. Nie zniesie widoku cierpień, jakie głupi ludzie zadają dobremu Panu.

Słyszy brzęk gwoździ i uderzenia młotów. Wie, co to oznacza. Zatyka paluszkami uszy, ale dźwięki są tak silne, że nadal je słyszy. Za każdym stuknięciem jej małym, wątłym ciałem wstrząsają dreszcze.

– Dobry Panie – szlocha. – Nie umieraj. Nie zdążyłam ci powiedzieć, że bardzo cię lubię.

– Nie umrę, Saro – słyszy znajomy głos.

Zrywa się na równe nogi. W załzawionych oczach na małą chwilę zapala się ognik nadziei, ale gaśnie natychmiast. Widzi Jezusa wiszącego na krzyżu. Z jeszcze większą rozpaczą i szlochem pada na kolana.

– Nie płacz, Saro – znów słyszy ten sam głos.

– Nie strasz mnie, Panie – szlocha. – Poznaję twój głos. Ale przecież ty umarłeś.

– Tylko na chwilę, Saro. Jeszcze chwila i znów będę. Ile razy mnie wezwiesz, przyjdę do ciebie i będę z tobą.

– Nie rozumiem, Panie.

– A wierzysz mi?

– Tak, Panie. Ty nigdy nie skłamałeś.

– Zaufaj mi. Nie opuszczę cię.

Sara przestaje płakać. Zakurzonymi rączkami ociera łzy. Na jej twarzy pojawia się spokojny uśmiech. Jest w nim coś niebiańskiego.

Powoli zaczyna schodzić ze wzgórza. Naprzeciwko niej idą trzej mężczyźni. Mówią głośno i śmieją się. Jednym z nich jest Barabasz.

Kiedy są całkiem blisko, Sara zatrzymuje się na chwilę. Patrzy swoimi nienaturalnie niebieskimi, dużymi oczyma i cichutko szepce:

– Już się ciebie nie boję, Barabaszu.

8.

Czwartkowy ranek Łukasz poświęcił ćwiczeniom. Wyciskał z siebie ostatnie poty. Wyrzucał nadmiar zgromadzonych emocji. Wraz ze wzrostem fizycznego zmęczenia odczuwał coraz większy spokój. Skupiał się i wyciszał.

Po południu ubrał białą koszulę i szary garnitur. Z krawatem nie szło mu najłatwiej. Biedził się sporą chwilę, zanim powstał w miarę porządny węzeł. Z ulgą podsunął go pod kołnierzyk. Chwilę przyglądał się swojemu odbiciu, oceniając całość. Doszedł do wniosku, że wygląd głowy nie bardzo pasuje do reszty. Przyczesał więc gładko włosy i związał tuż nad karkiem. Teraz było znacznie lepiej.

Z mocnym postanowieniem zachowania spokoju wyszedł z domu. Po drodze wstąpił do kwiaciarni i kupił malutki bukiecik stokrotek. Tak przygotowany ruszył w stronę kościoła.

Miał jeszcze sporo czasu. Mimo to szedł dosyć szybkim krokiem. Chciał przyjść przed innymi. Wejść, kiedy kościół będzie pusty. Liczył, że w ten sposób uniknie ciekawskich spojrzeń.

Nie był więc zadowolony, kiedy przed wejściem dostrzegł grupę znanych mu młodych ludzi. Wszyscy byli odświętnie ubrani. Niektórzy trzymali małe bukieciki kwiatków.

Zwolnił nieco. Wahał się. Nie wiedział, czy podejść do nich, czy też udać, że ich nie widzi i ominąć.

Problem rozwiązała Ola. Zauważyła go. Przez chwilę, mrużąc oczy, przyglądała mu się, a kiedy nabrała pewności, że to naprawdę on, zbiegła ze schodów i podeszła do niego.

– Co za odmiana! – z podziwem mierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. – Ależ pan dzisiaj elegancki.

Speszyła go jej miła uwaga. Mruknął coś niewyraźnie pod nosem.

„Ty stary ośle” – beształ w myślach samego siebie. „Trochę inteligencji”.

Ola nie czekała na odpowiedź. Popatrzyła na stokrotki i ciepłym tonem powiedziała:

– Cieszę się, że pan przyszedł. Dziękuję.

A żeby podkreślić swoją wdzięczność, delikatnie uścisnęła jego rękę. Łukasz spojrzał na jej dłoń. Zauważył pierścionek. Wiedział, że Ola nie nosi biżuterii. Przemknęła mu myśl, że to być może zaręczynowy. Nic jednak nie powiedział. O nic nie zapytał.

– Przepraszam – powiedział. – Wejdę już – wskazał na kościół.

– Jeszcze wcześnie – zdziwiła się.

– Chcę już wejść – uśmiechnął się.

– Oczywiście – odwzajemniła uśmiech i wróciła do kolegów.

Łukasz wszedł do środka. Stąpał powoli, starając się jak najmniej mącić panującą tutaj ciszę. Usiadł w ławce. Przyjemny chłód i delikatny półmrok sprzyjały rozmyślaniom.

Przypominał sobie te wszystkie lata, kiedy dzień imienin Anny spędzał w samotności. Zawsze było to dla niego święto. Wtedy przepełnione tęsknotą, bólem, goryczą, często rozpaczą.

Dziś miał je spędzić w całkiem odmienny sposób.

Powoli kościół zapełniał się wiernymi.

Obiecał sobie, że nie będzie się im przyglądał, komentował zachowania, oceniał. Póki co jakoś mu się to udawało.

W czasie trwania nabożeństwa czuł się po trosze jak nieprzygotowany do lekcji uczeń. Nie znał słów modlitw i pieśni. Powtarzał je w myśli za innymi. Być może dlatego wielką uwagę zwracał na ich sens. Bywały momenty, że jakaś koślawa figura stylistyczna czy niezgrabne zdanie burzyły jego poczucie estetyki. Przymykał wówczas oczy i przypominał sobie o swoim postanowieniu.

Kiedy nadszedł moment Komunii, nie mógł powstrzymać swojej ciekawości. Ukradkiem przyglądał się osobom, które podchodziły do kapłana, aby przyjąć Ciało Chrystusa. Całym sobą łowił najdrobniejsze reakcje. Próbował wyczytać z twarzy, z gestów, czy jest jakaś różnica przed i po. Czy zachodzi w nich zmiana? Co odczuwają? Czy wierzą?

Czekał, sam nie wiedział na co.

Tymczasem nie zauważył nic niezwykłego.

Ostatnia osoba przyjęła Komunię i odeszła na swoje miejsce.

Ksiądz podniósł oczy i popatrzył przed siebie. Czekał.

Przez środek kościoła raźnymi krokami szła na chudych nóżkach mała dziewczynka. Szczupłe rączki skrzyżowała na piersi.

Kiedy zatrzymała się, przez boczne okno wpadł promyk słońca i oświetlił jej główkę.

Ksiądz pochylił się i powiedział z namaszczeniem:

– Ciało Chrystusa.

– Amen – radośnie zabrzmiał dziecięcy, ufny głos.

Dziewczynka odwróciła się. Łukasz drgnął. Choć nie mógł uwierzyć własnym oczom, był przekonany, że zna tę małą. Że już ją widział. Patrzył na jej smukłą postać. Na wdzięczną twarzyczkę okoloną lokami delikatnych włosów.

Zbliżała się raźnymi krokami. Kiedy doszła do ławki, w której siedział, podniosła powieki, odsłaniając duże, wręcz nienaturalnie niebieskie oczy.

– Sara? – wyszeptał zdrętwiałymi ze zdumienia wargami.

Uśmiechnęła się. A w jej uśmiechu było coś niebiańskiego. Samo szczęście.

Do końca nabożeństwa nie odzyskał równowagi. Nie śmiał się odwracać. Nie miał odwagi rozglądać się. Doczekał jedynie do błogosławieństwa i przed wszystkimi wyszedł na zewnątrz.

Wtedy znów ją zobaczył. Kucała i palcem rysowała coś na piasku.

Powoli, jak we śnie, szedł w stronę tego zjawiska.

– Saro! – rozległ się nagle kobiecy głos. – Pospiesz się. Tatuś czeka.

Dziewczynka podniosła głowę. Rzuciła Łukaszowi krótkie spojrzenie i pobiegła do matki.

Doszedł do miejsca, w którym przed chwilą ją widział. Stał pochylony i wpatrywał się szeroko otwartymi oczyma. Nakreślony dziecięcą ręką rysunek przedstawiał rybę.

– Na co tak patrzysz? – wyrwał go z odrętwienia głos Marka.

Odwrócił głowę.

– Na rysunek – odpowiedział.

– Na jaki rysunek? – zdumiał się Marek.

Łukasz popatrzył w dół. Podmuchy wiatru porywały ziarenka piasku i przenosiły je z miejsca na miejsce, wygładzając powierzchnię.

– Jeszcze przed chwilą... – zaczął, ale nie dokończył. Zdawało mu się, że zaczyna rozumieć.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Marek.

– Tak. Chyba tak – odpowiadał zdumiony własnymi myślami.

Marek zadowolił się tą odpowiedzią. Przywykł do, nazwijmy to, niecodziennych reakcji Łukasza. Zdawał sobie również sprawę z tego, że dzisiejszy dzień nie był dla niego łatwy. Wspomnienie imienin Anny, nadal niewyjaśniony układ z Olą, emocje związane z uczestnictwem w nabożeństwie – wszystko to zbiegło się razem. Mogło poruszyć nawet najbardziej odpornego człowieka. Nie zadawał więc pytań. Tym bardziej, że po chwilowym roztargnieniu Łukasz zdawał się wracać do rzeczywistości.

– Zauważyłem dzisiaj na jej palcu pierścionek – powiedział normalnym już głosem. – Drogi pierścionek – dodał. – Wiem, że nie nosi biżuterii.

– Mówisz o Oli? – ożywił się Marek.

– Tak.

– Sądziłem, że wiesz – powiedział takim tonem, jakby uważał, że o zaręczynach Oli i Michała mają wiedzieć wszyscy. – Może nie zdążyła ci powiedzieć – natychmiast ją usprawiedliwił. – Jest szczęśliwą narzeczoną – mówił z radością. – Cieszę się. Oboje są mi bliscy.

Łukasz zagryzł wargi. Sam nie wiedział, jak nazwać uczucia, które w tym momencie ogarnęły jego duszę. Z jednej strony przyjął tę wiadomość z dumą i ze wzruszeniem, ale równocześnie zrodził się w nim lęk. Obawa, że w zakochanym sercu Oli może nie być już miejsca dla niego. Przestraszył się, że to koniec jego marzeń o odzyskaniu córki.

– Jeszcze jej nie odzyskałem – westchnął głośno – a już ją tracę.

– Co ty znów wymyślasz? – napadł na niego Marek. – Jaki to ma związek? Uważasz, że jeżeli ktoś się zaręcza, to nagle obojętnieje wobec wszystkich innych? Sądzisz, że zakochana córka nie może kochać również ojca?

– Nie – bronił się. – W normalnym przypadku jak najbardziej, ale w moim... – popatrzył na bukiecik stokrotek, który trzymał w ręce.

Stali odwróceni tyłem do wejścia. Zajęci rozmową nie zauważyli, że Ola i Michał wyszli właśnie z kościoła i powoli zbliżali się do nich. Coś tam sobie szeptali i uśmiechali się do siebie. Jak to zakochani.

Byli o krok, kiedy Łukasz, nie odrywając wzroku od stokrotek, mówił z rozrzewnieniem:

– Zgubiłem te wszystkie lata. Straciłem je bezpowrotnie. Przez cały ten czas, kiedy byłem sam, pamiętałem Oleńkę malutką. Cała mieściła się na moim ramieniu. Wspominałem ją właśnie taką. Nie miałem nawet jej zdjęć. A dzisiaj... – urwał nagle i zamyślił się.

Ola i Michał stali jak zaczarowani. Z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma, z uchylonymi ustami łowili każde słowo Łukasza z dziecięcą niemal ciekawością i niedowierzaniem.

– Wiesz, kiedy Ola się urodziła – mówił dalej – zaniosłem Annie prawie taki sam bukiecik stokrotek. Uwielbiała je. Do szpitala dotarłem dopiero pod wieczór. Goniłem jak szalony po całym mieście. Kwiaciarnie były pełne, ale nigdzie nie było stokrotek. Sprzedawczynie proponowały mi piękne bukiety, ale ja się uparłem. „Urodziła mi się córeczka – tłumaczyłem im – a moja żona lubi stokrotki. Muszę je kupić”.

Usta Oli zaczęły drżeć, a w oczach pojawiły się łzy.

– Nie rozumiały – westchnął. – W końcu, gdzieś na jakiejś bocznej uliczce, w malutkiej kwiaciarni odetchnąłem z ulgą. Za ladą siedziała gruba, starsza pani i cicho nucąc piosenkę, układała bukiety kwiatów. Tuż obok niej, w szklankach po musztardzie, stały białe stokrotki. Poprosiłem o nie. Musiało ją coś w moim zachowaniu zaintrygować, bo zapytała, dla kogo je kupuję. Opowiedziałem. Zmrużyła oczy i chrapliwym głosem powiedziała: „Musi ją pan bardzo kochać”.

„Dlaczego pani tak myśli?” – spytałem. „Bo jak, proszę pana, ktoś nie umie dać drugiemu serca, to kupuje całą furę prezentów. Ot, i co”. Nie doceniłem wówczas jej mądrości. Nie miałem czasu. Gnałem jak na skrzydłach, żeby być z nimi. Po drodze, w jakimś kiosku, kupiłem żółtą, piszczącą kaczuszkę dla mojej małej Oleńki. Była okropna, ale wtedy wydawało mi się, że jest śliczna. Anna i pielęgniarki śmiały się ze mnie.

Na wspomnienie kaczuszki Ola rozczuliła się na dobre. Nie mogła powstrzymać łez. Teraz zrozumiała. Wiele razy, kiedy dorastając, robiła porządki w zabawkach, mówiła do mamy: „Tę kaczuszkę chyba wyrzucę. Jest okropna”. Mama wówczas milkła na chwilę, a potem prosiła: „Nie wyrzucaj. Nie tę”. Kaczuszka do dziś stoi na półce.

Michał z czułością przytulał Olę do siebie. Płakała cichutko, aż nagle z jej piersi wydobył się głośny szloch.

Łukasz odwrócił się raptownie. Przez ułamek sekundy zatrzymał wzrok na zapłakanej twarzy Oli. Potem niczym uderzony gromem rzucił się przed siebie i zaczął biec. Uciekał. Gnał jak spłoszony rumak.

Chciała za nim krzyknąć, ale zdołała jedynie cicho wyszlochać:

– Tato.

Nie mógł tego usłyszeć. Był już zbyt daleko. Ten silny, dojrzały mężczyzna płakał jak dziecko.

9.

– Nie odezwał się? – zapytała bez większej nadziei Ola.

Ksiądz Marek przecząco pokiwał głową.

Stali przy bocznym wejściu do kościoła. Oboje rozejrzeli się dokoła, jakby mieli nadzieję, że może nagle się pojawi.

Łukasz bowiem zniknął. Przepadł jak kamień w wodę. Od owego, obfitującego w wydarzenia, czwartkowego popołudnia nie dał znaku życia. Z nikim się nie skontaktował. Do nikogo nie zadzwonił.

Jeszcze tego samego wieczoru Ola i Michał, po długiej rozmowie z księdzem Markiem i ciocią, wybrali się do niego. Nie zastali go jednak w domu.

Następny dzień Ola spędziła na niespokojnym oczekiwaniu. Jeszcze się nie martwiła. Ale kiedy minął jeszcze jeden dzień i jeszcze jeden, zaniepokoiła się na dobre. Podzieliła się swoimi obawami z księdzem Markiem i z przyjaciółmi.

Szukali go wszyscy i chyba wszędzie, gdzie było to możliwe. Pytajnik i chłopcy z osiedla przeczesywali te rejony miasteczka i okolic, w które inni nie odważyliby się zapuszczać. Nawet pani Łucja została włączona do akcji.

W innym przypadku nikt nie dziwiłby się temu, że dorosły mężczyzna przepada gdzieś na kilka dni. W tym wszyscy byli pełni obaw. Nikt nie mówił tego głośno, ale niektórym najgorsze myśli przychodziły do głowy.

– Gdyby było coś nowego, niech ksiądz dzwoni o każdej porze dnia i nocy – prosiła Ola.

– Dobrze, oczywiście.

– Gdyby zadzwonił albo gdyby do księdza przyszedł, proszę mu powiedzieć, że ja wiem, co to znaczy być daleko od tych, których się kocha, żyć w niepewności, tęsknić.

– Sama mu to powiesz – pocieszał ją.

– Bardzo bym chciała – na chwilę łzy zakręciły się w jej oczach.

– Muszę już iść – uśmiechnął się przepraszająco.

Pokiwała ze zrozumieniem głową.

Weszli do kościoła. Marek poszedł do zakrystii. Ministranci rozkładali albę i ornat.

– Ksiądz dziś odprawia? – zapytał Piotrek.

– Nie – odpowiedział.

Ubrał krótką komżę i wyszedł na kościół. Przelotnie spojrzał na zatopioną w modlitwie Olę i wolnym krokiem szedł dalej. W połowie drogi zatrzymał się. Na długą chwilę utkwił wzrok w oczekujących na spowiedź.

W kolejce stał Łukasz.